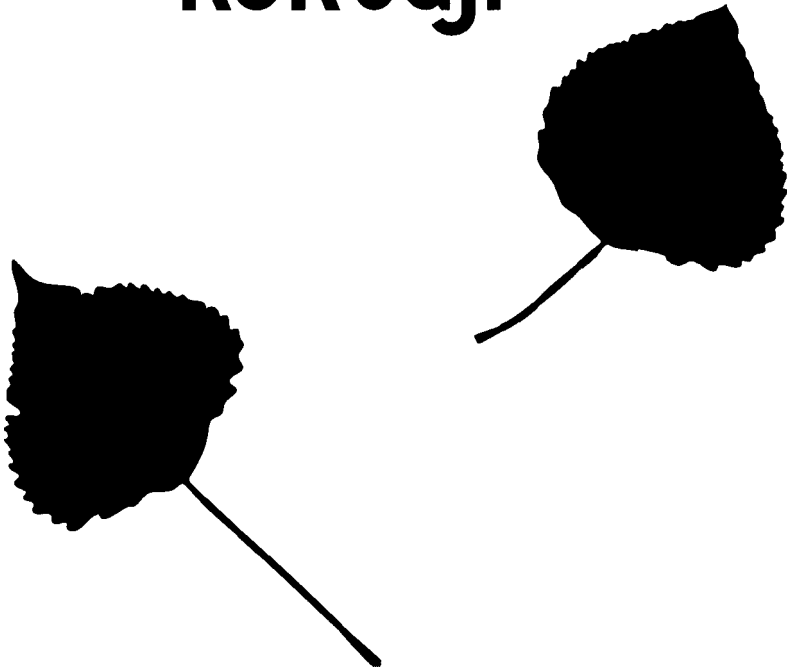


Jolanta
Kwiatkowska

Jesienny koktajl



PRZEPIS

Koszt: 0,00 zł

Czas przygotowania: 0,00 sekund

Składniki:

Szczypta Miłości

Kropelka Wiary

Ociupinka Nadziei

Kapka Optymizmu

Maksimum Chęci

Przyprawy:

odrobinka fantazji, humoru,
wyobraźni, przyjemności, itp.

Dokładnie mieszamy,
silnie wstrząsamy.

Chwilkę stajemy w bezruchu i pijemy,
delektując się smakiem - co chwilkę.

Załącznik: Koktajlowe smakowitości - w promocji. Bezcenne.

- Dzień dobry - przywitałam się.

Weszłam do małego pokoju. Około dwunastu metrów powierzchni. Dwa stojące wieszaki z drążkami, na których wisały wieszaki ubraniowe. Kilkanaście składanych plastikowych krzesel rozstawionych przy ścianach. W środku rozbierały się już uczestniczki zajęć.

- Wchodź. Jak masz na imię? - zapytała jedna z obecnych.

- Alicja - odpowiedziałam, z lekka speszona bezpośredniością pytania.

- Słuchajcie, to nowa, Alicja - to do pozostałych. - Wiesz, my tu wszystkie mówimy sobie po imieniu. Bez ceregieli - dodała. - Ja jestem Baśka. Dziewczyny, wykrzykiwać swoje imiona - rzuciła do reszty.

- Teresa.

- Ela.

- Zosia.

Każda po kolei mówiła swoje, nie przerywając rozbierania. I tak nie zapamiętam - pomyślałam. Udawałam, że nie widzę lustrujących mnie spojrzeń. Normalne. Przyszła nowa. Sama zdejmując buty, spodnie, starałam się przyjrzeć obecnym. Baśkę łatwo rozpoznać. Prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Waga, tak na oko, dziewięćdziesiąt kilogramów. Była w czarnych rajstopach, czarnym podkoszulku i na to wciągała jednoczęściowy, wiśniowy kostium kąpielowy. Na włosach - pod kolor - opaska. Przy drzwiach rozbierała się kruszynka. Nawet nie metr pięćdziesiąt. Waga musza. „Wysuszona, pomarszczona śliweczka” - pomyślałam. Za to Grzesiowi, który pomagał jej rozsuwać sznurowadło, wyraźnie potrzeba było witaminek z grupy B. A tych dużo jest w wysuszonych śliwkach.

- Dziewczęta. Chłopcy. Zaczynamy. Proszę na salę - pośpieszała instruktorka.

Gimnastyka z elementami aerobiku. Byłam bardzo ciekawa na czym polegać będą zajęcia. Wyprostować sylwetkę, podnieść brodę do góry i oczywiście wypiąć pierś do przodu, to z pewnością by mi się przydało. O kondycję też należy zadbać. Nie wspomnę, że chodzić na zajęcia to dziś cool.

Muzyka z magnetofonu. Ani rytmiczna, ani melodyjna. Jak przy takim podkładzie ćwiczyć? - pomyślałam, ale od razu sama się zbeształam. - Poczekaj. Nie krytykuj. Nie bądź na nie. To ma być godzinka potu dla zdrowia. A ty masz ją traktować jako przyjemność.

- Małolata, mogę przy tobie ćwiczyć. Janek jestem - powiedział i już stał przy mnie, podając mi piłkę.

Miny moich nowych koleżanek nie wyrażały zachwytu. Powinny wiedzieć, że nowa to zawsze wyzwanie.

- Kóleczek na około sali. Drepczemy. Kolanka wyżej. Truchcik. Piłka wysoko nad głową. Teraz piłeczka za bioderka i maszerujemy. Raz. Dwa. Raz. Dwa - głos instruktorki brzmiał rytmicznie, tylko nieco zagłuszany muzyką w zupełnie innym tempie.

No cóż. To był właśnie ten element aerobiku. Po półgodzinnym marszu, truchciku i podrzucaniu piłeczek przyszedł czas na przerwę. Instruktorka, oblepiona dziewczynami, słuchała ich komplementów.

-Jakie masz ładne ciało. Jakie nabite mięśnie - wykrzykiwały jedna przez drugą.

- Poczekajcie. Nad tym pracujemy, byście na sylwestra wyglądały pięknie w wydekoltowanych sukniach z gołymi ramionami - uspokajała, przyjmując miłe słowa jako oczywistość.

- Ala ma dobrą figurę - popatrzyła na mnie. - Trochę pierś do przodu, łopatki ściągnąć i na bal maturalny - zaśmiała się.

- Chyba pomyliłaś grupy wiekowe, dziecko - Tadzio spojrział na mnie zalotnie.

- Tak. My bardzo przestrzegamy spełnienia warunków przyjęcia do nas - dodała wściekła Zosia, nalewając wodę mineralną i podając Tadziowi. - Napij się, Tadzio, spocieś się i trzeba się nawodnić. Chodź, wytrę ci plecki.

To była moja pierwsza i zarazem ostatnia przygoda z gimnastyką z elementami aerobiku. Wracalam młodsza co najmniej o dziesięć lat. Sylwetka wyprostowana. Oczy błyszczące. Uśmiech na twarzy. Wzrok zahaczał o mijanych, co młodszych mężczyzn. Po co idiotko wydałaś tyle forsy na ten krem, co to w osiemdziesięciu na sto przypadków odmładza, napina, spłaszcza, likwiduje - łąkałam sama siebie. Dziś za jedną złotówkę masz rok mniej. Bardzo zadowolona wracałam do domu. Więcej tam nie pójdę, bo wrócę do pieluch - postanowiłam. A na pieluchy jeszcze trochę czasu mam.

- Halo! Halo! - odłożyłam słuchawkę. Szum. Gwar. Nic nie słyszałam.

Ciekawe, kto? Ula już dzwoniła, z samego rana, z życzeniami urodzinowymi dla mamy. Pewnie któraś z koleżanek.

Od przelotnej przygody z aerobikiem minęło pięć lat. Znow się zaczęłam garbić. Siedzę i dumam przy mojej ulubionej kawie. Łyżeczkę kawy instant lub rozpuszczalnej zalewam gorącą wodą (nie wrzątkiem), odczekuję mniej więcej trzy do pięciu minut. W tym czasie ucieram jedno żółtko z jedną płaską łyżeczką cukru (chyba że mam dołek psychiczny - wtedy z czubatą) na puszysty kogel-mogel. Kawę wlewam strumyczkiem do kogla-mogla, mieszając. Oczywiście mieszając utarte jajko, a nie wlewając kawę. Na wierzch odrobina cynamonu. Pychota.

- Halo. Tak. Ledwo cię słyszę! - krzyczałam, jak zwykle uznając, że jak ja nie słyszę, to ona na pewno też nie.

JOLANTA KWIATKOWSKA

- Wpadnę za pół godziny na pół godzinki. Nie szykuj nic do jedzenia, jestem po obiedzie - powiadomiła moja Misia.

- A jabłek w cieście nie zjesz? - zapytałam, bo wiem, że bardzo je lubi.

- Zjem. Nie rób. Poczekaj na mnie. Muszę się wreszcie nauczyć. Ty robisz je w piętnaście minut, to ja też chcę. Dwa dni temu taką miałam ochotę, nawet chciałam dzwonić. Wolę się wprawiać pod twoim okiem, to łatwiej niż z przepisu. Dobrze? Narka - nie czekając na moją odpowiedź, rozłączyła rozmowę.

Misia często dzwoni. Czasami wpada na pół godzinki. Przeważnie, gdy akurat obok przejeżdża i jest jej po drodze. Na dwie, trzy godziny - kiedy chce porozmawiać. Co u niej, co u mnie. Zapytać, poradzić się czy nauczyć upitrasić małe co nieco. Wie, że lubię robić coś z niczego. Szybko, a chcącego samemu wskoczyć do buzi. Choć był pełen brzusek. Niekiedy przyjeżdża na noc. To wtedy, gdy ma duuużego doła. Za drabinę do wspięcia się w górę, a przynajmniej do poziomu - robię ja.

Mam czas na dopicie kawy. Póki gorąca. I na dokończenie swoich przemyśleń. Powracam do wspomnień z jednorazowego udziału w zajęciach gimnastycznych dla seniorów.

Dziewczyny były super. Oprócz jednej, która miała podobno pięćdziesiąt osiem lat. To trzeba byłoby sprawdzić. Na moje oko, co najmniej sześćdziesiąt pięć jej stuknęło. Reszta, tak mniej więcej piętnaście lat więcej. Chłopaki też.

Wtedy to był zastrzyk młodości. Ja byłam małolatą. Najlepszy dowód, że chcieli sprawdzić, czy mam uprawnienia. Tu nie akt urodzenia był potrzebny. Trzeba było okazać legitymację emerytalną. Uniwersytet Trzeciego Wieku. A ja pierwszego kwietnia zdobyłam uprawnienia do bycia kursantką. W dniu swoich pięćdziesiątych piątych urodzin sprawiłam sobie prezent. Odebrałam

osobiście legitymację poświadczającą, że mogę kupować ulgowe bilety w kinie i w teatrze.

- Nie za młoda pani na wcześniejszą emeryturę? - zapytał zdziwiony szczerze urzędnik w ZUS-ie.

Jego słowa i mina podziały z siłą wodospadu. Od razu wyczyścił mi pięć lat. Poczułam się na pięćdziesiątkę. Było ciepło. Założyłam dzinsy. Biały sweterek w poprzeczne granatowe paski, z dekoltem w szpic, podkreślający figurę. Granatowy, w modnym fasonie żakiecik. Że jest modny stało się dla mnie oczywiste po tym, jak Miśka parę razy pożyczała go, idąc na randki. Całość oceniałam, oddalając się parę kroków od lustra. Umiał facet kompetentnie rozpoznać wiek kobiety. Nie rozumiem, dlaczego tyle się narzeka na niefachowość urzędników. W oczach bab wyglądałam na kobietę po pięćdziesiątce. Dla facetów (oni najpierw lustrują figurę) byłam grubo przed.

- Ma pan rację, że za młoda. Dlatego postanowiłam korzystać z życia. Nie warto go marnować na dziesięciogodzinny dzień pracy. Teraz popracuję, ile będę chciała. Lub nie. Nadszedł czas na prawo wyboru - tłumaczyłam z miną, jakby przede mną otwierała się droga do wszystkiego. Wyszłam, w zasadzie wyfrunęłam na skrzydłach. Po drodze wstąpiłam do butiku. Śliczna szmizjerka w najmodniejszym odcieniu ecri. Fryzjer, stylistka. Poprosiłam o zmianę fryzury. Zaproponował mi krótkie strzyżenie. Długość włosów do brody. Wybrał dla mnie ciemny kolor z grubymi pasemkami, w mocno wiśniowym odcieniu. Widząc moją niepewność i wahanie, czy zamiast mnie odmłodzić, nie doda paru lat, przyniósł perukę. Dopiął w odpowiednich miejscach wiśniowe pasma. Zdecydowałam się. Nie żałowałam wydanej forsy. Jeszcze dostałam pensję. Nie emeryturę. Odprawa leży w kopercie. W książce. Lubię mieć pieniądze pod ręką.

Świętując jubileusz pięćdziesięciu pięciu lat, jednocześnie wznosiliśmy toasty za nowy etap w moim życiu.

I nie wiadomo, kiedy minęło pięć lat. Cudownych lat. Mimo zajmowania się wnukami. Na tyle dużymi, że już mniej absorbującymi. Pomaganie w lekcjach ćwiczyło i mój umysł. Jednocześnie roślam w ich oczach. Dużo czasu wolnego. Tylko dla mnie. Kino. Teatr. Zachęta. Łazienki. Galerie. Działka letniskowa siostry na Mazurach. Spotkania z pracującymi koleżankami, wiecznie narzekającymi na wszystko. Szczególnie na permanentny brak czasu. Na poranne wstawanie i późne powroty. Ich biadolenia działały na mnie jak dźwięki kojącej muzyki.

- A l a , świetnie wyglądasz. Ubyło ci lat. Taka wypoczęta. Wy-masowana. Opalona.

Nie zaprzeczałam. Mimo że na żadne masaże nie chodziłam. Nie mogłam nie wierzyć koleżankom. To byłoby niegrzeczne z mojej strony. Komplementy zawsze miło się słyszy. Szczególnie od dużo młodszych babek. Nic mnie to nie kosztuje, a napina. Od panów też. Tych nie unikałam. Wprost przeciwnie. Miło jest, w każdym wieku, być poderwaną. Zaproszoną na kawę. Wspólny obiad. Usłyszeć: „fajna dupencja”. Nawet gdy po zobaczeniu przodu, przyspieszał kroku, udając, że to nie on. Kolacja ze śniadaniem, tylko ze sprawdzonym na tyle, na ile można sprawdzić. I tak często, gdy sama miałam ochotę na pokazanie seksownej bielizny i stosowne do okazji igraszki. Te lata to balsam odmładzający. Tym skuteczniej likwidował wszelkie niedociągnięcia urody, im bardziej stał mi wzrok.

- Dlaczego zostawiasz otwarte drzwi? - Miśka, wchodząc, zamknęła zasuwę. - Babciu, mnie przestrzegasz, a sama robisz co innego - od wejścia mnie besztala.

- Otworzyłam, słysząc twoje kroki. Łupiesz tymi obcasami, że aż dudni na klatce - odcięłam się.

- Dziś tylko jeden tulipanik - powiedziała, wręczając kwiatek i całując mnie w policzek. - W niedzielę robisz kinderbal, wtedy kwiaty i prezent - dodała.

- Dlaczego kinder? - zapytałam zaniepokojona.

- Zażartowałam. Nie gniewasz się chyba?

- Oczywiście, że nie. Wiesz, że żarty to ja lubię - ucałowałam ją i dodałam - umyj ręce, robisz ciasto. Ja obiorę jabłka. Spójrz na zegarek.

Mieszała jajko z mąką, dolewając mleko i co chwilę pytając:

- Już? Już? Taka powinna być konsystencja?

- Wkrój jabłuszka. Wymieszaj. Ja wlewam olej, ty patrz ile. Olej musi być nie za zimny i nie za gorący.

- No tak. Skąd mam to wiedzieć? Termometr włożyć czy palec? - zaśmiała się.

- Przewróć na drugą stronę. Gotowe. Połóż na chwilę na ręczniku papierowym. Leży obok. Trochę tłuszczu wsiąknie. Ja robię herbatę.

Po dwudziestu minutach jadłyśmy pyszne, gorące jabłka w cieście.

- Babciu, mów dokładnie, ja piszę - za miesiąc już nie będę pamiętać. Tylko łopatologicznie. Żadne tam „właściwa konsystencja i odpowiednia temperatura” - dodała, puszczając oczko.

- Masz - podałam jej zeszyt, który podpisałam: Łopatologiczne przepisy babusi Alusi. - Jest w przepisach mojej babci. Zapisuj, dopytuj, będzie ze szczegółikami.

- Babciu, jajka zawsze mam, tak jak mówiłaś. Mąkę też. Wykorzystam, nie tylko dla siebie. Czasami zrobię do piwa, kiedy będę potrzebowała małą przekąskę. Żeby nie były ciągle paluszki i krakersiki. Lub coś gotowego z garmażerki. Błysnę - zapisywała wszystko dokładnie.

Mówiła, że jej obecne szczęście robi wspaniałą jajecnicę. Lepszą od mojej. Bardzo mnie to ucieszyło. Musiała być wspaniała.

Szczypta faceta podającego gorącą jajecnicę z pieczywem i kawką w niedzielny poranek - potrafi czynić cuda kulinarne.

Szczypta babci, nawet podającej na tacy do łóżka - nie ma szans na przebicie tej najwspanialszej przyprawy świata.

Wnusia poszła. Zamykając drzwi (stała, czekając, czy na pewno przekręcę klucz), odetchnęłam z ulgą. Kiedy powiedziała o kinderbalu, aż zamarłam. Skąd by wiedziała? Skoro ona, to i Ula, moja córka. I Jędrzek, mój wnuk. Całą niespodziankę szlag by trafił.

Pięć lat temu nie zdawałam sobie zupełnie sprawy z tego, że wkroczyłam w okres starości socjoekonomicznej. Liczy się od przejścia na emeryturę. Zaszczytne status emerytki to jednocześnie czas na zasłużony odpoczynek. Na odpoczynek na pewno zasłużyłam. Absolutnie nie godzę się na wkroczenie w okres starości. Niejedna dwudziestoparolatka mogłaby mi pozazdrościć kondycji, energii, zwariowanych pomysłów na ciekawie spędzany czas. Gram w ping-ponga, w siatkówkę, w badmintona. Z czynnych sportów uprawiam te gimnastykujące umysł: brydż, krzyżówki, puzzle, nie mówiąc o pomocy wnukom z chemii, matematyki czy polskiego. Gorzej z historią i geografią.

Uwielbiam tańczyć. Mało? Bez przesady!

Dziś skończyłam sześćdziesiąt lat. Według definicji WHO - starość fizjologiczna. Sześćdziesiątka, siedemdziesiątka to wiek podeszły. O nie. Ja nie zamierzam dać się podejść. Tym bardziej wejść w wiek starczy. Bardziej odpowiada mi podział wieku kobiet na: niemowlę, dziewczynka, dziewczyna, bardzo, bardzo młoda kobieta, bardzo młoda kobieta i młoda kobieta.

Punkt 1.

Przy tym zamierzam pozostać

Poczytałam sobie na temat psychogeriatry. To dział psychiatrii zajmujący się leczeniem ludzi w wieku podeszłym.

Diagnostyka i leczenie zaburzeń wieku podeszłego, w tym zespołów otępiennych i zespołów zaburzeń świadomości - wypisane tam są jak byk.

Zdiagnozowałam się sama. Otępienia nie zauważyłam. Chyba że świadome. Dobrym koniaczkiem. Przy nastrojowej muzyczce i świecach. Z silnikiem dwusuwowym. Może to już i antyk. Nie zawsze wywołuje okrzyki: Och! Ach! Ja też stałam się mniej ekspresyjna. Za to naoliwiony pracuje wspaniale. Równy, nie śpiesząc się, metodycznie, bez większych wstrząsów, raptownych hamowań i podskoków - bezpiecznie i skutecznie dowozi do celu.

Zaburzenia świadomości - jak najbardziej, tak. Te właśnie zamierzam wykorzystać, by rozpocząć najcudowniejszy okres w moim życiu.

Punkt 2.

Świadome inscenizowanie własnej sztuki pod tytułem Jesień - najcudowniejszy etap życia

Urodziłam się pierwszego kwietnia. W prima aprilis. To zobowiązuje. Dzień dowcipów, celowego wprowadzania w błąd, konkurowania w próbach sprawienia, by inni uwierzyli w coś nieprawdziwego. Tego dnia w wielu mediach pojawiają się różne żartobliwe informacje. Ja jako primaaprilisowa nadaję sobie prawo rozciągnięcia tego dnia na cały rok.

Punkt 3.

Prima aprilis codziennie

Chrześcijaństwo wiąże prima aprilis z Judaszem Iskariotą. Miał się on urodzić właśnie pierwszego kwietnia i dlatego dzień ów kojarzył się z kłamstwem, obłudą, fałszem i nieprawdą. Ta interpretacja zupełnie mi nie odpowiada. Zamierzam mówić samą prawdę i tylko prawdę. Być szczerą bez cienia obłudy.

Grecy wiążą historię tego dnia z mitem o Demeter i Persefonie. Persefona została ponoć porwana do Hadesu na początku kwietnia. Demeter, szukając córki, kierowała się echem jej głosu, ale to ją zwiodło. Mnie moje echo nie zwiedzie ani nie zawiedzie. Sama je będę wywoływać, wiedząc gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach. Bardzo jestem ciekawa min pijących zdrowie (szanownej) jubilatki. Zaskoczy ich nie tylko kiecka, która na tę okazję już dawno wisi w szafie...

Dziewczyny przyszły w spodniach. Tak jak prosiłam. Co prawda, widząc mnie w kiecce, nie bardzo rozumiały, dlaczego. Przyjęły jednak moje wyjaśnienie, że to mój dzień i ja mam się czuć kobieco. Ula, Miśka, Ania - moja młodsza starsza siostra, która nie słyszy zapewnień, że jest w wieku podeszłym. Nie jest babcią ani emerytką. Najwyżej mamą i ciocią. Moje określenie jej „cioteczna babcia” uznaje za neologizm. Wymyślasz tylko po to, by wyrazić swój stan emocjonalny - mówi. - Mój zostaw mnie. Nie obchodzi urodzin. Nigdy nie obchodziła. Nie ma tego w dnia w kalendarzu. Urodziła się. Ona o tym wie. Inni też. I to wystarczająca informacja. Nikt nie ma sklerozy, więc nie trzeba przypominać. Można tak, a można tak. Ja obchodziłam. Uroczyste, szczególnie każdą okrągłą rocznicę. Mam tyle lat, na ile wyglądam, powtarzałam. Dziś, oni jeszcze o tym nie wiedzą, wyprawiam swoje ostatnie urodziny. I to nie z oszczędności. Z przeczności. Niedawno, wyjmując rzesę z oka, musiałam to zrobić w super powiększającym lusterku. Dłubiąc w oku, nie udało mi się nie spojrzeć na okolice oczu, nosa i ust. Szybko zajęłam się wyłącznie usuwaniem rzesy i odstawiłam lusterko do szafki. Głęboko. Po co ma stać na wierzchu? Ostatecznie rzesza wpada do oka bardzo rzadko. Usłyszałam dzwonek alarmowy. Przypomni mi się dowcip, który kiedyś bardzo mnie bawił.

- Pani hrabino - zapytał hrabia, uznając, że jest to pytanie dozwolone w zażyłej znajomości. - Ile naprawdę ma pani lat?

- Ależ hrabio - odparła oburzona - takie pytanie do kobiety. Oczywiście tyle, na ile wyglądam. - Uśmiechnęła się kokieteryjnie do hrabiego.

- Hrabino - zawołał hrabia z przerażeniem w głosie - aż tylu chyba pani mieć nie może.

Beznadziejny kawał. Na wszelki wypadek nie będę już mówić: mam tyle, na ile wyglądam. W zależności od sytuacji, płci, wieku pytającego i oceny spojrzenia będę odpowiadać: stuknęła mi sześćdziesiątka albo (trudno) - jestem po sześćdziesiątce. Jedyne sposoby, by delektować się odpowiedzią, to usłyszeć: żartuje pani, to niemożliwe.

Chłopcy: szwagier Wojtek, wnuk Jędrus i mój aktualny przyjaciel. I tak o jedną babę więcej. Muszę to przemyśleć. Po sześćdziesiątym roku życia na stu mężczyzn przypadają sto czterdzieści trzy kobiety. Czas się zastanowić, ale zostawmy to na później. Teraz przyjęcie urodzinowe. Wszyscy przyszli prawie punktualnie. Z kwiatami. Prezentami. Ucieszyłam się bardzo z komputera. Szwagier wiedział, co robi. Otworzył mi jeszcze jedno okno na świat. I nie zamierzam prosić o pomoc w obsłudze. Zapiszę się na kurs. Do tej pory to nie miało sensu. Prawo jazdy mam. Samochodu nie. I co mi z prawa? Od Uli super kremy na dzień, pod oczy i na noc - to odpowiednia przystawka do wymyślonego przeze mnie jesiennego koktajlu. Od Miśki dostałam korale i bransoletkę. Swoją prezent okrasila słowami: „Babciu, to teraz na topie”. I znów poczułam się o parę lat młodsza. Przecież w wieku podeszłym nie nosi się najmodniejszej biżuterii. Natomiast mój przyjaciel zdrowo przesadził. Czym te chłopcy myślą? Często, niestety, portfelem. Wtedy, gdy ani nie ten czas, ani nie ta okazja. Przyniósł perfumy znakomitej marki - Chanel Nr 5 (w tym wieku chłopcy tylko takie kojarzą) - no i chwata mu za gest. Do tego przepiękne, metrowe róże. Polał je już na wstępie obornikiem. Bojąc się widocznie, że mogę mieć trudności z li-

czeniu, powiedział: „Równiutko sześćdziesiąt”. I jeszcze, jakby za mało śmierdziały, dodał: „Możesz sprawdzić”. Nie widziałam takiej potrzeby. Poprosiłam Ulę, by się nimi zajęła. Widząc jej zachwyconą minę, uprzedziłam: „Tylko ostrożnie. Mają też duże kolce”. Życzenia, całusy, uściski. Szwagrowi zleciłam otwarcie, koniecznie wystrzałow, szampana. Wiedziałam, choć oni jeszcze nie, że mam już prawo do nieprzestrzegania zasad elegancji. Sama zajęłam się szukaniem odpowiednich wazonów. Dziewczyny laziły, szperając po szafkach, gdzie jest schowane urodzinowe mniam-mniam. Wnuk wyraźnie rozczarowany.

- Babciu, czy do jedzenia będą tylko te ciasteczka, które stoją na stole?

- Babusiu Alusiu - wdzięczyła się Miśka - nie mów, że nas nie nakarmisz.

- Słuchajcie - krzyczała z kuchni Ula - piekarnik też pusty.

- Poczekajcie głodomory jeszcze piętnaście minut - uspokajałam zawiedzione brzuszki gości.

- Już wiem. Ala się zbuntowała. Nie pitrasila tym razem niczego. Zamówiła catering - olśniło Anię.

Spojrzałam na zegarek. Taksówki powinny już być.

- Kochane, bierzcie torebki, żakiety. Panowie komórki z powrotem do kieszeni. Wychodzimy na bal.

W taksówce dziewczyny zastanawiały się, w której restauracji zamówiłam stoliki. Z mojej miny i tak nie mogły się niczego domyśleć. Uzgodniłam wszystko wcześniej. Podając wiek i płeć zaproszonych gości. Osoba prowadząca imprezę miała czuwać, by wszyscy dobrze się bawili. Wysiedliśmy przy Centrum Rozrywki Rodzinnej. Salka była zamówiona. Balony, czapeczki, kredki do makijażu twarzy. Stół zastawiony. Wino musujące Piccolo, cola, soki, chipsy Lans i Cheetos, miśki żelowe, M&M-ki. Do zamówienia hot dogi, pizza, według indywidualnego uznania.

Hulapark, ścianka wspinaczkowa, kręgle, bilard i automaty do dyspozycji - o czym ogłupiałych gości poinformowała osoba, mająca czuć nad tym, by wszyscy się dobrze bawili. Usiedliśmy.

Po chwili przywitana nas wróżka, która zaczarowuje dzieci tak, by wkroczyły w świat bajki. Polała się szampan. Z trudem łykany przez chłopców i dziewczynki. Nie zawiodłam się na wnuku.

- Ale jazz. Babciu, automaty też stawiasz? A ściankę? - już przebierał nogami, nie wiedząc, czy najpierw zjeść, czy od razu ruszyć do czekających atrakcji.

- Już rozumiem - przypomniała sobie Miśka, puszczając do mnie oko - dlaczego się przeraziłaś, kiedy powiedziałam „kin-derbal”.

- Moi kochani. Na razie niech wam wystarczy, że zdecydowałam się na świadomy krok w wiek podeszły. To wiąże się ze zmianą osobowości. Wszystko wytłumaczę później, przy herbatce i ciasteczkach, w domu. Teraz już wiecie, dziewczyny, dlaczego miałyście być w spodniach. Nie patrzcie tak na mnie, ja, tu w siatce, też mam.

Wyjęłam leginsy i podkoszulek.

- Zaraz wracam. Nie bójcie się, nie zwariowałam - dodałam, widząc ich miny.

Kiedy wróciłam, atmosfera już była rozluźniona. Jędrus i Miśka mieli odjazdowe makijaże. Nawet Ula i Anka dały sobie coś namazać na policzkach. Chłopcy skapcinali. No cóż, oprócz nas nie mieli na kim oka zawiesić. Najstarsza z dziewczyn miała około dwunastu lat. Wszyscy coś jedli.

- Jubilatko - podszedł do mnie młody mężczyzna - zapraszam do wspinaczki.

Tak byliśmy umówieni. Powiedział, że przy mojej wadze pięćdziesięciu dwóch kilogramów nie ma problemu. Mogę próbować się powspinać. On pomoże, by się udało.

- Babciu, ja z tobą - Jędrrek już zrywał się od stolika.

Patrzyli na mnie z przerażeniem. Cholera, pomyślałam. Akurat dziś, od samego rana dawał mi się we znaki mój haluks. Muszę wybrnąć z twarzą.

- Może później. Jeszcze nic nie zjadłam. Jestem bardzo głodna. Ty, Jędrrek, biegnij. Gdy wrócisz, idziemy na kręgle.

Uff. Potem powiem, że się przejadłam. Trudno. Za bardzo boli. Nie dam rady. Następne trzy godziny upłynęły nam bardzo przyjemnie. Chłopcy bawili się świetnie przy automatach. My szczerze uśmiealiśmy się, grając w kręgle...

Herbata na stole. Wino otwarte. Wszyscy czekają na obiecane wyjaśnienia.

- Szanowna Jubilatko - zaczęła Ania z wyraźnym zadowoleniem - mów wreszcie, coś znowu wymyśliła. Co za zmiana osobowości? Jaki krok w wiek podeszły?

- To bardzo proste. Dotarło do mnie, że najpiękniejszy okres mojego życia mam przed sobą - obserwowałam miny siedzących przy stole.

- Ty zawsze lubiłaś czarny humor - zauważyła Anka.

- A n i u , ty masz prawo narzekać na różne dolegliwości - przyznałam. - Ty masz dwa duże gnioty i dwa półgnioty. Czasami cię gniotą w różnych miejscach. To boli. Serce, wątroba, głowa czy krzyż - a gnioty mają luz i biegają, gdzie im się zachce.

- Nic nie rozumiem, jakie gnioty? - dopytywała Anka.

- Proste. Jako żona i matka wyhodowałaś dwa duże gnioty. Jako siostra i ciotka masz dwa półgnioty - przedstawiałam swój punkt widzenia.

- Ty też jesteś matką i ciotką. O co chodzi?

- Ja mam jako siostra i ciotka tyle samo półgniotów. Dużych gniotów mam więcej. Licz: żona, matka, podwójna babcia, roz-

wódka, kobieta: pracująca, samotna, emerytka, szanowna jubilatka - mnie wyszło dziewięć dużych gniotów. U mnie są tak ściśnięte, że nie mogą ruszyć ani ręką, ani nogą. Nawet im trudno odetchnąć. Dzięki temu nie ugniatają. Ja zmieniam osobowość. Od dziś moja szklanka będzie zawsze do połowy pełna - popatrzyłam na nich, wstałam i wzniosłam swój toast. - Piję za moje motto: precz z czarnowidztwem.

- Oj, wylałem trochę herbaty na spodnie - śmiejąc się, zakrzuszył się szwagier.

Podałam mu chusteczkę jednorazową.

- Dziękuję, nie potrzebuję - odpart, nie biorąc jej ode mnie.

- Ty nie, ale twoje spodnie. Szybciućko trzyj, jakbyś wycierał gumką. Zmieniaj strony chusteczki. Zaraz nie będzie plamy. Tylko mocno i coraz to innym, suchym kawałkiem - poradziłam. Nie raz ratowałam tak spódnice czy spodnie.

- Rzeczywiście, po plamie. Ale materiał jakby trochę bielszy - szwagier z zainteresowaniem przyglądał się miejscu po plamie.

- Wyczeszesz szczotką. Idź do łazienki, tam jest mała włosiana do paznokci, sucha, zaraz nie będzie śladu.

- Co za problem? Wiek jak wiek - rzekł szwagier, wracając ze szczoteczką w ręku.

Typowe dla chłopca, nikt mu nie powiedział, że ma to zrobić w łazience.

Mężczyźni w ogóle nie znają pojęcia kryzysu wieku średniego. Oni po prostu nie osiągają wieku średniego. Im kryzys nie zagraża. Nie dojrzewają umysłowo - w większości.

- Babciu, co za różnica pięćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat. To ta sama półka - powiedział Jędrus z rozbijającą szczerością.

Mam za swoje. Po co wpajałam mu, że trzeba być szczerym. Wyrażać śmiało swoje opinie, nie bojąc się skutków.

- Jędreku. Masz rację. To żadna różnica. Ja kończyłam osiemnaście lat, już pracując. Moja szefowa była dojrzałą kobietą. Patrzyliśmy na nią z obrzydzeniem. Dwoje dzieci. Stara baba - a ubiera się w mini. Miała trzydzieści lat. Dziś jest inaczej. Dziś trzydziestolatka to młoda laska. Dla sześćdziesięciolatków. Mężczyzn oczywiście. Chyba że ustawiona. Wtedy jej młodość dostrzegają również co wygodniejsi i starsi dwudziestopięcioletni panowie.

- Babusiu Alusiu, zawsze byłaś najmłodszą z babć - pocieszająco zaczęła Miśka, niepotrzebnie dodając - teraz też, jak na swoje lata, świetnie się trzymasz.

- Misiu, jak na swoje lata, to ja dopiero teraz będę kwitła. Jeszcze się zdziwisz, wnusiu, ile w mojej szafie będzie najmodniejszych ciuchów.

- Mamo, nie przesadzaj. Dobrze wyglądasz. Masz dużo energii. Tylko pozazdrościć - to był głos Uli.

Na córkę zawsze mogę liczyć. Wierzy we mnie. Czasami tylko przygląda mi się z lekkim przerażeniem, co mi wpadnie do głowy.

- Dla mnie jesteś w najlepszym wieku kobiety - mój przyjaciel chciał się widocznie zrehabilitować.

Posadziłam go na kinderbalu daleko od siebie. Dotarło do niego, że coś było nie tak. Ale co, nie bardzo potrafił stwierdzić. Przyjaciel jest starszy ode mnie o piętnaście lat. Zinterpretowałam jego komplement właściwie. Należał mu się buziak. Z jego portfelem i przedłużeniem męskości mógłby mieć czterdziestkę, a nawet młodszą. Nieźle się trzyma. Nawet nie mogę dodać - jak na swój wiek. Chłopy wieku nie mają. Oni mają stanowiska, samochody i karty kredytowe. Właściwie mogliby nie używać nazwisk. W większości przypadków wystarczyłoby na przywitanie: Sponsor jestem.

Widziałam lekko skrzywioną minę Anki. Znam ją. Ona na pewno myślała: „Stary dziad, powinien się cieszyć, że ma młodszą o tyle lat babę. Co Ulka w nim widzi?” Jej tok rozumowania jest łatwy do przewidzenia. Ona nie zna pojęcia wieku podeszłego, nawet u kobiet. Ona jest po prostu dorosła, broń Boże, dojrzała.

A ja? No cóż. Jesień. Dojrzałam. Nikt mnie nie zrywa, chcąc umościć w wysłanym delikatnymi wiórkami koszyczku. Najwyżej nadgryza, sprawdzając, czy jestem jeszcze jędrna, na tyle, by schrupać kawałeczek. Nie zamierzam zostać na drzewie w postaci ogryzka. Tym bardziej przejrzyć i samej spaść na twarde podłoże. Obić się ze wszystkich stron i zostać na ziemi jako odpad.

- Powiem wam krótko. Za mną, Jędrusiu, twój ciężki okres życia. Czyli, ucz się, ucz, a garb ci sam wyrośnie. Ty, Misiu, jesteś wiosną. Piękną, kwitnącą, majową. I kwiatkiem czekającym na tego jedyne, najwspanialszego motylka. Na razie trafił ci się wałkarz lipczyk, opiętek dwuplamkowy, a nawet nadobnica alpejska. Sama opowiadałaś, oburzona, że masz takie wzięcie. Ten ostatni, co to miał wszystkie atrybuty tego naj, okazał się zwykłym turkuciem podjadkiem. Twój okres życia to ciągłe szukanie i strach, by nie zapylił cię przypadkowy szkodnik.

- Ula, ty, córeczko, jesteś lato. Cieszysz się, że masz pracę, martwisz, czy na długo. Zadowolona jesteś, że żyjesz w konkubincie, myśląc jednocześnie: ile jeszcze razem? Wiesz, że jeszcze dużo możesz, na dużo cię stać. Jednocześnie już odliczasz, ile czasu ci zostało. Anka, ty jedną nogą stoisz w lecie, drugą w jesieni. Stojąc w rozkroku, marzysz o wiośnie. A ja jestem jesień. Już się naumiałam, napracowałam, skutecznie zapyliłam. Wnuki odchowałam. Już nic nie muszę. Najważniejsze, nikt mi niczego nie może: kazać, nakazać, pozwolić, zabronić. Wiek podeszły to cudowny usprawiedliwiacz. Daje mi pełne prawo do zmiany oso-

JOLANTA KWIATKOWSKA

bowości, czyli: zmniejszenia aktywności, zacieśnienia zainteresowań, skupienia się na własnych sprawach i przekonania o swej nieomyślności. Jesień życia to WMW. Czytaj: wszystko mi wolno. Robię tylko to, na co mam ochotę.

Wszyscy wpatrywali się we mnie troszkę zaszokowani. A może nieco więcej niż troszkę. Nie dziwiłam się. Znają mnie. Wiedzą, że słowa dotrzymuję. Jedynie Jędrrek zareagował spontanicznie:

- To ja też chcę być emerytem.

Żegnając się ze wszystkimi, dodałam jeszcze:

- Zaczynam od teraz. Na wszelkie okazje, może być też bez, nie kupujcie mi już żadnych prezentów. Wystarczy jeden kwiatek. Do tego koperta z załącznikiem, co łaska. Przypominam, że ksiądz mówił: „Włożyć mniej niż pięćdziesiąt złotych, nie wypada”...

Zajęłam się dobieraniem składników, przypraw i dopieszczaniem swojego jesiennego koktajlu.

SKŁADNIK PIERWSZY:

Skupiam się na własnych sprawach. Ulka, Miśka i Jędrzek mają swoje absorbujące problemy. Czas dla mnie wtedy, gdy im wygodnie. Lub gdy są zmuszeni sytuacją, na przykład moją chorobą. Bardzo mi to odpowiada. Cieszę się, kiedy rzadko i na krótko wpadają. To dowód, że wiosny są zdrowie. Jestem też wtedy pewna, że u nich wszystko w porządku. Superstowo. Wystarcza za: nie mają kłopotów w pracy ani w szkole. Czują się dobrze. Nie pokłóciły się ze swymi obecnymi połówkami. Nie narzekają na brak towarzysztwa i rozrywek. Nie mają depresji ani doła. Od chwili moich urodzin wiedzą, że każda dłuższa wizyta ma być zapowiedziana wcześniej. Ja już nie chcę dla nich rezygnować z własnych zajęć. Tym bardziej dopasowywać swoich terminowych spraw do ich harmonogramów dnia. Teraz czas na zmianę. Liczę się najpierw ja, oni w drugiej kolejności. I to nie jak w zagadce, którą im zadawałam, gdy byli mali: „To było tak, bociana drapał szpak. Potem była zmiana, szpak drapał bociana. Potem były dwie zmiany. Ile razy szpak był drapany?” Długo mieli problemy z prawidłową odpowiedzią. Teraz nie mają, ja tym bardziej. Moje sprawy to: wykłady, gimnastyka, na którą znów chodzę. Wycieczki. Spotkania. Raz w miesiącu tańce. Raz w tygodniu brydż. Czat w necie. Dyskusje na forum. Zabiegi kosmetyczne, we własnym Spa. W salonie za drogo na emerycką kieszeń. Kupiłam na raty urządzenie do profesjonalnej kąpeli perłkowej. Urządzenie do manicure z podwójną prędkością. Od Ulki dostałam wanienkę do masażu stóp z podgrzewaczem.

Mam trzy optymistycznie nastawione psiapsióty. Spotykamy się raz na dwa tygodnie u mnie. Dzień w Spa.

- Ala, zobacz, co przyniosłam - Ewka woła już od progu. - Kupiła mi znajoma kosmetyczka, na ich specjalistycznych targach. W zwykłym sklepie nie dostaniesz. Zobacz - wręczyła mi pudło.

- Rozbieraj się. Danka i Kryśka dzwoniły, że już dojeżdżają. Zaglądam do pudła. Super! Algi morskie. Już czytam, jak się to rozrabia. Położymy na twarze i dekolty. Rozliczymy się, gdy pozostałe dotrą.

Umowa była oczywista. Za wszystko płacimy wspólnie. Za wodę też. Ostatecznie, cztery wanny wody to nie byle co. A papu też kosztuje.

Przygotowałam ptysie ze śmietaną. W mojej cukierni za szesnaście sztuk musiałabym zapłacić prawie czterdzieści pięć złotych. Mój koszt to około dziewięć złotych za szesnaście sztuk. Robota żadna. Góra dziesięć minut. Potem same się pieką. Zaoszczędzone trzydzieści sześć złotych. A można małe, duże, na słodko i na pikantnie. Miśka już zapisała w Łopatologicznych przepisach babusi Alusi.

Kryśka w wannie, pieści się peretkami z dodatkiem zapachu tatarakowego. Danka masuje nogi. Ewka już po kąpieli leży z maseczką z alg. Ja po masażu stóp robię manicure.

- Dziewczyny, co ja miałam wczoraj za noc! Mówię wam, bajka - pochwaliła się Danką.

- Poczekaj. Teraz relaks. Opowiesz przy ptysiach i kawie. Ala, włącz muzykę - wymamrotała Ewa, bojąc się, by maseczka nie popękała.

My z Kryską stanu wolnego. Ona wdowa. Ja rozwódka. Ewa prawie szczęśliwa w małżeństwie. Danką ma „przydupasa”, jak mówi, na przychodne. Raz w tygodniu. Kryśka stan wolny, całkowi-ty. Nie może nikogo przygruchać. Ja jeszcze trzymam swojego, ale wiem, że to tak w rezerwie. Na chandrę, gdyby jednak nieproszona, chciała się siłą wdrzeć. Mam ochotę na polowanie. Jest w końcu równouprawnienie. Trochę adrenaliny dobrze wpływa na smak.

Wszystko u wszystkich wyperetkowane, wymasowane, buźki wypiękniaty, szpony górne i dolne, w zależności od upodobania, mienią się różnymi barwami.

- Dziewczyny. Jesień jest piękna. Tylko trzeba się nauczyć dostrzec piękno i w listopadzie - powtórzyłam im swoje motto, by wbić im do głów.

- Nie wiem, jak wy, ja się czuję zajebiście - Ewka lubiła takie powiedzonka.

- Ewa, to już przestaje być modne. Podobno teraz się mówi full wypas - dzieliłam się informacją uzyskaną od wnuka.

- Zajebistą Ewuniu to ja miałam wczorajszą noc - Danka kończyła trzeciego ptysia i przebierała nogami, by wreszcie opowiedzieć o swoich przeżyciach.

- Mów. Tylko z pikantnymi szczegółikami - najbardziej ciekawa była Kryśka. - Niech sobie chociaż postucham.

- Mój przydupasik, jak wiecie, ma siedemdziesiąt pięć lat. Mówi, wyrósł z wieku starczego, który miał czterdzieści lat temu. Wtedy wystarczała mu siłownia. Teraz jest za stary na sztangi. Wszedł w wiek męskości na seks. Teraz ma ciągle ochotę. Może, to fakt. Najczęściej raz. Na dobę. I tak jest wspańiale. Mój były w wieku czterdziestu mógł raz na trzy miesiące. Po wielkim namawianiu. - Machnęła ręką, dając nam znać, że seks był „szkoda gadać”. Teraz postuchajcie, spróbuję odtworzyć naszą rozmowę:

- Danka. Chciałbym ci zadać parę pytań na temat seksu - mówiła, naśladując jego tubalny głos.

- Pytaj. Dziś na temat seksu należy śmiało mówić. Tak wszędzie piszą. Małolaty mówią wprost, nie krępują się. Ja się zawsze wstydziłam i nie najlepiej na tym, jako kobieta, wyszłam. Jeszcze mam czas to nadrobić. Jak nie teraz, to kiedy? - odpowiedziałam. - Pojętnam uczennica, co Alusiu? - mrugnęła do mnie.

- Danusiu - ciągnęła dalej jego głosem. - Przygotuję wino. Zamówię jedzenie z tej restauracji obok mnie. Ty pomyśl o nastroju. Może świece. Zrobimy sobie seksparty.

- Tak już robiliśmy. Co w tym nowego? - zapytałam, widząc, że nie wie, jak przejść do sedna.

- I on wtedy nagle pyta: Chciałabyś parę razy w tę noc? W różnych pozycjach?

- Pewnie. Tylko ty możesz raz - walnęłam prosto z mostu.

- Widzisz, ja chcę spróbować, tylko nie śmiej się, viagry - powiedział i w napięciu przyglądał się, jak zareaguję.

- No i dobrze. Dużo młodszy od ciebie biorą. Po to ją wymyślili. Dlaczego nie? Weź - sama byłam ciekawa efektów.

- No tak. Ale wyczytałem, że wzwód nie pojawia się sam. Erekcja wymaga zwykłej stymulacji seksualnej. Gotowość utrzymuje się od trzydziestu minut do godziny.

Chciała sięgnąć po ptysia. Nie dałyśmy jej. Dopóty nie skończy opowiadać, nie pozwolimy na żadne przerywniki.

- Będziesz mógł przez całą godzinę? - to mnie zaciekało. Zawsze należałam do tak zwanych zimnych kobiet.

- Każdy organizm reaguje inaczej. Muszę ją połknąć przynajmniej na czterdzieści minut przed konsumpcją. Wołałbym przy tobie. I zjemy kolację. W tym czasie powinna zadziałać - wprowadzał mnie w szczegóły.

- To znaczy czterdzieści minut przed jedzeniem? - wołałam się upewnić.

Wybuch śmiechu był jednoczesny. Cała Danka. Ona musi mieć kawę na ławę.

- Nie śmiecie się. Mówił o konsumpcji i o kolacji, to skąd miałam wiedzieć, kiedy ma łyknąć? - Danka była lekko urażona naszą reakcją.

- Nie obrażaj się, tylko mów. Żadna z nas nie spała z viagrą. Jesteśmy po prostu zazdrosne, spodziewając się, ile miałaś przyjemności - uspokajałam ją.

- W i ę c mi wyjaśnił, że czterdzieści minut przed stosunkiem. A ja na to: gra wstępna odpowiada mi bardzo. Nawet raz za

razem możemy pisać wspólnie wypracowanie. Oby było rozwinięcie i szczęśliwe zakończenie - powiedziałam, bo wyszedł ze mnie belfer. Łyknął. Wypił tylko pół lampki alkoholu. Podobno przy stosowaniu lepiej nie pić alkoholu. Wtedy skuteczność jest prawie dziewięćdziesięcioprocentowa. Dziewczyny! Po godzinie zaczęliśmy wstęp. Krótki. On już był rozwinięty i zbliżał się ku zakończeniu.

- Uuu - to był jęk zawodu nas wszystkich.

- Powiedziałaś, że miałaś zajebistą noc. A tu jak zwykle. - nasze wspólne rozczarowanie wyraziła Ewka.

- Daj skończyć - Danka zbyła nas machnięciem dłoni. - Postawił kropkę. I teraz najlepsze: cienkopis wciąż stał. Nie chciał się położyć. Zmieniliśmy pozycję. Teraz ja pisałam. Znow on dopisywał. Ja trochę, on trochę i ja postawiłam kropkę. Ległam zmęczona. On zziąjany, spocony, zasapany - długopis dalej gotowy do pisania.

- Ooo - tym razem z zazdrością i niedowierzaniem słuchaliśmy w wypiekach. Róż był niepotrzebny.

- Jeszcze z trudem napisaliśmy dwa wypracowania, starając się przyjmować najmniej męczące pozycje. Cienkopis był ciągle wypełniony tuszem. Niestety, my padliśmy. Nie mieliśmy siły nawet bazgrolić. I teraz najlepsze. W pozycji gotowości był przez pięć godzin - powiedziawszy dobitnie te „pięć godzin”, patrzyła na nas z pobłażaniem i litością.

- I nie wykorzystataś do końca? - zapytała Kryśka z wyraźnym żalem.

- To aż tak to działa? - naprawdę nie chciało mi się wierzyć.

- A l e ci się miodzio trafił. Mojego za skarby świata nie namówię na viagrę, on uważa, że raz na dwa miesiące jest i tak dużo - z wyraźnym żalem stwierdziła Ewa.

- To rozpuść mu w soku i daj do wypicia - podsunęła Kryśka.

- Nie wygłupiajcie się. To może być niebezpieczne. Są przeciwwskazania. Ten długo trwający wzwód to dzięki koledze, który, dając mu swoją viagrę, powiedział, żeby dla pewności tyknął dwie. Mój, chcąc się wykazać, potknął trzy. Całe szczęście, że tylko tak się to skończyło.

Poszły. Kryśka, namówiona przez nas, też skorzysta z dobrodziejstw nauki. Mam jej zamówić przez Internet, na jej adres, wibrator. Pojutrze wpadnie, to wybierzemy razem. W cudownych czasach żyjemy. Przyrządy. Partnerzy w Internecie. Obrazki i filmy szkolące.

Kładąc się spać, pomyślałam: jesień jest piękna. Oby tak dalej. Bez problemów zasnęłam...

- Jędrak, co u ciebie? - próbowałam dowiedzieć się, co słychać u mojego wnuka.

- W porzo. Chodźmy, chciałaś, bym pokazał ci coś przy komputerze. Za pół godziny lecę na siłownię.

Jest dobrze, pomyślałam. Gdy ma jakiś problem, to odpowiada: spoko. Zupełnie nie rozumiem oburzania się dojrzałych na słownictwo niedojrzałych. Mówią krótko. Konkretnie. Jednoznacznie.

Szliśmy z Jędrkiem i psem przez park. Wnuk spotkał kolegę.

- Siemka. I co?

- W porzo, aucie?

- Spoko.

- Narka. Żółwik?

Zrobili żółwika. Wyszliśmy z parku. Jędrak z psem poszedł do domu. Ja skręciłam do sklepu.

- Dzień dobry. Co u ciebie słychać? - zapytałam napotkaną koleżanką z ostatniej pracy.

- Dziękuję, stara bida. A u ciebie? - też wykazała zainteresowanie.

- Też wszystko w porządku - odpowiedziałam.

Szliśmy parę metrów razem. Do najbliższego skrzyżowania.

- Ja w prawo, a ty? - zapytała.

- Ja prosto.

- Do widzenia.

- Do widzenia.

Podaliśmy sobie ręce.

Oni potrzebowali pięciu słów, dwóch półsłów i trzech głosek. My czternastu pełnych, siedmiu półsłów i sześciu głosek. Sens i efekt ten sam.

Różniły się te rozmowy szczerością. U nich była pełna. U nas zdawkowo przestodzona.

- Jędrus. Poczekaj, zapiszę sobie, bo zapomnę - próbowałam go przystopować, nie nadążając za tym, co mówi.

- Nie czaisz? - Jędrak był zdziwiony i zniecierpliwiony.

- A ty wczoraj addycję bromu do acetyleny czaiłeś?

- Dobrze, już dobrze, pisz: zaznaczasz. Potem „Ctrl” i „C”. Trzymając, naciskasz „V” tak długo, jak chcesz, zapisałaś? - wyjaśnił niby spokojnie, ale widać było, że mu się spieszy.

- Czekaj, jeszcze spróbuję przy tobie! - krzyknęłam, widząc, że już jest przy drzwiach. - Udało się! - dodałam, bardzo z siebie zadowolona.

- W przyszłym tygodniu wpadnę z polskim. Zadzwoń, czy masz czas. Lecę. Narka - i już go nie było...

SKŁADNIK KOKTAJLU, DRUGI.

Zacieśnienia zainteresowań. Teraz interesuję się sobą. Koniec z wielką polityką, na którą i tak nie mam żadnego wpływu. Z poglądem, że to młodzi muszą mnie utrzymywać ze swoich zarobków, całkowicie się nie zgadzam. Pracowałam trzydzieści siedem lat i płaciłam co miesiąc podatki oraz składki na ZUS. Gdybym miała to w banku, niezła sumka byłaby z samych odsetek. Niech się cieszą, że wszyscy emeryci nie składają zbiorowego protestu na okradanie ich przez dalsze zabieranie podatków i składek. Od dziś w dni smutne i szare oglądać będę transmisje z obrad sejmu. To lepsze niż kabaret. Nie będę słuchać tego, co mówią, bo najczęściej nic nie mają do powiedzenia - tylko tego, jak mówią. Porcja gimnastyki przepony zapewniona.

Wczoraj, podczas spotkania w kawiarni, w miłym gronie przyznałam się jako jedyna, że oglądałam *Modę na sukces*.

- Tę szmirę? Nie szkoda ci czasu? - zapytała z oburzeniem Ela. - Tam ciągle Brooke w którymś się kocha.

- Szkoda, że uśmiercili Taylor - dodała Zosia. - Ale ja też nie oglądam - wyjaśniła z taką miną, iż wiadomo było, że jest ponad.

- Te baby nic się nie starzeją, choć czas płynie. Dzieci dorosły, a Ridge Forrester wciąż młodziutki i nabity - zauważyła Ela. - Są bardziej życiowe seriale. Ja oglądam Plebanię.

- Ja oglądam Brooke - powiedziałam. - J a k nie mam czasu, to powtórkę na drugi dzień. Cudowny serial. Właśnie dlatego, że się nie starzeją. Kochają, zdradzają, umierają i cudownie wracają do życia. Godzina w świecie luksusowej bajki. Na morderstwa, bezębnych, ciemnych typów, nędzę, brud i smród - szkoda mojego

czasu. Wy, jak słyszę, nie oglądacie. Wiecie, że serial ten idzie już dwadzieścia dwa lata. Ma około trzysta milionów widzów na całym świecie. Ja już swoją porcję szarości i odwiecznych problemów codziennego życia zjadłam. Czasami przetykałam z trudem. Nierzadko długo mi stała w gardle. Teraz dawkuje sobie tylko ambrozję i nektar. A że nie jestem Zeusem i nie przynoszą mi gołębie, sama stałam się swoim zaopatrzeniowcem - mówiłam do nich, widząc, że nie mam zupełnie zrozumienia. One wołają o trudnościach, chorobach, sprzeczkach, problemach z dziećmi, o obawie przed panującą gripą i „strasznie dołującą pogodą”. Im gorzej, tym lepiej. Muszę ograniczyć z nimi kontakt. Zakłócają smak koktajlu...

- Mamuś, wreszcie znalazłaś dla mnie czas - wykrzyknęła Ula z wyraźnym wyrzutem.

- Córciu, rozmawiamy codziennie przez telefon lub wysyłamy sobie esemesy, wiemy, że wszystko gra.

- Tak, tak. Ja tylko widzę, że fruwasz. Jędrrek mówi, że teraz do ciebie to jak na audiencję, trzeba się zapisywać. Opowiedz, gdzie ty właściwie latasz? Z wrodzonego taktu nie pytam z kim?

- Ula była najwyraźniej bardzo zaintrygowana.

- Umawialiśmy się, że posiedzisz. Nic się nie zmieniło? - wołałam się upewnić.

- Za jakieś trzy godziny wpadnie też Jędrrek. Ma do ciebie prośbę. Nie chciał mi powiedzieć, jaką. To podobno wasze sprawy. Razem pójdziemy do domu - zdejmując sweter, Ula poszła wyjąć z szafy cieńszą bluzkę. - Mama, jaka śliczna spódnica, mogę przymierzyć? - pytała, już wkładając na siebie.

Wiem, że śliczna. Dwa miesiące czekałam. Ekspedientce zaniostałam czekoladki, potem buteleczki z likierem. Radzę się i zdaję na jej gust. Nie zawsze kupuję. Tak jak obiecała, rano, telefonicznie powiadomiła mnie, że dziś spódnica będzie w promo-

cji. Dużej. Z czterystu dwudziestu złotych na sto dwadzieścia. Solejka. Długość do ziemi. Czarna, drobnutko plisowana, rozkładająca się dołem jak kwiat tulipana. Lekko się mieni, przyjmując srebrzysty połysk w otwierających się fałdkach. I rzeczywiście nie gniecie się. Można zwinąć w tubkę i zmieści się nawet w torbie. Już mam upatrzone dwie bluzki i bolerko. Będzie strój i na tańce w karnawale, i do teatru czy filharmonii. Na wigilię też.

- Pożyczysz? - Uli się spodobała. - Miśka widziała?

- Tak. Też pytała. Ma mi przynieść ten swój biały w szarowiśniowe mazaki żakiet. Już się jej opatrzył. Będzie mi pasował do białych džinsów. Mówiła, że ty masz idealnie pasującą do tej wiśni bluzeczkę na szerokich ramiączkach.

- Jutro ci podrzucę. A może ty wpadniesz, wracając z kursu komputerowego. Będę w domu - wykrzyknęła Ula bez chwili zastanowienia.

Wszystkie trzy mamy zbliżoną wagę i wzrost. Większością ciuchów możemy się wymieniać. Każda może mieć uatrakcyjnione wyjścia bez wydawania pieniędzy.

- Ula, zjesz szarlotkę? - spytałam, wiedząc, że ona, w przeciwieństwie do mnie, lubi taką prosto z piekarnika. Gorącą.

- Upiekłabyś szybkościówkę? Podyktowała mi przepis Miśka. Z tego zeszytu, co jej dałaś. Rzeczywiście, to jest łopatologia. I dobrze, bo wszystko jasne nawet dla takiego matola kulinarnego jak ona - Ulka mówiła to żartem. Sama też lubiła dokładne przepisy.

- Zetrzyj mi tylko jabłka i posmaruj foremkę. Opowiadaj. Mówiłaś, że coś się dzieje w pracy.

- On już zupełnie znikował. Odbija mu kompletnie. Jak tak można się zachowywać? - zaczęła Ula, jak zwykle zdziwiona i zaskoczona.

- O którym mówisz tym razem? O szczęściu czy o szefie? - zażartowałam.

- O szefie, oczywiście. Mój na razie w fazie normalności - odparła uspokajająco Ula.

- Dał nam trzydziestosześcioletni regulamin właściwego zachowania na stanowisku. Nie uwierzysz! Jest tam: uśmiech do klienta delikatny, nie za szeroki. A sam ma ciągle skrzywioną gębę. Telefon ma być odebrany nie wcześniej, ale i nie później. Równo z drugim dzwonkiem. Jak dzwonią dwa, odbieramy obydwa. Pro- wadzimy rozmowy telefoniczne, nie przerywając obsługi klienta. Chyba łokciami naciskamy klawiaturę komputera, a zębami poda- jemy druki do wypełnienia, nie zapominając o uśmiechu. A sam zapomniał, że miał na dziś dwóch umówionych interesantów. Oso- biście mu rano przypominałam. Skleroza totalna. Dzisiaj po prostu nawrzeszczał na Ankę, że nie była w firmowych spodniach. Jak z jej figurą chodzić w biodrówkach? Nie dociera do niego, że nie miał racji, upierając się na ten model spodni dla wszystkich bab jednakowy - Ulka mówiła z buzią pełną szarlotki.

Patrząc, jak pałaszuje, miałam powiedzieć: „Poparzysz się, poczekaj, niech trochę przestygnie”, ale udało mi się pohamo- wać. Dawno obiecałam sobie, by nie mówić rzeczy oczywistych. Oczywiście to: „Jedź ostrożnie”. Tak, jak gdyby nie padły te słowa, kierowca miał jechać na łeb na szyję. „Uważaj na siebie”. No i sakramentalne: „A nie mówiłam”. „Założ ciepłą kurtkę, bo się przeziębisz”. „Nie pij zimnego piwa, będzie cię bolało gardło”. „Spocona po tańcach, przy otwartym oknie - zapalenie oskrzeli gwarantowane”. „Zimny bigos, dziecko, wątroba da ci się we znaki”. „Uprzedzałam, przecież, że tak będzie”.

Pamiętam, jak mnie złościły i denerwowały te ciągle uwagi mamy, babci. Nie mogłam wyjść z domu bez paru przykazań, co mi wolno, czego nie. Mimo że słyszałam je tysiące razy. To były czasy prehistoryczne (nie tylko dla mojego wnuka). Musiałam nosić grube majtki. Mama wkładała mi rękę pod spódnicę, by

JOLANTA KWIATKOWSKA

sprawdzić, czy je mam. Szyja opatulona szalikiem. Obowiązkowo czapka na głowie.

Majtki zdejmowałam, schodząc do piwnicy. Tam był taki bezpieczny korytarzyk. Czapkę dopiero za rogiem ulicy. Mama czasami wyglądała przez okno. Szalik wkładałam pod kołnierz kurtki i końce puszczałam luzem. Wyglądałam w dechę. Dziś podobno znów wraca to powiedzenie.

Teraz kurtkę zakładałam nieodpowiednią do pogody, tylko pasującą do miejsca, do którego się wybieram. Piwo piję zimne, chyba że na gorąco z kogłem-mogłem i przyprawami. Spocona po tańcach, sama idę otwierać okna. Gorąco. Zaduch. Nie ma czym oddychać. Zimny bigos wsuwam, łykając przed tym dwie tabletki raphacholienu. Jem wprost z garnka. Wtedy do umycia jest tylko widelec.

- Córciu, zapomniałaś? Mnie również obowiązywał regulamin. Szef nie wrzeszczy, tylko dobitnie wyraża swoje poglądy. Szef się nie krzywi, jedynie uśmiecha się bez entuzjazmu. Szef nigdy i niczego nie zapomina. Po prostu jest za mądry, by zaśmiecać sobie pamięć zbędnymi szczegółami.

- Pamiętam - odparła Ula, odpinając spodnie - jak dla kawału kupiłaś mu tabliczkę z napisem „Szanuj szefa swego, bo możesz mieć gorszego”, a on to wziął na poważnie i przybił ją na drzwiach do swojego gabinetu. Mamuś, wszystkie chłopcy w tym wieku, są beznadziejne - uogólniła Ula.

- Miałaś rację, nie dodając, w tym wieku - śmiałam się. - Oni nie są głupi. Kierują się jedynym aksjomatem: Ewa jest gorsza, bo z żebra Adama. Nie doczytali ze zrozumieniem, iż Bóg po stworzeniu Adama zapłakał: „To mi się nie udało. Muszę jeszcze raz spróbować stworzyć arcydzieło. 1 stworzył Ewę”.

Śmiejąc się, Ula otworzyła drzwi Jędrkowi.

- Dziewczyno, z czego tak rechoczenie? - zapytał i od razu dodał - babciu, daj coś na ruszt, jestem strasznie głodny.

- Idziemy. Zjesz w domu - Ula spakowała część szarlotki do zabrania.

Widząc zrozpaczoną minę Jędrka i gesty, którymi pokazywał, że za chwilę padnie trupem z głodu, zrobiłam mu swojego burgera. Sałata, plaster żółtego sera, plaster szynki, dwa plastry pomidora, ogórek, oczywiście keczup i musztarda. Ścisnęłam, zabezpieczyłam serwetką. Szczęśliwemu, z pełną buzią udało mu się wybełkotać:

- Narka...

Zainteresowania zacieśniłam. Interesuję się tylko tym, co ma poprawić mi humor. Oglądam tylko te filmy, seriale i programy, w których jest żart, pozytywny wydźwięk, dawka optymizmu i baju-baju. Często programy przyrodnicze. Nie te o żarłocznych lwach rozszarpujących zębami upolowaną sarnę. Wolę śliczne rybki, motylki, pracowite pszczołki. Chociaż te jakby mniej, bo pojęcie pracowitości wykreśliłam. Psuje harmonię zapachu w moim jesiennym koktajlu.

Za to duża szczypta błógiego lenistwa jest cudownym dodatkiem. Za oknem plucha. Zimno. Silny wiatr łopocze gałęziami drzew przed moim oknem. Ja nie muszę iść do pracy. Nic ani nikt nie próbuje wyciągnąć mnie z łóżeczka. Jesień życia - mój błogostawiony stan. Godzina jedenasta. Z kawusią, kanapeczkami, kawałkiem ciasta leżę w ciepłym wyrku. Z harlekinem. Ona kocha. Przeważnie biedna, ale śliczna i porządna. On boski. Męski. Miodzio. Wiele pszczołek musiało się napracować na tyle miodku. On zdejmuje klapki z oczu. Dostrzega. Już mu świta. Jeszcze nie wie co, ale parędziesiąt stron dalej zaskakuje mu rozrusznik. Sadza ją obok siebie. Mkną już razem do krainy szczęśliwości. Czas dopieścić siebie.

Nie Miodziem, bo go nie ma. Wyjechał. Perelki z zapachem jaśminu, przy palących się świecach i kieliszku wina dopieszczą-

ją. Jeśli odpowiednio ułożysz matę i dasz na najsilniejszy sto-
pień, żaden truteń nie będzie ci potrzebny, tłumaczyłam Krysi.
Nie tylko jej.

- Kryśka, nie narzekaj, nie psiocz na los i życie - przekony-
wałam przez telefon, łopatologicznie, Kryśkę. - Zostaw to czter-
dziestkom. Rozejrzyj się i posłuchaj. One, według siebie, mają tylko
powody do zamartwiania się: starzeniem, upływającym czasem,
utrzymaniem pracy, co gorzej, chłopa, by nie zwiął do młodszej.
My mamy powody do zadowolenia. Za mężem nie płaczesz. Zdra-
dzał, bił, poniewierał, znosiłaś to tylko dlatego, by nie być samą.
Marząc jednocześnie o chwili spokoju. Masz teraz czas spokoju
i dwa wyjścia. Jedno to gderać, biadolić, kwękać i czekać na kostu-
chę, podpierając się nekrologami, że z naszej półki już biorą. Drugie
to uwierzyć, że teraz właściwy czas na cudowne dni, wypełnione
samymi przyjemnościami - przekonywałam, bo bardzo ją lubiłam
i przykro by mi było skreślić ją z listy znajomych.

- Tak. Same cudowne chwile. Krzyż mnie zapieprzą tak, że
każdy ruch czuję jako ból w cebulkach włosowych - najwyraż-
niej była jednak zdotowana do dna.

- Wzięłaś proszek przeciwbólowy?

- Coś ty. Nie chcę się uzależnić. One szkodzą - zagrzmia-
ła oburzona Kryśka. - A ty przestałabyś wreszcie kopcić. Zoba-
czysz, umrzesz na raka płuc - straszyla.

- Mam dla ciebie dobrą radę - spokojnie mówiłam, puszczaj-
jąc dymka. - Naturalny, rewelacyjny środek. Stuprocentowa sku-
teczność. Uśmierza każdy ból i nie uzależnia - dokończyłam.

- Mów. Jaki? - już gotowa zastosować. Lubiła bezpieczne środki.

- Weź gruby, tylko nie sztuczny, sznur i się powieś. Ból uśmie-
rzony na zawsze. Nie zdążysz się uzależnić. Dodatkowo usunie
wszystkie powody do narzekania. Rewelacja za friko - starałam
się nie roześmiać, słysząc jej oburzone sapanie.

- Ty i te twoje rady. Myślałam, że mi pomożesz. A ty się nabijasz - w jej głosie brzmiał autentyczny żal.

- To teraz na poważnie. Uprzedzam, że jak nie zastosujesz się, to wymażę twój numer w notesie i kasuję w komórce. U ciebie to przecież korzonki. Bierzesz gorącą kąpiel z dziesięcioma kroplami tego olejku sosnowego, który razem kupiliśmy. Potem smarujesz krzyż maścią i owijasz się szalem moherowym. Łykasz proszek i wchodzisz do łóżka. Leżysz do jutra rana. Jutro myjesz głowę. Zakładasz ten kostiumik, w którym ostatnio byłeś na naszej kawce z dziewczynami. Przyjeżdżasz po południu do mnie. Ja cię maluję i idziemy na dyskotekę dla 40+. I nie chcę słyszeć żadnego ale - mówiłam stanowczo, sądząc, że zacznie się wykręcać.

- Naprawdę? Zabierzesz mnie z sobą? Miałam cię prosić, ale się krępowałam. No to pa. Idę do wanny - najwyraźniej kręgosłup już Krysię mniej bolał.

Mówią, że cudów nie ma. Są. Jak najbardziej. Codziennie. Czasami musimy tylko troszkę im pomóc...

Już pół roku, z regularnością dwa razy w miesiącu, chodzę po-
tańczyć. Fajny jest ten nowy Uniwersytet. Gimnastyka prowadzona
bardzo różnorodnie. Mamy stretching. Koncentracja na rozciąganiu
wszystkich mięśni. Likwiduje przykurcze mięśniowe, poprawiając
gibkość. Fitball. Ćwiczymy z piłką. Pilates w niewielkim stopniu
obciążający stawy. Uczestniczyć w tym mogą nawet osoby po kon-
tuzjach. Wzmacniane są mięśnie całego ciała, w szczególności głę-
bokie brzucha i grzbietu. Wykonujemy ćwiczenia przy spokojnej
muzyce. Babka jest świetna. Wprowadza elementy tai-chi. Metody
oparte na wschodniej sztuce osiągnięcia zdrowia i spokoju umysłu.

Gimnastyka jest dwa razy w tygodniu. Ja staram się jeszcze
ćwiczyć w domu. Łączę dwa w jednym. Ścieram kurze, wyko-
nując elementy tańca. Poleruję meble, wzmacniając ruchomość

barków. Przy szorowaniu garnków ćwiczę nadgarstki. Na pytanie „co robisz?” odpowiadam w zależności od tego, kto dzwoni. Jeśli któraś z koleżanek, to: „Gimnastykuję się przy muzyce”. Jeśli mój: „Jestem wykończona, robię generalne porządki. I piekę twój ulubiony piernik”. Niech wie, jaką pracowita czyściocha. A co! Młodsza babska generacja nie zwraca uwagi na ład w mieszkaniu. Nie piecze domowych ciast. Młodzi mężczyźni (od czterdziestu do osiemdziesięciu lat) dalej upajają się zapachem pasty i pieczonego ciasta. Przypomina im się okres dzieciństwa i ciepło rodzinnego domu. Wtedy byli szczęśliwi. Nic nie musieli robić, niczym się legitymować. Mieli karty do gry w Piotrusia, potem w Tysiaca. Dużo samochodzików. Byli najważniejsi i najwspanialszy. Wystarczyło, że byli.

Zapachy z tego okresu to skuteczny (dlatego niereklamowany) owadobójczy sposób na dopiero co wyklute meszki. Wszędzie ich pełno, wciskają się każdą szparą, by zyskać, ile się da. Wiedzą, że żyją krótko i za chwilę zostaną wyparte przez nowe pokolenie. Posiedzą na pawiu. Nie pogardzą starym jastrzębiem. Kryją się i obserwują, czy nie pojawi się nowa ofiara, którą można dopaść, ugryźć i odlecieć. Wściekłe, jakby krwi było za mało lub nie tej marki, mszczą się, wpuszczając uczulający i podrażniający enzym. Czują się zadowolone, kiedy dopieką ofierze. Spełnione, gdy przy okazji zatrują życie jej otoczeniu...

Tego dnia zaatakowała mnie własna przebiegłość. Mówił, że słabo się czuje. Jest zmęczony i nie będzie się ruszał z domu. Dlatego palnęłam o pierniku w piecyku. Specjalnie pieczonym dla niego. Po chwili usłyszałam, że przyszedł esemes, spojrzałam, że od niego. Myślałam, że jak zwykle: „Spokojnej nocy. Zadzwonię jutro”. Odczytałam: „Skoro upiekłaś ten piernik dla mnie, przyjadę około dziewiętnastej. Przywiozę trójniak do piernika. Do zobaczenia”.

Alusiu, ścierna nie poptaca. Zaraz. Spokojnie. Mam półtorej godziny. Pamiętam przepis. Wczoraj łopatologicznie dyktowałam Miśce. Nie wiem, czy mam przyprawę do piernika. Mam. Za godzinę wyjmę z piekarnika. Nawet lepiej, będzie piękny zapach.

- Na klatce pachnie ciastem. Twój sąsiad z żalem to stwierdził. Cieszysz się, że przyjechałam? - przywitał się, wręczając mi jedną, ale piękną różę. - Jest mecz. Chętnie obejrzę przy pierniku. Ach! Bym zapomniał - dodał, wyciągając butelkę i pudełko. - Kupiłem ci - wręczył mi pudełko z jednorazowymi rękawiczkami. - Szkoda twoich rączek - wyjaśnił bardzo dumny z siebie.

Pierniki są jednak słodkie. Mój mąż, młody pierniczek, nigdy nie pomyślał o moich rączkach. Nie mówiąc o kwiatku bez okazji. W krótkim czasie po urodzeniu się Uli bukiety nosił pod inny adres. Potem sam się tam przeniósł. Gdzie, nigdy nie poinformował ani mnie, ani córki. Teraz administracja jego domu przez biuro meldunkowe odnalazła Ulę. Powiadomiła ją, że jej ojciec przeprowadził się tym razem na stałą kwaterę. Pozostał spory dług za niepłacony czynsz. Spłacić ma ona, bo zgodnie z prawem jest jedyną spadkobierczynią. Na szczęście, ma pół roku na zrzeczenie się spadku. Wnuki poznają papierowego dziadka u notariusza. Na nie spadnie dług. Też będą musiały się zrzec. Skomentowałam sprawę, zgodnie z moim obecnie stosowanym nastawieniem, pozytywnie: chociaż po śmierci się odnalazł i przypomniał o swoim istnieniu.

Wieczór był bardzo przyjemny. Mnie rozmarzył półtorak, zwany miodem królewskim. Mój, siedząc wygodnie w fotelu, zjadając się piernikiem, oglądał mecz. Mnie ani wizja, ani fonia nie przeszkodziła udać się na kanapie, pod puchatym kocem, w objęcia Morfeusza.

O szóstej rano, wyrwana ze snu potrzebą skorzystania z toalety, obudziłam śpiącego w fotelu przyjaciela. On do domu, ja do łóżka. Życie jest piękne...

Z myślą o niedopuszczeniu do zawężenia zainteresowań chodziłam dwa razy w tygodniu na wykłady. Bardzo fajna atmosfera. Jest kawiarenka. Na stoliku przy wejściu stoi skarbonka. Proszą o wrzucanie dwuzłotówek. Za nie jest potem kawa, herbata, drobne ciasteczka. Dla tych, którzy nie wrzucają, za darmo. Jeden raz w tygodniu wykład i gimnastyka w tym samym dniu. Po wykładzie, w miłym towarzystwie, piłam kawkę z ciasteczką. Nie w kawiarence, bo tam nie można było palić. Nałogowcy zbierali się przy kontuarze w korytarzu i tu delectowali się zapachem kawy połączonej z dymem. Jeden lubi musztardę z masłem, drugi smalec z miodem. Lubić można, co komu odpowiada.

Ja lubię palić. Mam tę frajdę, że moje zmarszczki przy ustach są wypracowane. One nie paliły, a też je mają. Kiedyś byłam pracownicą mróweczką, bo musiałam. Teraz wreszcie nic nie muszę. Mogę wybierać i robić, co chcę. Pracować nie chcę. Palić chcę.

Przy papierosku zgadało się na temat brydża. Małżeństwo przychodzące razem na wykłady i jeden z panów bardzo byli rozczarowani, że odpadł im czwarty.

- Nie gram rewelacyjnie. Ale jeśli przyjmiecie mnie - tu też wszyscy mówili sobie po imieniu - jako czwartą, chętnie zagram.

- Świetnie - ucieszyła się Grażyna. - Najpierw u nas. Jak będziesz chciała, możemy też u ciebie. Staszek do siebie nie może zaprosić, ma bardzo chorą teściową, a wszyscy przy kartach palimy. My graliśmy zawsze w środy. Od razu po wykładzie jechaliśmy do nas i parę godzin bębniliśmy w karty. Nie później niż do dziewiętnastej. Pasowałoby ci?

Widać było, że bardzo lubi grać. Pasowało mi. Bardzo.

Kupiłam sobie plan lekcji. Śliczny, kolorowy misiaczek. Na buźce zapisałam: Poniedziałki - wykład i gimnastyka. Wtorki - wolne. Co drugi wtorek - domowe Spa. Muzea są przeważnie

za darmo. Środy - wykład i brydż, cały dzień zajęty. Czwartki - gimnastyka. Później - czas wolny. Wystawy w ten dzień bezpłatnie. Co drugi piątek - tańce.

Na żadnych z zajęć obecność nie jest obowiązkowa. Chodzę, jak chcę, i wtedy, kiedy chcę.

Sobota i niedziela w zależności od pogody, nastroju, propozycji. Trochę czasu na rodzinę też miałam ochotę przeznaczyć. Nie bardzo rozumiem, dlaczego minusem wieku podeszłego jest zawężenie zainteresowań. Moje zawężenie bardzo mi odpowiadało. W żadnym okresie swojego życia nie mogłam sobie pozwolić na tak cudowne zawężenie zainteresowań. Na niską emeryturę nie narzekam. Pichcę smacznie i tanio. Mam czas na promocje i okazje. W lecie coś na zimę, w zimie na lato. Jak chcę sama za siebie płacić, to idę w darmowe dni na wystawy. Pojechałam dwa razy na wycieczkę. Zaryzykowałam. Przyszło zaproszenie na całodniową wyprawę autokarem do Kazimierza. Punkt zbiorczy akurat przed moim domem. Obiad. Zwiedzanie i oczywiście dwugodzinna prelekcja na temat pościeli o cudownych właściwościach. Wełna jagnięca z merynosów, antidotum na wszystko. Wysłuchałam o walorach, okazjonalnej, nawet na raty rozłożonej płatności. Nie kupiłam. Za to było losowanie czterech numerów, wygrywał ten, którego numer dowodu kończył się podanymi cyframi. Dostałam jasiczek - rogalik i pudełko czekoladek. Kazimierz piękny. Pogoda w sam raz. Uśmiechnięta na zewnątrz i wewnątrz, wracałam do domu. Dwie wycieczki i obie zaliczyłam do udanych. W czasie drugiej skusiłam się na rewelacyjną maść końską. Na bóle mięśni - bolą. Stawów - te czasami dokuczają. Na obrzęki - dają się we znaki, szczególnie wieczorem.

- Nie widzę, żeby były spuchnięte - powiedział lekarz zza stołika, spoglądając na moje nogi. Zastępował moją panią doktor.

- Panie doktorze. Mierzę centymetrem. Różnica wynosi dwa centymetry. Ja mam bardzo szczupłe łydki i tego nie widać. Nawet gdy spuchnięte, wyglądają normalnie - czułam się tak, jak naprzykrzająca się mucha. - Bolał mnie zawsze przy wchodzeniu po schodach - dodałam, sądząc, że to go chociaż troszkę poruszy.

- Gdy dokuczają, proszę ograniczyć chodzenie. Tu zapisałem maść i tabletki. Maść wcierać. Tabletki trzy razy dziennie po jednej - lekarza ruszyło, wypisał, dał zalecenie i dodał - proszę, wychodząc, poprosić kolejną osobę.

Lekarz powiedział, żeby nie wchodzić po schodach, kiedy nogi bolą. Mówiłam, że bolą zawsze. Czyli, nie wychodzić z domu. Gdy wyjdę, muszę wejść. Windy nie ma. W aptece farmaceutka powiedziała, że to leki pełnopłatne i dostępne bez recepty. Tylko drogie. Są tańsze odpowiedniki. Nie kupiłam. Mam maść końską. Przeczytałam w necie, że bardzo skuteczne na obrzęki są kompresy. Roztwór z jednej łyżki stołowej soli, rozpuszczonej w dwóch szklankach wody. Kompres mocujemy bandażem. Można go zmieniać kilkakrotnie w ciągu dnia. Wodę mam, sól mam, maść też. Dodatkowa zaleta: po kompresie spłukanie nóg i wklepanie kremu.

Po trzech tygodniach moje nóżki puchły tylko po ewolucjach tanecznych. Nauczyłam się, iż moją naturalną pozycją jest następująca: nóżki w górę, kiedy się tylko da. Jak się nie da, tym bardziej...

Dziś brydż u mnie. Dzwoniłam, żeby przyjechali po wykładzie. Ja dziś odpuszczam. Temat: Martyrologia w systemach totalitarnych.

Piołun jako napar lub nalewka jest wskazany dla ludzi starszych.

Przy niestrawnościach, schorzeniach wątroby i zaparciach. Jestem ludź starszy. Po wykładzie na pewno dopadłaby mnie

niestrawność i odezwała się wątroba. Zaparcie mam - nie dać się zdołować. Nikomu, przez nic i o żadnej porze dnia, nocy czy roku. Z tego zaparcia nie pozwolę się wyleczyć.

Muszę przygotować małe co nieco. Na wykałaczkach. Takie prosto do ust, żeby nie trzeba było odkładać kart czy - nie daj Boże - przerywać gry...

Czułam się lekka jak piórko wirujące w takt powiewu wiatru. Sprzątałam po gościach, wietrzyłam chatupę z dymu. Mimo świec antynikotynowych i mokrej gąbki - śmierdziało. W kuchni już gotuje się woda z cynamonem i goździkami. Zanim Miśka przyjdzie, nie będzie śladu po smrodzie tytoniu. Krzątałam się po mieszkaniu i wyśpiwywałam: „Jesteś szalona, mówię ci, zawsze nią byłaś. Skończ już wreszcie śnić. Nie jesteś aniołem, mówię ci. Jesteś szalona...” Coraz głośniej wyłam. Znam tylko refren. Nie szkodzi, że nie mam słuchu ani głosu. To moje karaoke.

- Zamierzasz wystąpić w Idolu? - zapytała Miśka, wchodząc do mieszkania. - Słuchać cię na klatce. Babciu, ty już lepiej nie śpiewaj. To moja ulubiona teraz piosenka - zaśmiała się, całując mnie. - I wolatabym, by taką pozostała - dodała.

- Żmiję na własnej piersi wychowałam - stwierdziłam niby ponuro, odwzajemniając jej uściski. - Zjesz parę kęsików? Zostały po brydzu.

- Co to jest? Pieczony ziemniak? - zapytała, widząc zawinięte w folię aluminiową pakunceczki. - Dziękuję, jestem po obiedzie.

- Z r ó b nam herbatę. Wybierz, na jaką masz ochotę. Dla mnie malinową.

Zostało mi parę wykałaczek. Wbiłam do kartofelka i postawiłam przed nią.

- J a k i fajny język - zauważyła, zjadając zawartość jednej. - Zaraz zapiszę. Jutro wpadają dziewczyny na piwo. Podam każdej po języku. - Wykałaczki w mgnieniu oka zrobiły się puste.

- Mów, co u ciebie, wnusiu - nastawiłam się na słuchanie.

- Ja kiś nowy fluid na twarzy? Rozświeblający? Masz taką promienną cerę. Oczy ci błyszczą. Świetnie się umalowałaś - zauważyła Miśka, przyglądając mi się uważnie. - Byłaś u kosmetyczki?

- Nie, nie byłaś - śmiała się z jej miny. Ale zrobiło mi się bardzo miło. Miśka mówiła to szczerze. Lustro też. Nawet w okularach. Ale powiększające schowałam głęboko w szafce. - Dziecko, powód jest prosty. Nic mnie dziś nie boli. Wylicytowaliśmy z partnerem szlemika. W piki - czułam, że nawet mówiąc, podnosi mi się poziom adrenaliny. - Z kontrą. I ugrałam. „Jesteś szalona” - znów zaczęłam śpiewać.

- Babciu, ty jesteś zakręcona - spojrzała na mnie - i to jest cudowne. Masz więcej życia w sobie niż ja - dodała z podziwem, ale i zazdrością.

- Kotku, ja dopiero teraz rozumiałam, że trzeba cieszyć się każdą chwilką. Robić sobie przyjemności, nie zapominać o drobiażdżkach. Pielęgnować w sobie poczucie humoru. Spojrzeć tak często, jak się da, przez różowe okulary. Nie tracić całej energii na wyszukiwanie kolejnego powodu do zamartwiania. Nie marnować dziś w oczekiwaniu na lepsze jutro. Masz trochę czasu? Poszukaj powodów do radości. Ciesz się tym, co masz - próbowałam włączyć w nią łyżeczkę optymizmu. Widziałam, że właśnie znalazła sobie jakiś powód do zamartwiania się. - Jest, Misiu, świetne przysłowie chińskie: nie nadeptuj nieszczęściu na pięty.

- Łatwo ci mówić. Ty masz dobrze. Nie stresujesz się w pracy. Nie użerasz z chłopem. Nie zamartwiasz się swoim wyglądem. A ja zobaczyłam na udach cellulit. Wyjeżdżamy nad ciepłe morze. Jak się pokażę w kostiumie? - depresyjnie zamarudziła Miśka.

- Napijesz się kakao z kogłem-mogłem i pianką? - to od dzieciństwa poprawiało jej humor. A tym razem przyczyna złego humoru była wyjątkowo poważna.

- Tak - westchnęła. - Choć to chyba niewiele pomoże - dodała, by wzmocnić westchnięcie.

- A teraz mów po kolei. Czym się zdenerwowałaś w pracy? - wiedziałam, że musi się wygadać. Od razu będzie lżej.

- Szefowa oznajmiła dziś, że będziemy pracować w soboty. Co drugą. Wolny dzień możemy brać w tygodniu. Weekendy zmarnowane. Szajs - popijając kakao, uważnie patrzyła, czy rozumiem, jakie to straszne.

- No tak. Okropne. Powiedz, co z użeraniem? - chciałam najpierw poznać wszystkie minusy na dziś.

- On zwariował. Przysłała mi ze trzydzieści esemesów dziennie. I jeszcze ma pretensje, że nie odpowiadam. Napisałam, że nie mam czasu. To odpisał: „Rozumiem, że nie masz dla mnie. Zaczynam ci przeszkadzać. Wieczorem nie przyjdę, na pewno też będziesz zajęta”. To mu napisałam: „Rób jak uważasz, tylko nie zawracaj mi głowy” - oznajmiła z satysfakcją Miśka. - Nie odezwał się do tej pory - dodała już mniej zadowolona. - A ja pierwsza na pewno nie zadzwonię. Nawet nie próbuj nalegać - to życzenie wypowiedziała wprost do mnie.

- Miśka, bierz kartkę, bo w głowie nie policzysz do trzech. Dziel na plusy i minusy. Praca w soboty - minus. Nie wszystkie - plus. Nie pracujesz w niedziele - plus. Narzekającaś, że nie masz kiedy załatwić nic w urzędach, połączyć po galeriach, upolować ciuchy. Gdy idziesz na rano, to popołudnie wykorzystujesz na kino, spotkania i tym podobne. Pracując po południu, długo leniuchujesz i jedziesz prosto do pracy. Wolny dzień w tygodniu wykorzystasz na wszystkie zaległości. Pranie, prasowanie, pozałatwianie spraw czy zakupy. Lub na cały dzień laby w domu. Za to należą się minimum trzy plusy. Weekendy. Twój ma nienormowany czas pracy. Gdy ty będziesz miała wolny poniedziałek, możecie mieć dwa dni wolne. I to bez tłoku. Wtedy inni pracują. Dopisz dwa plusy. Policz, co ci wyszło.

- Siedem plusów i jeden minus - z zadowoleniem oznajmiła Miśka. - Ciekawe, co wymyślisz na mojego? - zerknęła na komórkę. - Zobacz, już wpół do ósmej a on nie dzwoni. Ja się pierwsza nie odezwę - powtórzyła, uprzedzając mnie, bym przypadkiem nie próbowała namawiać ją do tak niegodnego zachowania.

- Niedawno płakałaś, że wysyła jednego esemesa dziennie. Mówiłaś, że wcale go nie interesuje, co robisz w ciągu dnia. Rozumiem, że po naszej rozmowie, powiedziałaś mu szczerze, tak, jak ci radziłam? Powtórz mi w miarę dokładnie, co powiedziała?

- J a k to co? Powiedziałam: „Możesz chyba znaleźć trochę czasu na esemesa. Zainteresować się, co u mnie? Ale ty jesteś tak zajęty sobą, że nawet nie pomyślisz o mnie. Odezwiesz się dopiero wieczorem, bo już nie masz wyjścia. Chcesz się upewnić, czy możesz przyjść i odpocząć w fotelu przed telewizorem. To nie dzwoń i nie przychodź. Ja sobie znajdę zajęcie.” - tak mu powiedziałam. Niech wie - dokończyła, bardzo zadowolona z siebie.

Jak dobrze, że te lata sporów: czyje na górze, czyje na dole - już są za mną. Ta ciągła szarpanina, samej z sobą, by pokazać, iż moje na wierzchu. To ciągłe liczenie, że on się domyśli, wy-czuje, zrozumie, że gdy mówię „chciałabym”, to znaczy „chcę”. „Nie jestem pewna” - oznacza, że jestem, tylko chcę, by mnie ponamawiał. „Można by pojechać” - jedźmy. „Może pójdziemy” - chodźmy.

- Misiu. On zrozumiał wszystko, co mu powiedziałaś. Ma mieć czas na wysyłanie esemesów. Zainteresować się i pomyśleć o tobie. Jeśli tego nie zrobi, to zerwiesz znajomość. Maksymalnie pokazuje ci ilością esemesów, że mu na tobie zależy. Twoje odpowiedzi przekonują go, że tobie na nim wcale. Osiągnęłaś nie ten efekt, jaki chciałaś, a teraz się wkurzasz na niego, rozumiesz?

- Czyli że to znowu moja wina, a nie jego - Miśka jest najwyraźniej urażona. - To co powinnam zrobić? - zerknęła kolejno raz na komórkę.

- Daj mi na chwilę swój telefon - po chwili oddałam go jej. - Zajrzyj do szablonów. Masz tam cztery. Jeden z trzema roześmianymi buźkami. Drugi ze zmartwioną buźką. W trzecim bije serduszko. W czwartym: „Mam dziś ochotę na piwko i tańce”. Wysłanie odpowiedniego zajmie ci dwadzieścia sekund. Tyle czasu znajdziesz? - popatrzyłam na jej minę. - Teraz wyślij mu tego z roześmianymi buźkami, nie dyskutuj, tylko wysyłaj. Zaufaj starej babci.

Wiedziałam, że to ją rozbroi. Po dwóch minutach pokazywała mi esemesa od niego: „Kocham cię, tęsknię”. Pięć serduszek. „Mogę przyjechać?” Odpowiedziała jednym słowem: „Tak”. Nie mogła przecież pokazać, jak się cieszy. Stojące lustro już przed nią. Cała w skowronkach szykowała się do wyjścia.

- A co zrobić, by mniej ich przysyłał?

- Odczekaj parę dni. Poodpowiadaj, a wtedy gdy naprawdę nie masz czasu, użyj szablonu. W miłej chwili powiedz konkretnie: trzy dniennie są dla mnie dowodem, że o mnie myślisz - poradziłam, całując ją na do widzenia.

Patrzyłam na nią, frunącą po schodach. Usłyszałam: „Jesteś szalona, mówię ci, zawsze nią...” Wiosna jest piękna, ale taka kwietniowa, co to plecie i przeplata... Zdecydowanie wolę jesień...

Dni płynęły stanowczo za szybko. Nawet te, w których za bardzo czułam, że żyję bez wpływu na to, co się dzieje. Podobno nic nie boli tylko w trumnie. Nie psioczyłam. Cieszyłam się, że boli wątroba. Tylko ona. Mógłby jednocześnie, do pary, dokucać na przykład krzyż. Czyli plusik. Po godzinie żołądek zaśpiewał: „Bo do tanga trzeba dwojga”, i poprosił w tany wątróbkę.

Minusik. Taniec z figurami i przytupami. Bolało bardzo, duży minus. Nie wiadomo, co bardziej. Naturalne środki nie pomogły, za słabe. Na jedno i drugie pomógł środek rozkurczający. Duży plus. Minusik - szkoda bigosu. Plus - oddałam bigos Uli. Po upływie paru minut miałam telefon. Jędrkowi bardzo smakował. Na gorąco. Znow plus. Policzyłam. Z góry wiedząc, że bilans musi wyjść na plus.

- Ala, jedziesz z nami na grzyby i ryby? - Anka pytała, bo śmiejąc się, opowiadałam jej wcześniej o radzie lekarza na ból nóg.

- Pewnie. Nawet na lwyby. Nie mogę wchodzić po schodach. Na jeziorze i w lesie, o ile nic od zeszłego roku się nie zmieniło, nie ma schodów, już się cieszę i szykuję. Kiedy? - dopytywałam się.

- Mój ma urlop od poniedziałku. Mnie boli bardzo kręgosłup. Leżę. Nie chce mi się ruszać. Z drugiej strony, szkoda jego urlopu. Waham się. Jak myślisz? Jechać w piątek? To za dwa dni? - radziła się.

- Łóżko na działce jest. Leżak też. Jeśli bardzo będziesz chciała leżeć, to w łódce rozłożymy ci dmuchany materac. Nie marudź, nasmaruj się mazidłem. Łyknij tabletkę. Takie rewelacje reklamują. Starzy ludzie, po sześćdziesiątce. Jedna i po chwili bawisz się z wnukiem na barana albo na konika. Działa dwanaście godzin. A ty nie dosyć, że młodziutka, to jeszcze tylko masz łowić rybki i zbierać grzybki. Gdy cię za bardzo kostki pokochają, to pogramy w brydża. Mirek się odzywał. Siedzi tam już i planuje zostać cały miesiąc.

Przeleciało, nie wiadomo kiedy. Zostałyśmy z siostrą przez miesiąc. Przywiozłam trzy mrożone szczupaki, piętnaście stoików grzybów marynowanych i prawie kilogram grzybów suszonych.

Teraz jest najlepsza pora na zrobienie paru stoików śliwek. W occie na słodko. Dobre same i jako dodatek do wszystkiego. Miśka wzięła łopatologiczny przepis, bo przygotowuje się bardzo łatwo i szybko. I tak nie robi. Muszę mieć parę stoików dla niej. Ula sama marynuje, też jej da parę. Miśka będzie miała przepis i gotowe śliwki. Wino ryżowe już się robi. Całe pięć litrów. Winko pod śliweczkę i grzybka - mam całkiem fajne zaopatrzenie na zimę...

Wykłady wznowione. Ostatni dał mi dużo do myślenia. Temat: „Zdrowe odżywianie”. Kryśka była ze mną na wykładzie. Co ciekawe, każda co innego rozumiała. Przy kawie z dziewczynami jednym z punktów była nasza relacja z wykładów.

- Dziewczyny, najwyższy czas zacząć się odżywiać stosownie do wieku. Przywiązujemy do tego zbyt mało uwagi, a potem dziwimy się, że źle się czujemy. Prawidłowa dieta to podstawa zdrowia, zwłaszcza w naszych latach - bardzo przejęta Kryśka gotowa była od zaraz stosować się ściśle do tego, co usłyszała.

- Do rzeczy - przerwała jej Danka.

- Pani dietetyczka powiedziała, że mamy jeść to, co opóźnia proces starzenia się i łagodzi dolegliwości wiekowe - wyjaśniła zadowolona z siebie Krystyna, zaglądając do notatek, jakie robiła podczas wykładu. - Czyli: warzywa, owoce, chude mięso, ryby, wędliny, chude mleko i przetwory mleczne, produkty z całego ziarna.

- Przestań - przerwałam - szlag mnie za chwilę trafi. Dziewczyny, nie wiem, w jakim wy czujecie się wieku. Ja mogę jeść wszystko. Usłyszałam na tym samym wykładzie: „Dieta ma dostarczać satysfakcji i przyjemności ze spożywania posiłków i potraw. Z uwzględnieniem ograniczeń wynikających z osłabienia zmysłów i występowania pewnych chorób przewlekłych”.

Kryśka widocznie już osłabła. Ja osłabienia zmysłów nie mam. Wprost przeciwnie. Wykres idzie w górę. Chorobę przewlekłą, której objawami była pracowitość do szczęścia, nadmierna odpowiedzialność za wszystko i wszystkich, sumienne zdyscyplinowanie, wyrzuciłam na łeb na szyję, za drzwi. Zagroziłam, że jeśli wróci, to ją zatępię tłuczkiem.

- O, ta interpretacja bardziej mi odpowiada - skomentowała Ewa. - Inaczej musiałabym sobie oddzielnie gotować.

- A l a , wysił się i spróbuj powiedzieć po ludzku, co jest najbardziej szkodliwe - odezwała się Danka. - Tylko krótko, bez tych mądrych dodatków.

- J a k sobie życzyście. Krótkie streszczenie wykładu. Wyliczę, co najbardziej szkodzi. Zatrute powietrze. Zanieczyszczona woda. Chemia: w żywności, kosmetykach, środkach czystościowych. Stres. Reasumując: szkodliwe jest życie. Najzdrowiej żyć możemy tylko na tamtym świecie - skończyłam i zaciągnęłam się papierosem.

Siedzieliśmy w ślicznie urządzonego ogródka kawiarnianym. Niedaleko ruchliwego skrzyżowania. Pyszne cappuccino. Oddycham świeżym powietrzem. Kawka ze smótką jeszcze lepsza. Mogę sobie pozwolić na troszkę szkodliwego tlenu węgla.

Wracając do domu, wstąpiłam na bazar. Mądrzejsza po wykładzie wiedziałam, że dziewięćdziesiąt procent trucizn przyjmujemy z pokarmem. Mam wybór. To cieszy. Nikt mi nic nie narzuca. Czasami tylko podpowie w reklamie. Mogę świadomie zdecydować, czym chcę podtruć swój organizm.

Najbardziej szkodliwe są produkty mleczne i mięsne nasycone truciznami, które mogą powodować uszkodzenia wątroby i systemu nerwowego. Od czasu Czarnobyli grzyby w lasach europejskich zawierają tyle cezu, że powinien obowiązywać zakaz ich zbierania i jedzenia. W uważanym za najczystsze mleku krów

alpejskich stwierdzono obecność DDT. Badania polskich naukowców wykazały, że w jednym z województw matki karmiące piersią nadal przekazują niemowlętom DDT w stężeniu siedmiokrotnie wyższym niż na przykład w USA. Warzywa są coraz „bogatsze” w ołów, kadm, miedź i azotany. Azotany kumulują się przede wszystkim w pietruszce, porach, rzodkiewkach, cebuli, burakach ćwikłowych i ziemniakach. Za ich pośrednictwem odkładają się w organizmie. Przekształcają hemoglobinę w metheoglobinę niewiążącą tlenu, co powoduje zaburzenia w układzie krążenia u ludzi i zwierząt. Obecność chemikaliów zmniejsza ilość witaminy C w kapuście, marchwi, pomidorach. Arsen lubi wątrobę, mięśnie, skórę i włosy. Rtęć uwielbia mózg i inne tkanki ośrodkowego układu nerwowego. Kadm wątrobę, nerki, trzustkę oraz jądra. Jak dobrze, że ich nie mam. Zawsze to zmniejszenie szkodliwości dla organizmu. Wszystkie metale ciężkie oraz substancje lipofilne (rozpuszczalne w tłuszczach) kumulują się w całym organizmie. Woda zawiera bardzo trujące polichlorowane dwufenyle i WWA - wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne. Te, sama wiedziałam już wcześniej, są rakotwórcze. A teraz jeszcze wiem, że codziennie aplikuję sobie ich dawkę.

Kupiłam wszystkiego po troszku. Żeby zaszkodzić każdemu organowi. Każdy jest dla mnie ważny i zasługuje na sprawiedliwe potraktowanie. Ostatecznie zostałam uświadomiona. Wiem dokładnie, skąd się biorą dzieciaczki w organizmie. Teraz nie mogę się tłumaczyć, iż myślałam, że trzeba uważać na kapustę i nie patrzeć na bociana.

W domu zaparzyłam sobie dużą filiżankę melisy. Dużą, bo czułam niedosyt wiedzy, a obawiałam się ubocznych skutków samodokształcania. Filiżankę, bo optycznie wygląda na mniejszą pojemnościowo niż szklanka. W ten sposób uspokołam wyrzuty sumienia, z powodu wiania do organizmu zanieczyszczonej melisy

JOLANTA KWIATKOWSKA

i wody z odkładającymi się dodatkami. Usiadłam do komputera i pogłębiałam wiedzę. Mądrzy ludzie zalecają pogłębiać. Odgórnie i oddolnie. Wkuwałam. „Powietrze w mieszkaniu - ponad sto związków chemicznych. Zanieczyszczenie od dwóch do czterech razy wyższe niż na zewnątrz budynku w dużym mieście”. Łyk melisy. Staram się czytać ze zrozumieniem. Racja. Najwięcej ludzi umiera w domu. „Tapety emitują opary formaldehydu” - mały tydzień. Nie mam tapet. „W produktach chemii gospodarczej aż dziewięćdziesiąt procent substancji ma działanie rakotwórcze. Farby, kleje, gumy, barwiona skóra - toluen, powoduje podniecenie i euforię”. Z radością tyknęłam dwa spore łyki. Gdy mi opadnie podniecenie i osłabnie euforia, kupię sobie torebkę z barwionej skóry. Dalsze informacje czytałam już z przerażeniem: „Nadmiar toluenu to depresja i utrata orientacji”. Duży tydzień melisy i lustracja chałupy. Uspokoiliłam się. Odnawiałam dawno. Z farby już zdążyłam wszystko pochłonąć. Dziś nie mam wpływu na to, co było. Siły wyższe, bez mojej zgody, używalność gumek ograniczyły do mniej niż minimum. Uważałam to za minusik. Teraz wymazałam minus, wstawiłam plus. Uczyłam się dalej. „Zaburzenia równowagi i utrata słuchu”. Ostatni tydzień melisy i trzy kropelki. To wymaga przepalenia i zastanowienia się. Ostatnio gorzej słyszę. Krytycznych uwag nie słyszę w ogóle. Komplementy świetnie. Zaburzenia równowagi mam. Po dwóch lampkach koniaku. Dobrze mi z tym. To niech będą. Koncentracja na piątkę. Przy brydżu na szóstkę. Czasami muszę jej pozwolić odpocząć. Wtedy nie mogę się absolutnie skoncentrować. Na niczym. Odmawia posłuszeństwa.

„Flamastry - choroba płuc”. Wyrzucam wszystkie wyschnięte. Tylko zabierają miejsce. Będę mogła wypalić jednego papierosa więcej. Tym bardziej, że to, co leci z kranów, działa w dłuższym okresie mniej więcej tak, jak szkodliwe substancje zawarte w papierosach. Muszę ograniczyć wodę. Mineralna, rad i uran - już

wiem, dlaczego niektórzy uważają, że mają aureolę. Oligocieńska po jednym dniu trzymania nawet w lodówce jest gorsza od tej z kranu.

Wyłączyłam komputer. Trudno, powdycham teraz zapach melisy. Pomogło. Znalazłam rozwiązanie. Palę papierosy z filtrem. Muszę kupić filtr do wody. Na zdrowiu nie można oszczędzać.

Przy drugiej filiżance kawy (jej dobre działanie uratowała decyzja skrócenia czasu pobytu w necie) postanowiłam, co następuje:

Punkt 1.

Mogę decydować: chodzić czy nie chodzić na wykłady. Od jutra tylko tematyka: malarstwo, filmy, architektura. Pójdę po feriach na spotkanie z kosmetyczką. To może być ciekawe. Zdotować się nie dam. Mam tarczę. Dawno zauważyłam, że kremy kończą się na 55+. Porady makijażu w czasopismach kobiecych i poradach telewizyjnych - do pięćdziesiątki. Podpowiedzi jak się ubrać - do czterdziestki. Czyli dla mnie strój jak dla czterdziestki, makijaż jak dla pięćdziesiątki i kremy 55+. Super być w przedziale wiekowym czterdzieści aż do śmierci.

Napisałam list do paru pism. Prosiłam, by chociaż od czasu do czasu dali wkładkę dla 60+. Nie odpowiedzieli. Nie dziwię się. Redaktorki około dwudziestu pięciu - czterdziestu lat, pewne, że one tego wieku nie osiągną. Niektóre pewnie nie. Któraś z tych, co dożyją, napisze list. Nie dostanie odpowiedzi.

Punkt 2.

Cywilizacyjna Lukrecja Borgia żyje, wszędzie, we wszystkim. Jedyne wyjście to potraktować ją jak kochanka. Wszystkiego po troszku. Bez przesady. Bo porzuci nas i wyzionimy ducha z rozpaczy.

Podpunkt 2.1.

Nie przesadzam ze sprzątaniami. Szczególnie z myciem okien, praniem dywanów, polerowaniem mebli. Rezygnuję z odświeżaczy na korzyść świec i zapachów naturalnych.

Punkt 3.

Wykorzystując starczą sklerozę i zaburzenia pamięci - zapominam o tym, co usłyszałam na wykładzie, i o tym, co sama przeczytałam. Z wyjątkiem toluenu. Tu zapominam wybiórczo. To, co warto, zostawiam jako deskę ratunku...

Wracałam z brydza. Zimno, deszcz ze śniegiem. Wieje. Brr. Na bazarku baba miała kurę. Zapewniała, że naturalnie karmiona, świeżutka, dzisiaj bita. Można nawet zamrozić na święta. Co prawda, w moim wieku lepsze są kurczaki z supermarketu. Dawka hormonów może się przydać. Kupiłam włoszczyznę, koperek. Będzie prawdziwy, mojej babci, rosół. Odmłodzę się tym razem do nastolatki.

Rano już wiedziałam. Trzeba kierować się intuicją. Spędzę parę dni w domu. Gimnastyka i tańce muszą poczekać. Coś musi musieć. Ja wykorzystam ten czas na poczytanie, poleżenie, posiedzę w necie. Same plusy. Ostatnio wzięłam udział w paru konkursach. Superpytania. Najpierw trzeba odwiedzić dwie, trzy strony z produktami danej firmy. Przeczytać: „Nasz balsam zawiera” - i tu składniki, oczywiście naturalne. Rewelacyjne działanie. Skuteczność dziewięćdziesięcioprocentowa gwarantowana. Potem wystarczy odpowiedzieć na pytanie: „Jakie składniki zawiera nasz balsam?”. I ewentualnie drugie: „Jakie działanie ma nasz balsam?” Potem kliknąć. Potwierdzić. I już jest szansa. Marna? Nieprawda, większa niż w totolotka, a tam za jeden zakład trzeba zapłacić dwa złote. Wylosowano mnie. Byłam na liście. Ucieszyłam się z samego faktu, że wygrałam. Po miesiącu pocztą dostałam jeszcze paczkę z kosmetykami do kąpieli. Czekoladowa nuta. Balsam po i płyn do zostawię dla siebie. Preparat na cellulitis będzie dla Miśki. Ja nie mam. Mam takie same uda jak miała babcia, pamiętam. I jakimi chwaliła się mama, będąc w moim wieku. Jak one nie miały, to ja też nie mam.

- Halo - odebrałam telefon, pociągając nosem.

- To ty? - pytała siostra.

- Zależy, do kogo dzwonisz - zachrypiałam.

- Nie wygłupiaj się. Masz zmieniony głos. Chrypisz. Pewnie i katar - dopytywała troskliwie. - Gorączkę masz? Cholerstwo panuje. Bębnią w telewizji. Przychodnie pękają w szwach. Złapałaś pewnie wirusa. Idziesz do lekarza? - zapytała.

- Po co? Nie czuję się aż tak dobrze, żeby iść. Szwy pękają, sama mówisz. Jeszcze dostaną przeze mnie przepukliny - kaszel nie pozwolił mi skończyć.

- Przestań się wreszcie wygłupiać. Tylu ludzi choruje. Masa-kra. Dzieciaki. Pełne szpitale. Powikłania. Coś straszego. Może zamówić ci lekarza do domu - przejęła się jak zwykle całością problemu i moim zdrowiem.

- Po pierwsze, to nie ja jego złapałam. On mnie poderwał. Mam trzydzieści siedem i sześć stopni. To nie gorączka, organizm walczy. Dam mu powalczyć i podsunę trochę broni. Niech nie czuje się osamotniony. Urozmaicam: od mleka z miodem i masłem do tabletek. Gardło płuczę wodą z solą. Tabletki od bólu gardła też mam. Czosnek do wążchania i krople do nosa. Zakupy zrobione. Obdzwoniłam już okolicę, że u mnie kwarantanna. Zarażam i nie chcę nikogo widzieć.

- Wynudzisz się, biedactwo - współczująco mruknęła Anka.

- Aniu, ja? Ja jestem bardzo zadowolona - wytarłam nos.

- Z czego? Z kataru, chrypy, dreszczy i izolacji, nie żartuj sobie. Nic w tym śmiesznego nie widzę, że źle się czujesz - dodała.

- Anka. Pomyśl. Nie mam dużej gorączki. Nie muszę wstać i iść do pracy, a w takim właśnie stanie Ula poszła. Bez zwolnienia leżeć mogę, ile chcę. W dodatku nie obetną mi z emerytu-

ry dwudziestu procent za każdy dzień. Wirus - rodzaj męski. Trochę upierdliwy. Jak to chłop. Wyrzucę go za trzy, cztery dni. Intuicja mi podpowiedziała. Kupiłam wiejską kurę. Naukowcy już udowodnili, że to najlepsze antidotum na infekcje dróg oddechowych. Cysteina przyspiesza odkrztuszanie i pozbycie się bakterii z płuc. A para gorącego rosołku inaluje. Na czacie pogadam z ludźmi. Z tym, co ci mówiłam, gadamy prawie codziennie. Same plusy. Życ się chce, a ty „biedactwo”. Uśmiechnij się do dziś, jutro przed nami - zapaliłam papierosa.

- Palisz. Słyszę. To znaczy nie jest źle. Jeszcze dychasz - ironizowała moja siostra. - Dzwon, gdybyś czegoś potrzebowała, i daj esemesem znać, jak się czujesz. Nie będę dzwonić, żeby cię nie obudzić, kiedy przyśniesz. Pa. Trzymaj się - odłożyła słuchawkę.

Tydzień był super. Dwa dni w wyrku. Rosolek pychotka, co prawda nie taki, jak babciny. Tamte kury widocznie były bardziej naturalne.

Trochę pospałam - w dzień. Telewizja - nocą. Książka w międzyczasie. Moja ukochana Ania z Zielonego Wzgórza. Czytałam ją jako nastolatka chyba ze dwadzieścia razy. Pogięta. Są nawet plamy po herbacie. I zasuszony bratek. To od pierwszej miłości. Z czwartej b. Lekko był krostowaty. Poza tym super.

Trzeciego dnia wstałam. Dość tych objęć wirusowatego. Gardło nie boli. Katar mniej męczy. Kaszel już mokry, nie bolą żebra ani brzuch. Po południu dzwonek do drzwi. Nie domofon. Wyjrzałam przez wizjer. Ulka. A tak prosiłam.

- Nie złość się. Już mnie nie ma. Schodzę. Otwórz drzwi - odeszła.

Uchyliłam drzwi. Stała pół pietra niżej. Przeszła całuska. Ja jej. Z komórki zadzwoniłam: „Dzięki, mój ty czerwony kapturku”. Ona: „Uważaj na wilka. Zamykaj drzwi”.

Zabrałam koszyk z wiktuałami i kwiatkiem. Mój mały dzwonił. Widocznie bał się zarazić przez telefon. To znak, że czas kończyć tę znajomość. Mnie już nie interesują związki na dobre. Czas poszukać - na złe. Dziewczyny wydzwaniały. Pytając, czy nic nie potrzebuję. Wiem, że gdybym poprosiła którąś z nich, każda by przyszła. Chłop nie. Jak go zrugalam, to powiedział: „Masz komputer, mogłaś zamówić i leki, i jedzenie. Dostarczyłby do domu”. Adieu. Goodbye. Arrivederci. Do swidanija. Mało. Zacytuję klasyka: „Spieprzaj, dziadu”...

Kolejna wiosna. Prima aprilis trwa codziennie, nie muszę świętować jednego dnia. Maj. Miesiąc zakochanych. Wyjątkowo upalny. Siedząc w ogródku kawiarnianym, piłam kawę i uśmiechałam się do wspomnień. Zima była udana. Nie za mroźna. Sylwester bajeczny. W karnawale zrobiliśmy pokaz mody. Każda wyglądała świetnie. Ubierałyśmy dziewczyny we trzy. Pokazując to, co nadawało się do pokazywania. Tiulowa narzutka na ramiona czyni cuda. Tak jak szeroki kapelusz, woalka czy okulary. Narzutka do kostiumu kąpielowego, czasami dwie - też. Ja założyłam jednoczęściowy. Głębokie wycięcia przy udach. Wystarczyło założyć go na obciskające, opalonego koloru rajstopy. Cellulitu ani śladu. Na ramiona zarzuciłam prześwitujący szal. Widać było cienkie ramiączka od kostiumu. Zakryło się to, co zakłócało harmonię całości. Kapelusz miałam boski. Grażyny. Rondko z jednej strony przygięte zakrywało pół twarzy. Usta osłoniła dłoń z papierosem. Światło odpowiednie. Figurę mogłam pokazać. Dwóch chłopaków robiło zdjęcia. Z bezpiecznej odległości. Są super. Zrobili mi piętnaście. Dwanaście podarłam. Trzy są akurat. Pod każdym względem...

- Czy mogę się do pani przysiąść? - zapytał, już stawiając kawę na moim stoliku. - Obserwuję panią od dłuższego czasu.

Pani jest taka rozpromieniona - usiadł na krześle. - Wygląda pani na szczęśliwą kobietę - sięgnął po swoją kawę.

- Już pan siedzi. Moje pozwolenie nie jest potrzebne - powiedziała nieco opryskliwie. - Ja nie szukam towarzystwa - dodałam, by miał jasność.

- Przepraszam. Zepsułem pani nastrój. Ja nie podrywam. Obok w sklepie jest moja żona. Jak wejdzie, to chodzi i godzinę wpatruje się w każdą rzecz. Najczęściej nic nie kupuje. Ja wolę wypić w tym czasie kawę. Dzwoni po mnie, bym doradził.

- Czy mogę się do państwa dosiąść? - koto nas pojawiła się bardzo miła babka. Jakoś tak pod sześćdziesiątkę. Wyciągnęła do mnie rękę na powitanie. - Jestem żoną tego podrywacza. - Widząc moje zmieszanie, dodała: - Nie mam nic przeciwko rozmowom mojego męża z kobietami. Na pewno już pani powiedziała, że żona jest obok na zakupach - dodała, śmiejąc się.

- T a k . Od razu - potwierdziłam, ściskając jej dłoń.

Siedzieliśmy razem ponad godzinę. Bardzo miłe małżeństwo. Widać było i czułość, i przyjaźń, i oddanie. Powiedziałam, że aż przyjemnie popatrzeć na tak dobraną, szczęśliwą parę. Okazało się, że poznali się przez Internet. Rok temu. Obchodzą właśnie miesięcznicę ślubu.

- W naszym wieku, ja mam dopiero pięćdziesiąt dziewięć lat, mąż sześćdziesiąt osiem, postanowiliśmy obchodzić rocznicę co miesiąc. Dziś papierowa - opowiadali, jakbyśmy się znali od lat. - Nie marnujemy czasu na długie poznawanie. Świetnie nam się rozmawia. Wymieńmy się telefonami i emailami. Może się zaprzyjaźnimy na tyle, by spotykać się częściej.

Warto łąpać takie chwile. Czułam, że nadajemy na tych samych falach. Podałam namiar na mojego skype'a. Umówiliśmy się na wieczorną pogawędkę. Mężczyzna od dłuższego czasu nic nie mówił. Siedział i z rozbawieniem nam się przyglądał.

Kiedy żegnaliśmy się, powiedział: „Wyglądacie jak dwie dzierlatki szczebioczące o chłopakach. Oczy wam iskrzą jak gwiazdeczki na niebie”.

Miałam ochotę śpiewać. Czyż maj nie jest piękny? Może mój internetowy znajomy też zmieni się w przyjaciela z realu. Szłam ulicą, obserwując mijających ludzi. W moim wieku byli ci około osiemnastu, dwudziestu lat. Uśmiechnięci. Rozgadani. Sylwetki wyprostowane. Brody w górę. Oczy przed siebie. Pozostali szybkim lub wolnym krokiem szli ze smutnymi, zafrasowanymi twarzami. Jakby przedzierali się przez dżunglę. Parne, gorące powietrze, to fakt. Większość odganiała dokuczliwe owady i broniła się przed dzikimi zwierzętami. Twarze skupione, by w porę wypatrzeć jadowitego węża. Sylwetka przygotowana, by pierwszemu zaatakować. Popchnąć. Przesunąć. Wyprzedzić, forsując sobie rękami, łokciami, torebkami, laskami drogę przez wszechobecne, zdrewniałe liany. Babka, w wieku około czterdziestu lat, wpadając na mnie i wytrącając mi loda z ręki, zaatakowała - „Mogłaby pani trochę uważać”. Spojrzała jak na trędowatą, prychnęła i poszła dalej. „Biedactwo”, pomyślałam. Pewnie wyskoczyła z pracy służbowo, zajrzeć do paru sklepów. Zdenewowana. Musi wymyślić powód uwiarygadniający jej przedłużającą się nieobecność. Uśmiechnęłam się do niej i powiedziałam - „Bardzo przepraszam, że stanęłam pani na drodze” - po czym zadowolona poszłam dalej. Musiałam się pilnować, by nie roześmiać się głośno. To dozwolone u nastolatków. Jednak dla większości denerwujące. Śmiać się w moim wieku. Na ulicy. Samej do siebie. Nie daj Boże, do ludzi. Wzięto by mnie za wariatkę. Co gorliwi mogliby wezwać pogotowie. Objawy zdrowia i normalności to: ponura mina, zaciekły wzrok i mordercze spojrzenie. Skrzywiony, ironiczny uśmiech - czasami dozwolony. Spontaniczny, radosny śmiech, w dodatku głośny, w obecności innych

- to brak wychowania, nieznajomość zasad kulturalnego zachowania. Ewentualnym wytłumaczeniem może być tylko choroba. Ciężka. Natychmiast odizolować.

Moja babcia powtarzała: „Alusiu, popłacz sobie troszkę. Śmieję się jak najwięcej. Śmiech - to samo zdrowie”. Dziś naukowcy udowadniają, że śmiech podczas spożywania posiłków sprzyja obniżeniu poziomu cukru we krwi. Szczery śmiech i poczucie humoru obniżają ciśnienie, poprawiają krążenie, wzmacniają układ odpornościowy i serce. Poprawiają funkcje układu nerwowego. Uwalniają produkowane przez organizm endorfiny, naturalne środki przeciwbólowe. Śmiech nic nie kosztuje. Jest w zasięgu ręki, a w zasadzie warg, ząbków i policzków. Nawet oczu. Bardzo groźny dla firm farmaceutycznych. Ależ spadłaby sprzedaż leków, pigułek na stres, depresję, na wszystko, gdyby zaakceptować ten rodzaj terapii.

Zadzwońta komórka.

- Siemka, babciu, o której będziesz w domu? - to oczywiście pytał Jędrzek.

- Za dwie, trzy godziny. Chcesz wpaść? Towarzysko czy przymus? - wolałam wiedzieć, czy pogadanie, czy odrabianie lekcji.

- Na pojutrze wypracowanie. Jakieś widzenia. Pomogłabyś z interpretacją - Jędrzek jak zwykle, po swojemu, mówił konkretnie.

- Co przerabiacie? Jakie widzenia? - ja, jak zwykle, nie rozumiałam „oczywistej oczywistości”.

- Trzecia część Dziadów. Już wiesz?

- Ok. Napisz, prześlij mailem. Sprawdzę i ci odeślę. Dobrze będzie?

- W porzo. Narka.

Dziesięć. Coraz lepiej rozumiem młodzież. Bardzo mi jej żal. Za żadne skarby świata nie podpisałabym cyrografu z diabłem, by móc znów mieć te lata i chodzić do szkoły w obecnych

czasach. Jedną nogą stać w kosmosie, palcami drugiej grzebać w chochołach, dotykać Wernyhory i szukać złotego rogu. Oglądać Idola i płakać nad losem biednego Janka Muzykanta. Czatować z kolegami będącymi w Stanach, Egipcie czy na końcu świata, przy użyciu kamerki, jednocześnie pisać wprawkę na temat nostalgii w Sonetach krymskich. Chodzić na siłownię, kung-fu, aerobik - jednocześnie ćwiczyć na sali gimnastycznej według schematu z czasów prehistorycznych, czyli z okresu stanu wojennego. Określenia: kleks, bibuła, obsadka są tak samo zrozumiałe, jak: tara, balia czy makutra. Jak czytać ze zrozumieniem: „latem chodził w koszulinie przepasanej krajką”, „pełne weselnej gęźdzy, przegonu i wary krwi młodej” czy „kręcił fujarki wedle strugi”? Obawiam się, że nasuwająca się interpretacja tego ostatniego zdania skończyłaby się wyrzuceniem ze szkoły.

„Duchy aniołków, Józia i Rózi, nie mają wstępu do nieba z powodu «zbytku słodczy na ziemi». Nigdy za życia nie zaznały cierpienia ani goryczy, dlatego są nieszczęśliwe” - tłumaczyłam cierpliwie Miśce, później Jędrkowi, wiedząc, że i tak bez efektu. Jak zrozumiałe wytłumaczyć coś, czego samej się nie rozumie.

- Przepraszam. Idzie pani spacerowym krokiem. Nie spieszy się pani. Zechciałaby pani wziąć udział w ankiecie? To zajmie tylko dwadzieścia minut. Bardzo proszę - zaczęła mnie młoda trzydziestolatka ze znużoną twarzą.

- Dobrze. Tylko może usiądźmy. Zapalę - rozejrzałam się, czy jest gdzie przysiąść.

- Zapraszam, w podwórku mamy swoje biuro. Może pani nie tylko zapalić, ale napić się kawy albo herbaty.

Weszliśmy do pokoju. Trzy komputery na biurkach. Po dwa krzesetka przy każdym.

Pijąc herbatkę, odpowiadałam na różne pytania. „Jakie lubię słodocze?” „Czym się kieruję przy kupnie?” „Jak często kupuję?” Po piętnastu minutach ankieterka podała mi dwie czekolady.

- To od firmy, podarunek za udział w ankiecie - spojrzała na mnie przeprasząc. - Może jeszcze ma pani wolne dwadzieścia minut? Mamy ankietę wizualną. Pokazałabym króciutki film z przykładowymi reklamami, a pani wybrałaby, która do pani przemawia najbardziej? Bardzo proszę - zapytała, błagalnie patrząc na mnie.

- Nie ma sprawy. Wiem, że to pani praca. Przyznaję, nie myślałam, że tak bardzo uzależniona od obcych ludzi. Obiecuję, że jak tylko będę miała czas, nie będę odmawiać udziału, co robiłam do tej pory.

W domu pomyślałam, jak dobrze, że Ula i Miśka mają stałą pracę. Zależną od szefa. Jednego. Zarobki tej dziewczyny zależą tylko od życzliwości obcych ludzi. Ciężki dziś kawałek chleba. Prezentem było duże pudło czekoladek. Zaskoczona, sprawdziłam datę ważności. Jeszcze osiem miesięcy. Czyli nie pozbywają się z powodu przeterminowania.

Czy mogłam przypuszczać wczoraj, że dziś przyniesie tyle przyjemności? Spacer. Poznanie miłych ludzi. Darmowa, pyszna herbata. Dwie czekolady i pudło pralinek. Zjadając kawałek czekolady, leżąc w wannie w czekoladowej pianie, pomyślałam: życie jest piękne, trzeba tylko otworzyć się i dać mu szansę...

- Proszę - moja pani doktor zaprosiła mnie do gabinetu. - Pani Alicjo, cieszę się, że panią widzę. Nie była pani u mnie chyba ze dwa lata - rzekła, patrząc w kartę. - O, widzę, że bolały nogi. Kolega panią przyjął - wyczytała w karcie. - Proszę mówić. Co dolega? Jaki problem?

- Żaden problem - uśmiechnęłam się. - Zwyczajny ból nogi. Od czasu do czasu przypomina, że żyję. Ostatnio stał się natarczywy. A tego nie lubię - dodałam.

- Nic się pani nie zmieniła. Dalej z humorem. Tak trzymać - na jej twarzy pojawił się grymas bólu. - Moja wątroba też mi przypomina, że ją mam. I na przeszczep dla innych się nie nada, więc nie mam po co umierać - śmiała się, trzymając za bok. - Dwa lata bez badań to przesada. Mówiłam, że przy pani kopceciu trzeba raz w roku prześwietlić płuca.

Zbadała mnie. Zmierzyła ciśnienie. Obejrzała dokładnie nogi. Powygniatała tu i tam.

- Dam skierowanie na prześwietlenie kręgosłupa i do ortopedy. Myślę, że to zmiany zwyrodnieniowe, pewnie skieruje panią na zabiegi rehabilitacyjne. Kiedy była pani ostatnio w sanatorium?

- Nigdy. Praca. Obowiązki rodzinne. Wyjazd wyłącznie na dwadzieścia dni urlopu. Za dużo harówki, by sobie pozwolić na tyle czasu dla siebie. Nie to, co teraz. Z tamtego okresu zostało tylko jedno: by starczyło do pierwszego. Reszta jest samą frajdą. Plusy i jeszcze raz plusy. Dwa minusiki to też plus - patrzyłam na nią. Widziałam, że jest zmęczona, obolała. Sterana życiem czterdziestopięciolatka. Potrzebna jest jej dawka optymizmu.

Wracałam ze skierowaniami na wszystkie badania. I skierowaniem do sanatorium. Poprosiła, bym ze wszystkimi wynikami przyszła prosto do niej. Ona sama odda, gdzie trzeba, i postara się, bym dostała termin we wrześniu. Jeszcze ciepło, a już nie gorąco. Śmiała się, że może będzie moją swatką. Poznam miłego pana i zatańczy na moim weselu.

Może? Nikt nie wie, kiedy i jaką niespodziankę życie mu przyniesie. Ja wiem, że każdą, nawet niemłą, przyjmę i poszukam plusików. Nie dam zepsuć smaku mojego jesiennego kok-

tajlu. Goryczkę też zaliczę na plus. Jest potrzebna. Podkreśla i wzbogaca aromat...

Na skypie odezwała się Stasia. Gdy odebrałam, zawołała Stasia i przez parę minut rozmawialiśmy we trójkę. Bardzo się cieszyłam z efektu kawiarnianego „podrywu”. Cudowna para żyjąca w trójkącie z przyjacielem - optymistycznym humorem.

- Alusiu. Planujemy w sobotę wycieczkę. Jednodniową, hotele za drogie. Pojedziesz z nami?

- Chętnie - bardzo się ucieszyłam. - Stasio - tak ich nazywałam, zwracając się do obojga. - A może jedźmy na trzy dni na Mazury? Podawali, że sierpień w tym roku będzie deszczowy. Mam klucze. Anka dała mi prawo do dysponowania ich działką. Mogę jeździć, kiedy chcę. Jest dobre połączenie autobusowe. Samej mi się nie chce. Wiecie, że Anka was bardzo polubiła. To jak? - spytałam, dodając ostateczny argument. - Za nocleg nie płacimy. Obiecuję placki ziemniaczane.

- Jedziemy - usłyszałam głos Stasia. - Stawiam benzynę, wino i piwo. Placki mają być co wieczór. Obgadajcie same, co do jedzenia. I nie bierzcie waliz ciuchów. Mnie się podobacie w dresach - dodał stanowczo Staś. - Pa.

Anka pojechała z nami. Spacer po lesie. Zupa kurkowa. Smażone rybki. Na deser moje ciasto zgadywanka. W zeszłym miesiącu jadła je po raz pierwszy Miśka.

- Co to za ciasto? - zapytała, pałaszując trzeci kawałek.

- Zgadywanka - odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Moją, oczywiście.

- Powiedz. Dlaczego nazwałeś je „zgadywanka”? - dopytywała się.

- Bo kto zgadnie, co jest głównym składnikiem, ma prawo do nagrody w postaci ostatniego kawałka. A ty, widzę, że nie zgadniesz, i ostatni będzie dla mnie.

- Pyszne. Jakieś takie inne. Pewnie trudne? Bo nie dałaś mi przepisu - stwierdziła.

- Nie dla mnie trudne i pracochłonne wypieki. Za dużo mam ciekawszych zajęć. Masz - podałam jej swój zeszyt z przepisami. - Przepisz sobie na kartkę, potem wklej do swojego. Pytaj, jak czegoś nie rozumiesz. Łopatę mam przygotowaną.

Mazury są piękne. Nasza okolica najcudowniejsza. Jeziora, lasy i urokliwa rzeczka. A właściwie była dopóty, dopóki nie objęto jej programem ochrony przyrody. Jak dłużej ją będą tak chronić, to stanie. Zamieni się w bajoro. Zakisi. Wyzdychają ryby. Zostaną komary, meszki i fetor rozkładającego się zielska.

Pogoda dopisała. Dałam się popieścić promieniom słońca. Zawsze to lubiłam. Tyle, że kiedyś nie mogłam się nimi cieszyć w pełni. Pamiętałam, że wysuszają, odwadniają, fundują skórce piegi, znamiona, postarzają - i te myśli psuły mi całą przyjemność opalania. Dziś już mi to nie grozi. Piegów mam trochę więcej. Znamion też. Włosi, Hiszpanie mają najwięcej dawki słońca. Dlatego cieszą się radosnym sposobem bycia i tryskają optymizmem. Szwedzi, Duńczycy są zimni, skłonni do pesymizmu i depresji. W podeszłym wieku mam prawo do zaburzeń pamięci. Z praw trzeba korzystać. Teraz pamiętam tylko: słońce to źródło energii dokarmiającej całą biosferę. Kontroler przemian i niezwykłych zjawisk zachodzących na Ziemi. Impuls do życia. Niezbędny składnik mojego koktajlu. Dla wyeliminowania psujących smak, zbędnych myśli - stosuję wszystko, co ma UVA i UVB. Doskonale pamiętam, iż podczas opalania trzeba się nawadniać. Mnie świetnie nawadnia koktajl z wodą mineralną, sokiem pomarańczowym, wermutem i dżinem z plasterkiem cytryny. Daje uczucie całkowitego nawodnienia i zrelaksowania. Wtedy chętnie drzemię. Jesień w lipcu jest jeszcze piękniejsza...

Codzienne myślałam o moim internetowym przyjacielu. Można powiedzieć, że to już stara znajomość. Wieczorne rozmowy na wszystkie tematy, prowadzone przez pół roku, to już głęboka zażyłość. Głęboka, ale wirtualna. Wolałabym nawet płytszą, ale w realu. Im bardziej cieszyłam się z kwitnącego wyglądu Kryśki, tym więcej dokuczala mi hipotetyczność mojego związku. Półkonkubinat z moim przyjacielem dawno zakończyłam. Pół u niego, pół u mnie, żadnych szans na cały. Tego minusa nawet wszystkie policzone plusy i plusiki nie rekompensowały.

Bardzo cieszyłam się, że wpadł mi pomysł wyciągnięcia Kryśki na tańce. Co prawda nie musiałam wyciągać. Chciała, tylko się wstydziła. Ma pięćdziesiąt osiem lat. Zawsze miała kompleks dużej baby. Bardzo wysoka, metr osiemdziesiąt pięć. Waga prawie sto kilo. Jej udo to moje dwa. Spotykała się tylko z nami. I dwiema sąsiadkami, z którymi oglądała telewizję (w tym jedna młodsza ode mnie o pięć lat, druga o dwa). Rozmawiały w kółko na najbardziej interesujące w tym wieku tematy. Kupka z podziałem na: biegunka, zaparcia. Choroby z licytacją, która ma ich więcej, bardziej niebezpieczne i ile leków bierze. Wyczerpanie zagadnienia wieńczyło łyknięcie przez każdą panią przygotowanych tabletek, które należy zażyć z dokładnością sekundową. Wnikliwego omówienia wymagały: gwałty, pedofilia, znęcanie, molestowanie, morderstwa. Te analizy nawet coś wносиły. Trochę rumieńca na twarzy.

Największe podniecenie, prawie ekstazę, wzbudzały dwa problemy: aborcji i śmierci. Dyskusja: kto i czy może się skrobać - potrafiła doprowadzić do spięcia i obrazy na cały tydzień. Najmilsze wieczory były przy herbatce i cieście. Kto? Kiedy? Na co? Jak długo? Umiera lub właśnie umarł. Potykając następną, przeżuty kawałek ciasta, z każdą chwilą wracała im chęć do życia. Ból był mniejszy, choroby mniej groźne. *C'est la vie...*

Kryśka cała w rumieńcach, lekko spocona po tańcach, prosiła, bym poprawiła jej makijaż. Byłyśmy w toalecie. Nie na siusiu. To był pretekst. Chciała koniecznie porozmawiać.

- Ala. Jak myślisz? On chce mój telefon. Podać? - pytała z nadzieją, że powiem: „podaj”.

- Oczywiście. Zapisz też jego - nie mówiłam tego tylko dlatego, że to chciała usłyszeć. Z pełnym przekonaniem. - Co ci szkodzi pogadać? Potem umówić się na kawę. Wyrwiesz się wreszcie, wynormalniejesz - przekonywałam już i tak przekonaną. Cała drżała jak nastolatka, która chciałaby, a boi się. Historyczna nastolatka, dzisiejsze się nie boją.

- Ala, nie będzie głupio wyglądać? On taki niski, wątłutki, a ja taka baba - widać było, że to właśnie ją dręczyło.

- Krysiaczk. Dziś nie te czasy. Zobacz, ile pięknych, zgrabnych, młodych dziewcząt idzie z podniesioną głową przy boku o głowę niższych, wiekiem trzy razy starszych chłopców. Ich obwód w pasie to prawie wzrost tych partnerek. Nie widzę żadnego problemu. Popatrz na jego spojrzenie. To są dobre oczy. I jaki miły uśmiech. Tak uśmiecha się szczerzy człowiek. Reszta się nie liczy - utwierdzałam ją naprawdę szczerze. Chciałam dla niej jak najlepiej.

Dziś mieszkają razem. Ona u niego. Mieszkanie zostawiła synowi. Wibrator (nie używany, jak mówiła: „Wystarczy mi myśl, że mam go pod ręką”) wyrzuciła. Pogodna. Uśmiechnięta. Cudownie ozdrowiała. Na sesjach w naszym Spa przyznała, że seks jest wspinały. On zawsze na górze. Ona by go zadusiła. Jak on się zmęczy, to ona nim podrzuca. Waga piórkowa. Rumieniąc się (ale z dumą), wyznała, że największy procent w jego wadze to - jego męskość.

Z dziewczyn już tylko ja jestem singielką. Ewa dalej prawie szczęśliwa mężatka. Mąż żyje swoim podwórkiem, ona swoim. Spotykają się przy dzieciach i wnukach. Jaki jest, taki jest, ale

jest. To filozofia Ewy. Zbeształy mnie wszystkie bardzo za rozstanie z moim. Źle ci było? Kino. Teatr. Obiadki, kwiatki, prezenciki. I kawalek chłopa.

Ja tak nie chcę. Nie jestem jeszcze, lub już, w wieku, w którym potrzeba bezpieczeństwa jest priorytetem. Tak, jak potrzeba akceptacji. Z tego okresu na szczęście wyrosłam. Sama się akceptuję. To wszystko mogę sobie zapewnić bez cudzej pomocy. Nawet zaopatrzenie do domu, jak to mi ten mój radził.

Chcąc się sprawdzić, poszłam sama do restauracji. Zamówiłam tatara i pięćdziesiątkę czystej. Potem kawę. Palłam i obserwowałam ukradkiem kelnera oraz obecnych na sali gości. Nikt się nie gorszył, nie dziwił. W rogu siedział samotny facet. W moim wieku. Patrzył w laptopa. Na mnie nikt nie patrzył. Dziś nic w tym nadzwyczajnego. Dziś wolno. Dużo. I dziś ja z tego korzystam. Ile się da. Dla poprawienia nastroju (liczenie plusików nie wystarczyło) kupiłam sobie spodnium. Z niegniotącego się jedwabiu, shantungu. Materiał lekko sztywny, o nierównej powierzchni, tworzonej przez delikatniejsze i bardziej szorstkie miejsca w splocie. Proste spodnie. Króciutki, lekko pasowany zakiet. W kolorze rozświetlonego, jasnego, kakaowego beżu. Sporo bluzeczek będzie mi pasować. Nadawałby się na ślub - pomyślałam. Kto wie, może Kryśka się zdecyduje. Danką też jest już na stałe ze swoim. Zapłaciłam. Przeważył ostateczny argument. Nie mam czasu czekać na okazje. Odpowiednia pogoda do spaceru jest wystarczającym powodem, by założyć nowy ciuch. Ciut, duży ciutek, drogi. Na obiady będą pierożki i naleśniczki. Mięso i ryby w najbliższym czasie są niewskazane. Trzeba się odtruć. Fasolka szparagowa, kapustka i szpinak będą w sam raz. Dla takiego kostiumu mogę na razie zrezygnować z kawy w kawiarni. Chyba że jakaś ankietka się trafi - uśmiechnęłam się sama do siebie. W domu jeszcze raz przymierzyłam kostium. Z bluz-

kami. Z klipsami i bursztynami. Jest śliczny. Jest cudownie. Jesieni trwaj...

Wirtualny znów zaproponował spotkanie w realu. Przekomaliśmy się nie raz na temat, ile jest prawdy w tym, co piszemy. Ile naprawdę mamy lat? Jak wyglądamy? Czym tak na poważnie się zajmujemy? Czy na pewno jesteśmy stanu wolnego? Mieszkamy w tym samym mieście?

Nic w tym dziwnego. Pisaliśmy, w zależności zarówno od tematu, jak i od nastroju, że dziś mamy „naście” lat. Innym razem, że „ścia”, w międzyczasie - „ści”. Przyznawaliśmy się też, że jesteśmy w klubie „siątek”. To może oznaczać i pięćdziesiąt lat, i dziewięćdziesiąt. Nasze rozmowy, co podkreślaliśmy na zmianę przy różnych tematach, mogą być tak prawdziwe, jak:

- parówki cielęce, niezawierające grama cielęciny - to wymyśliłam ja, komentując prawdziwość jego wypowiedzi;

- „W tym, co piszesz, pewnie jest tyle wody, ile w prawdziwej wędlinie, wody siedemdziesiąt procent, mięsa trzydzieści” - to jego koncept. Właśnie zwierzałam mu się, iż zaobserwowałam u siebie, typową dla mojego wieku, zwiększającą się zależność od otoczenia. Dopiero na drugi dzień wyjaśniłam, że tylko z powodu nieposiadania samochodu. Prawo jazdy mam. Już czterdzieści lat. Podczas kontroli dokumentów wystarczy. Nie pytają, czy to mój pierwszy raz za kierownicą ani kiedy ostatni raz czytałam kodeks drogowy.

„Teraz smarujesz masłem extra. Sam olej palmowy przez ciebie przemawia” - ironizowałam, czytając jaka to ja dowcipna i pełna życia jestem. I że nie rozumie, dlaczego nie chcę rozmawiać przez telefon i kamerkę. „Kawę na ławę lubię, ale umiar w moim, podeszłym wieku należy zachować” - odpowiedziałam, dodając: „Lepiej się mile rozczarować” - by jednak nie po-

myślał, że czatuje z rozklapiałym kapciem. Wolałam pisać. To jedyny sposób, by nie zapomnieć gramatyki i ortografii. 1 pamiętać o stylu. Słowo mówione uleci, pisane zostaje czarno na białym. Mówione może, jest wieloznaczne. W przeciwieństwie do napisanego. Dałam mu przykład: morze pojedźmy nad może. Ładnie brzmi, a po przeczytaniu odechciewa się wyjazdu.

Podzieliłam się z nim swoją refleksją nad „słusznymi”, trudnymi do zbitcia argumentami Jędrka. Zrelacjonowałam mu dokładnie moją rozmowę z wnukiem. Po dwugodzinnych próbach wbijania mu do głowy analizy liczby elektronów walencyjnych w cząsteczce benzenu, znaczenia wiązań zdelokalizowanych i podstawień elektrolitowych układu - ja byłam bardzo zmęczona, Jędrak wściekły.

- Babciu, na cholere mi to? Wystarczyłoby: węglowodory aromatyczne. Budowa pierścieniowa. Wzór strukturalny. Podstawowe reakcje. Ja na chemię się nie wybieram. W życiu mi się to do niczego nie przyda. A jak będę potrzebował, to zajrzę w necie i sobie poczytam ze zrozumieniem. Pracowni chemicznej nie ma. Doświadczeń żadnych nie robimy. Wkuwamy na pamięć, byle zaliczyć. A może frytki do tego? - uznał, że już wszystko wie.

- Jędrak, do cholery, nie zgadzam się. Na: a może frytki do tego? Tak - tylko powiedz, co to znaczy?

- No, może jeszcze coś? Załapałaś?

- Dużo jest racji w tym, co mówisz. Wiedza ogólna jest potrzebna do właściwego wyboru w przyszłości, kierunku, który was zainteresuje - próbowałam tłumaczyć, wiedząc, że marne są te moje argumenty. Dziś mamy czasy specjalistów w bardzo wąskich dziedzinach. Profesor filozofii nie musi znać zasad obliczania procentów. Ma kalkulator. Gdy mu się zepsuje, powie: „Mniejsza połowa” - i tak wszyscy rozumieją. Czasami lepiej niż: „Poniżej pięćdziesięciu procent”.

Jędrrek wpadł do mnie ze swoimi kolegami. Rozumiałam, jaki to dla mnie zaszczyt. Przyszli na ciasto. Dyskusja była wartka. Ja na straconych pozycjach. Jeden z nich udawał mi, że uczy się tylko tyle, by zdać na informatykę. Już dziś ma opanowaną grafikę komputerową. Robi strony www. Jego blog został wyróżniony. Programuje. Chcą z kolegami założyć swoją firmę. Przebić naszą -klasę - to ich cel. Biznesplan już mają. Nic ze szkolnej, ogólnej wiedzy, nie przydało im się jak na razie - tłumaczył mi łopatologicznie, rozumiejąc, iż w moim wieku jest to trudne do pojęcia. Dodając jednocześnie, że tak dobrego ciasta jeszcze nigdy nie jadł. „Pewnie nauczono panią w szkole?” Cudowny dzieciak i z poczuciem humoru.

Drugi nie lepszy. Chce być podróżnikiem i pisać artykuły, potem nawet książki. Jest dyslektykiem i dysgrafikiem.

- Proszę pani, komputer błędy poprawi. Treść jest najważniejsza. Biorę korki z matmy, fizyki i chemii. A może mógłbym z Jędrkiem do pani poprzychodzić? On dostał czwórę z reakcji spalań. Ja pałę. Nic nie jaram.

- Możesz. Gdy ja zdawałam maturę z polskiego - odpartam, bardzo się pilnując, by nie użyć zwrotu „za moich czasów”, to gwóźdz do trumny - trzy błędy ortograficzne dyskwalifikowały pracę. Komputerów nie było. Doskonale wiem, że ściągacie gotowe teksty wypracowań, zmieniacie parę zdań i oddajecie jako swoje.

- A le pani smuci - z rozczarowaniem rzucił, pałaszując resztki ciasta.

Kątem oka widziałam znaki wnuka. On mi przyprowadza swoich kolegów, a ja mu taki zawód sprawiam. Musiałam się poprawić. Uznanie w oczach kolegów Jędrka jest bezcenne - dla niego i dla mnie też.

- Nie smucę. Widzisz, chcesz być dziennikarzem, ucz się właściwej interpretacji tego, co słyszysz - trochę pobelferowa-

łam. - Ja wam zazdroszczę. Wiecie, ile czasu musiałam spędzić w bibliotece, by z książek pościągać gotowce do wypracowań. Wy klikniecie dwa razy, skopiujecie, wydrukujecie i po pół godzinie jesteście wolni. Ja nie znosiłam historii i geografii. Powstania chłopskie i zasoby surowców na świecie to był koszmar. Znac procentowo. Fiola miał geograf. Wszystkie daty stanowiły bzik historyka. Matury nieomal nie zawałam. Poprawiać nie można było. Zostawało się na drugi rok.

- Proszę opowiedzieć - poprosił ten od ciasta. - Moi starzy zdawali celująco.

- Moja babcia była prymuską - dodał drugi.

- Moja była normalna - skomentował dumny Jędrzek, używając czasu przeszłego. Nie wiedział biedaczysko, że to duży błąd z jego strony.

- Historyk mówił: „Kaktus mi wyrośnie na dłoni, jak ty, Alicjo, zdasz maturę z historii” - starałam się naśladować głos nauczyciela. Chłopcy pękali ze śmiechu i czekali, co dalej.

- Była obowiązkowa. Pytanie: omów sytuację w Polsce za czasów panowania dynastii Wazów. Ja wykułam tylko Jagiellonów. Dyrektor też uczył historii. Był fanem tej epoki, a jednocześnie przewodniczącym komisji. Bez chwili wahania omówiłam Jagiellonów. Historyk chciał mi przerwać, dyrektor dał znać, by tego nie robił. Nasza wychowawczyni, już przy rozdaniu matur, powiedziała mi, że wzięli pod uwagę fakt, że z innych przedmiotów poszło mi dobrze. „A historia?” - zapytałam, mając już świadectwo maturalne w ręku. „Dyrektor cię wybronił. Powiedział, że liczy się u człowieka dojrzałego umiejętność wybrnięcia z sytuacji” - zakończyłam i, podnosząc się, dałam znak Jędrkowi, że wystarczy tych pogaduszek.

Stojąc w drzwiach, krzyczałam: „Połamiecie nogi!” Usłyszałam, jak jeden z nich krzyczał: „Ale opcja!”; drugi: „Fajna babka, ty masz

dobrze"; Jędrrek: „Wprosimy się jeszcze na ciacho”. Uff. Odetchnęłam. Nie zawiodłam wnuka. Byłam szczerą, a szczerść to podstawa w kontaktach z ludźmi. Młódzież to też, wbrew pozorom, ludzie...

Pijąc mleko z miodem i cytryną, nie zapominałam o dosmaczaniu swojego jesiennego koktajlu. Skłonności hipochondryczne wieku podeszłego były mi obce. Randkowałam z moim wirtualnym. Czulał dreszcze i przechodzące mróweczki po całym ciele. Niestety nie z podniecenia. Ciepły szlafrok i grube skarpety wystarczą za łóżko. Niestety. Najlepszy naturalny środek na przeziębienie chwilowo niemożliwy do zastosowania. Ziarnko pieprzu miałam. Nie jedno. Brzuch niestety jeden. A rozcierać pieprz trzeba między dwoma brzuskami.

- Chłopy w zasadzie do niczego już nie są potrzebne. Gwoździ można przybić samej. W ciąży zejść z próbówki. Poflirtować, z supergwarantowanym zabezpieczeniem przed wszystkim, w necie. Wibrator pod ręką. Do knajpy iść z dziewczynami. Chłop-baba to dziś na porządku dziennym. Chłopa-chłopa ze świecą szukać.

Byłam w nastroju anty. Trudno rozcierać to ziarnko pieprzu samej na brzuchu. Minus. Musiałam zmienić nastawienie na pro, by był plus. Randka internetowa jest skutecznym sposobem.

- Słodzisz naturalnym miodzikiem - rozmówca miał poczucie humoru, to duży plus. - Szkoda, że pszczołki były karmione skoncentrowanym syropem - nabijał się ze mnie.

- Wydaje mi się, po tym, co napisałeś, że z ciebie taki chłopopodobny chłop. Jak produkt seropodobny albo szynkopodobny.

Od czasu, gdy podzieliłam się z nim ciekawostkami z wykładu o żywności, staliśmy się trochę monotematyczni.

- Ty pewnie nie pamiętasz, ale za PRL-u, by przedłużyć termin ważności, dosypywano do mleka proszku do prania, a żeby się nie psuło, dodawano sodę - zagajał podchwytiliwie.

- Pewnie, że nie pamiętam. Pisałeś, że jesteś mięsożerny. Lubisz wędlinę, kaszanke i pasztety. Świadomość jest potrzebna w każdym wieku. Przestrzegam. Zawierają MOM, by obniżyć koszt.

- Ooo! Skoro nie pamiętasz, to znaczy, że jesteś dużo młodszą ode mnie - komentował zadowolony, że mnie podszedł. - Co to jest MOM?

- MOM to po prostu mieszanina zmielonych kości, chrząstek, szpiku kostnego i ścięgien. Pisałeś, że na kolację kupiłeś przepyszny pasztecik w markecie. Smacznego. Twoje „Ooo!” jest do bani. Jak nie pamiętam, to oznacza to tylko tyle, że mam posuniętą sklerozę. Cha. Cha. Cha. Podpuszczacz się znalazł.

- A jednak cię zaskoczę. W necie wyczytałem. Prezes firmy, dostarczającej dodatki do żywności, konserwanty, barwniki i przyprawy, powiedział, że dziś już produkuje się szynkę bez grama mięsa. Już niedługo będzie w sprzedaży prawdopodobnie jako dodatek do pizzy.

- Pizzy nie jadam. Wypiję kakao z czekoladką i poukładam puzzle. To mi dobrze po naszej rozmowie zrobi - dodałam.

- Naprawdę już długo się bronisz. Ile pod tą wieżą mam stać? „Ja pod twoim oknem pół roku już moknę” - śpiewam, wyobraź sobie. Rzuć drabinkę?

- Mój ty rycerzu. Wsiądź na białego konia. Podaję ci numer telefonu do kancelarii mojego Uniwersytetu. Przyjmują. Zapisz się. Będzie dużo okazji do bliższego poznania się. Ok?

- Nie każ mi chodzić na gimnastykę, błagam na kolanach - dodał.

- Wystarczy na wykłady i oczywiście wieczorki taneczne. Pisałeś, że dobrze tańczysz. Okaże się.

Leżąc już w łóżku (puzzle układałam do północy), musiałam zjeść paróweczkę. Nieważne z czego. Smaczna. Przypomniałam sobie ostatnie tête-à-tête z internetowym. Nie jest źle. „Nie każ mi” i „błagam”, „na kolanach” - dobrze rokuje...

Wdycham solankę, siedząc pod tężniami. Telefonicznie pani doktor powiadomiła mnie, że ktoś zrezygnował z wyjazdu do sanatorium. Za trzy dni rozpoczyna się turnus. Jeżeli chcę i mogę, to może być to wolne miejsce dla mnie. Za godzinę mam dać odpowiedź.

Chciałam. Od razu zdecydowałam się. Anka z mężem przywieźli mnie do Ciechocinka. Po zakwaterowaniu poszliśmy na spacer.

Obiad. Pojechali. Ja byłam już kuracjuszka. Pan doktor zaordynował mi okłady z borowiny na całe ciało. Masaże kręgosłupa szyjnego i lędźwiowego. Basen solankowy, który skutecznie mnie odmłodził. Kupiłam tampony. Do solanki wchodziło się na golasa. Za kąpiel peretkową podziękowałam. Popatrzył na mnie. „Pali pani - dodam inhalacje”. Gdy już wychodziłam, dał mi kartkę. „Przeczyta pani w pokoju. Zalecenie specjalne. Proszę stosować”. W pokoju zrobiłyśmy sobie herbatkę. Moja współlokatorka to fajna czterdziestka z Katowic. Zasadniczy plus: palaczka. Zamknęłyśmy drzwi. Otworzyłyśmy balkon. Obie dostałyśmy takie same kartki. Potem już wiedziałyśmy, że wszyscy je dostali. Treść ta sama. Codzienne fajfy taneczne obowiązkowe. Dla bardziej sprawnych wieczorne też. O dwudziestej drugiej cisza nocna. Zapropnowałam przejście na ty.

- Ja zamierzam się ściśle stosować do zaleceń. Obiecałam to mężowi i córeczkom - Kasia puściła oczko. - Uwielbiam tańczyć, mój nie. Szaleję dwa razy dziennie. A ty? - zapytała.

- Ja podwójnie. Męża nie mam. Córcie nic nie obiecywałam - powiedziałam. - Nie krępuj się mną. Nie musimy chodzić wszędzie razem. Jestem dużo starsza. Moja Ula jest w twoim wieku.

Po jej reakcji wiedziałam, że ją bardzo polubię. Po śniadaniu zabiegi. Po obiedzie - ja drzemka, Kasia pod tężnie. O siedemnastej fajf, zamiennie z koncertami w muszli koncertowej. Po kola-

cji - ona drzemka, ja tężnie. Od dziewiętnastej do dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć wieczorki taneczne przy orkiestrze. Pań było dużo. Panów mało. One polowały. Wabiły, rozsypując papu i dolewając picia. Wiek złapanego zwierzęcia nie był istotny. Tak samo jak wygląd sierści czy postura. Marka, model, fason spodni - nie miały znaczenia. Ważne, by nawet czterem spódnicom towarzyszyły jedno spodnie. Chociaż spodenki. Nogawka, ale męska.

Co rano myślałam tylko o jednym. Jak spowolnić czas. Znalazłam jedyny sposób. Zrezygnować z poobiedniej drzemki. Wystarczy, że co drugi dzień śpię dwadzieścia minut otulona błotkiem. Dodatkowe piętnaście minut w prześcieradku, po borowinie.

Dwugodzinne fajfy były cudowne. Najlepszy kabaret nie pobili by scen, którym się przyglądałam. Koguty nastroszone. Grzebienie, nawet na łysinach, wyprostowane, sterczące. Dzioby leniwie podjadały rozkruszone przed nimi kąski. Sztuczną szczęką ciężko gryźć. Na implanty jeszcze emerytów nie stać. To duży plus.

Mam świadomość ekologiczną. Ja chciałam być spalona. Boję się robali. Do popiołu jestem przyzwyczajona. Nasze spalarnie nie mają jeszcze odpowiednich filtrów, wylapujących wszystkie odłożone w nas trucizny. We mnie jest dużo. Zawsze uczciwie pracowałam. Na wygląd też. Do naiwnych już nie należę. Kremy nie pomogą. Perfekcję czasami lubię. Jedynie dalsze palenie zrobi z niej dzieło sztuki. Los był dla mnie łaskawy. Nie umrę młoda. Reszcie muszę pomóc, by nie umrzeć piękną i zdrową.

Kogutki przeżuwały, nabierając sił. Głupiutkie kurki zapomniały, że najedzony kogut to leniwe ptaszysko. Każda rozpościerała swoje wypielęgnowane piórka, kolorowe, błyszczące i usztywnione. Kręciły kuperkami, podstawiając je od właściwej strony pod stare koguty i mniej stare koguciki. Biedactwa, spo-

cone, zgrzane - tyle pracy, a efekt mizerny. Przedobrzyły. Nakarmiły. Napoiły. Ptaszyska gotowe do drzemki. Tylko nie do końca zaspokojony kogut może wykrzesać z siebie troszkę energii. Tu większość to kapłony w wieku sześćdziesiąt plus podatek. Oczywiście dwudziestudwuprocentowy.

Olśniło mnie podczas spaceru między tężniami po kolacji. Wiek podeszły przejawia się trudnościami w podtrzymywaniu satysfakcjonujących kontaktów z otoczeniem, w uzyskiwaniu od niego emocjonalnego wsparcia. W wieku podeszłym to ja byłam mniej więcej od osiemnastego do czterdziestego piątego roku życia. Cholerne miałam trudności w podtrzymywaniu i uzyskiwaniu emocjonalnego wsparcia.

Jesień mojego życia to satysfakcja z kontaktów z otoczeniem. Emocjonalne wsparcie wkrapłam do mojego koktajlu kilkanaście razy dziennie.

Mój błąd to brak aktywności. Bierna obserwacja zamiast czynnego działania. Już mogę podśpiewywać: „Tydzień mija, a jam niczyja”.

Zmarnowałam czas. Minus. Znam zagrywki przeciwnika. Plus. Koguty otoczone. Minus. Szukają drogi ucieczki. Plus. Bilans wyszedł mi na zero. Wieczorem wkraczam do akcji. Z tym postanowieniem zrobiłam zwrot. Rezygnacja ze spaceru. Obniża mi ciśnienie. Mam niskie.

Czas na przygotowania. Trzeba odświeżyć, wyczyścić, naoliwić, nasmarować i wyglansować broń. „Bez pracy nie ma kołaczy” - przysłowia to skarbnica mądrości. „W starym piecu i diabeł nie napali” - trzeba zdecydowanej na wszystko kobiety. Plan obmyśliłam. Z moją determinacją musi wypalić. Broń oczywiście. Każda użyta w odpowiednim momencie.

Poszłyśmy we dwie z Kaśką. Same. Uzupełniałyśmy się. Ona to wabik. Patrząc na nią, zdawałam sobie sprawę, że mój troszkę przyszarzały. Moim atutem był wiek. Ona to lato: „Lato, lato, nie płacz czasem, czekaj z rzeką, czekaj z lasem”. Jesień już wie, że: „Czekaj tatka latka, aż kobyłkę wilki zjedzą”. Poprosiłam bi-letera, dając parę groszy więcej, o stolik na środku sali, ale bliżej orkiestry.

Taki, do którego z każdej strony jest łatwy dostęp. Uśmiechnął się: „Dobrze, że rusza pani na polowanie, czas najwyższy”. „Będzie dziś paru nowych, jeszcze nie złapanych” - dodał. Bystry facet. Widać, że pracuje tu parę lat. Dołożyłam mu piątaka. Trudno, trzeba zainwestować. Robiło się coraz ciasniej, głośniej i weselej. Parkiet pusty. Koguty jedzą, nowe bażanty pod obstrzałem. Musiałam iść do toalety. Kaśka nie chciała, mówiąc, że nie chce jej się siusiu. To nie moja wnuczka. Nie będę jej dawać topatologicznego przepisu.

- Kasiu. Musowo musimy iść. Mus tu mus.

Szłyśmy wyprostowane, pierś do przodu. Wzrokiem omiatałam salę, oczywiście omijając bażanty i koguty jako nie będące w zakresie moich zainteresowań.

Przypudrowałyśmy noski. Kasia była inteligentna. Od razu załapała, w czym rzecz. Zatrzymała mnie na środku parkietu, przodem do stolików, by pokazać coś superinteresującego na końcu sali.

Zamartyśmy w podziwie. Dopiero ryk orkiestry zmusił nas do powolnego dryfowania w kierunku stolika. Następnie do postoju, by znów obejrzeć interesujący obraz z prawej strony sali. Tam siedziały bażanty. Pomału opuszczaliśmy parkiet. Opuściliśmy go po dziewięciu tańcach. Po tyłu orkiestra robiła przerwę. Patrzyłam z nieukrywanym żalem na bażancika, który został uprzedzony. Miał dalej. Kaśka puściła mi oczko i robiła dokład-

nie to samo. Nasze leciwe bażanty odprowadziły nas szarmancko do stolika. Moja towarzyszka podziękowała swojemu, który proponował, że się do nas przysiadzie. Mój nie proponował. Na szczęście. Miałyśmy ochotę na duże łowy. Jednym, w dodatku łykowałym i wyliniałym bażancikiem żadna z nas by się nie zadowolili. Orkiestra wracała do instrumentów. Obok nas stały dwa bażanty i jeden stary kogut. Jedno ptaszysko do mnie, dwa do Kasi.

„Jesień jest cudowna” - zaśpiewałam cichutko. Do niej dwa, ale moja ptaszynka była młodsza od każdego jej egzemplarza.

Wytańczyłyśmy się. Każda zmiana w innych skrzydełkach. Część oczekujących zrezygnowała. Wybrała błogie lenistwo, przy boku kurek gotowych od razu dopieścić. Kilku dawały wyraźne znaki, że czekają jutra.

O dwudziestej drugiej byłyśmy w łóżku. Obie w jednym. Siedziałyśmy z jaškami na krzyżach, oparte o ścianę. Nogi na krzesłach, podniesione na poduszkach. Ją bolały palce u nóg, mnie haluks. Przyczyna ta sama. Za wąskie, ale za to seksowne szpilki. Osiągnięty efekt wart był tego „niewielkiego” bólu. Pityśmy piwko pod papieroska. Musiałyśmy się wzajemnie uciszać. Prawa strona była spoko. Tam zamieniono się pokojami. Teraz duet męsko-damski konsumował. Dochodziły do nas odgłosy konsumpcji. Pilnować się trzeba było lewej strony. Tam wstrętna, gruba, zgrzybiata ropucha około sześćdziesiątki natychmiast leciała do portiera naskarżyć, że zakłóca się ciszę nocną. Ubaw był, gdy po tygodniu ona po dwudziestej drugiej kwiliła, piszcząca, terkotała. Kaśka i druga z sąsiadek poszły do dyżurnej pielęgniarki. Były z nią zaprzyjaźnione. Babka w ich wieku. Nie raz plotkowały. Opowiadała im o różnych śmiesznych przypadkach. W tym o wezwaniu pogotowia, bo para przestraszyła się pukania, sądząc, że to kontrola. Nie mogli się rozłączyć. Ona wyjechała na drugi

dzień. Pielęgniarka z przyjemnością zgodziła się na realizację naszego planu. Też nie lubiła ropuchy. Głośno mówiąc: „Kontrola, sprawdzanie pokoi” - zapukała do drzwi. Facet w niedopiętych spodniach, kłaniając się nisko, prosił, by nie powiadamiała kierownictwa sanatorium. Na korytarzu, zza uchylonych drzwi wypląta salwa męsko-damskiego śmiechu...

Kasia na randkowym, poobiednim spacerku. Uprzedziła, że nie wróci na kolację. Na tańce też dziś nie idą. W moim wieku już się wie, kiedy wzrok musi być słabszy. Nie zauważyłam, że włożyła seksowną bieliznę, którą dwa dni temu kupiła, mówiąc, że zrobi mężowi niespodziankę.

Siedziałam w parku. W żakiecie. Ciepłutko. Jeszcze tylko dwa dni. Minus. Szkoda. Z drugiej strony: krzyż, kręgosłup, nogi, podleczone. Wytańczyłam się z taką intensywnością, jak nigdy dotąd. Trafiałam na superbabkę jako współlokatorkę. Wyśmiałam się. Nasłuchałam komplementów. Byłam podrywana, czasami wywołując podryw. Takie czasy, że i trzydziestki muszą łowić, a nie być łowione. Śpiewano mi: „Daj mi tę noc”, albo: „Daj, daj, daj, nie odmawiaj, daj. To, co masz, tylko dla mnie masz”. Ze śmiechem odpowiadałam: „Chciałabym bardzo, ale nie mogę. To dla innego mam”.

Nie muszę się śpieszyć. Już z niczym. I to jest piękne w jesieni. Tyle dni przede mną (już liczyłam w latach, teraz wolę w dniach). Sama z sobą się nie nudzę. Ludzie mieszkający z rodzinami podobno w czterdziestu procentach czują się samotni. Wolę być samotna we własnej samotności. Być samotną wśród bliskich jest bardzo przykre. Chyba że się nie ma wyboru. Wtedy trzeba zrobić wszystko, by stać się dla siebie najbardziej interesującym kompanem.

Rozmawiać ze sobą. Śmiać się do siebie. Śpiewać sobie. Bawić się ze sobą. Dopieszczać siebie. Wspominać tylko miłe chwile.

Nie można nie robić nic. Nic - to najgroźniejszy wróg, który niszczy nas samych.

Zdecydować się świadomie na samotność w związku i nic nie robić dla siebie - to dla mnie godzenie się na bycie nieboszczykiem za życia.

Nie odczuwam samotności. Sam na sam ze sobą nie nudzę się. Jeśli się znudzę, to wyjdę. Do parku. Na podwórko. Nie będę miała siły, to na klatkę schodową. Dam sobie szansę.

Dopiłam kawę z jednorazowego kubka. Zdecydowanie więcej doliczyłam się plusów. Czas nacieszyć się pogodą i poczytać.

Oczywiście kapka mojej młodości w koktajlu musiała być obecna.

- Czy mogę się przysiąść? Wszystkie ławki zajęte. Rozmawiają. Pani czyta. Ja też, korzystając ze świeżego, ciepłutkiego powietrza, chciałbym poczytać. Nie będziemy sobie przeszkadzać.

Nie siadał, czekając na moją zgodę.

- Proszę - odpowiedziałam jednym słowem, nawet nie patrząc. Byłam pochłonięta lekturą. Właśnie Ania z Dianą Barry przysięgały sobie przyjaźń aż po grób. Z Bašką wzorowałyśmy się na ich przysiędze. Przetrwiała tylko do końca podstawówki. Ania trzasnęła Gilberta tabliczką. „Dobrze zrobiłaś. Trzeba było mocniej”.

- Mocno było, z całej siły. Bolało go, tylko się nie przyznawał - usłyszałam.

- Pan do mnie mówi? - spytałam zdziwiona. - O czym? Co mocno? Kto się nie przyznawał? - moje zaskoczenie poparte było myślą: „Jasnowidz chyba”. Chłop, nawet gdyby przeczytał tytuł, i tak by nie wiedział, o czym jest książka.

- Gilbert oberwał mocno. Za „marchewkę”. Tabliczką do pisanania - uśmiechał się z miną psotnego chłopaka.

- Chyba jest pan jasnowidzem. Przeczytał pan tytuł? Nie uwierzę, że czytał pan tę książkę. Ja czytałam Winnetou. Dziewczyny lubiły czytać i swoje, i chłopczyńskie lektury, ale chłopcy dziewczęcych raczej nie.

Z wyglądu oceniałam go na sześćdziesiąt pięć lat. Dobrze zakonserwowany. Pewnie gra w tenisa. Może jeździ na rowerze. Widać, że wysportowany.

- Miałem dwie córki. Jedna z nich do dziś trzyma wszystkie tomy z serii Ani. Treść znam doskonale. To była jej zemsta na mnie. Kazałem jej, kiedy chodziła jeszcze do podstawówki, codziennie czytać mi na głos przez pół godziny. Czytała w kółko tylko Anię. Kończyła i znów od początku. To był prawdziwy koszmar - westchnął. - Nigdy bym nie przypuszczał, że przyda mi się to kiedyś, żeby zaskoczyć kobietę - śmiał się, patrząc na moją minę.

- A pan co czyta? Proszę pokazać. Teraz dopiero mnie pan zaskoczył. Kubusia Puchatka? Ja swoją lekturą wracam do przeżyć z młodości. Pan do dzieciństwa? Nie za wcześnie na pieluchy?

Ciekawa byłam, jak odbierze moje słowa. Jako komplement czy uzna za złośliwość?

- Moja córka i zięć są lekarzami. Wyjechali parę lat temu. Zostali na stałe za granicą. Przyjeżdżają tylko raz w roku. Z wnukiem. Ma pięć lat. Chce, bym mu opowiadał o przygodach Kubusia, a nie czytał książki. Argumentuje tym, że mam na imię Krzysztof. Krzys musi wszystko wiedzieć o Kubusiu, Prosiaczku, Króliku i Kłapouchym. Znać ich wszystkie przygody. Przypominam więc sobie, bo za trzy dni przyjeżdżają - wyjaśnił i, wstając, wyciągnął rękę. - W zasadzie już z imienia się przedstawiłem. Stomilski. Krzysztof Stomilski. Miło mi się z panią rozmawia. Szkoda, że jutro wieczorem wyjeżdżam.

- Alicja Pietrzak - oddałam uścisk. - Ja pojutrze wracam do domu. Muszę już iść - dodałam. - Do widzenia. Proszę się nauczyć na pamięć. Dzieci wszystko kontrolują, czy czegoś nie zmieniamy.

- Pani Alu, może wypijemy kawę jutro po obiedzie? Ja mogę pojechać później. Do Warszawy niedaleko.

Wróciłam do pokoju przygaszona. Nie mogliśmy się spotkać parę dni wcześniej? Nie widziałam go na żadnym wieczorku. Na koncertach też nie. Gdzie się ukrywał? Nie jest z żoną, bo nie proponowałby kawy. Powiedział: „Miałem dwie córki. Opowiadał o jednej”.

Kładąc się, miałam przed oczyma jego twarz. Nie pamiętam, kiedy ostatnio zasypiałam z męskim obliczem pod powiekami.

Szykowałam się, jak na pierwszą w życiu randkę. Czyli tak, by wyglądać naturalnie. Nie może odnieść wrażenia, że wystroiłam się i umalowałam specjalnie dla niego. Przymierzałam wszystko po kolei. Dawno tyle czasu nie poświęcałam na wybór, co na siebie założyć. Im więcej o nim myślałam, tym bardziej wszystko wydawało mi się nieodpowiednie.

- O kurczę. Dziewczyno, dlaczego nie spotkałaś go wcześniej? Chyba cię trafiło - zauważyła Kasia, podsuwając mi kolejne bluzki. - Może włożysz coś mojego. Twoje ciuchy już się kończą - żartowała, wiedząc, że w jej bym się utopiła.

- Ciekawe, co powiesz mężowi. Skąd ta bransoletka? - rzuciłam i pożalowałam tego od razu. Nie chciałam być złośliwa. Niedobrze. Nie panuję nad sobą. - Przepraszam cię, Kasiu. Chyba wchodzę w wiek starczy i to jest pierwszy objaw - dodałam, by nas sprawiedliwie obdzielić.

- Usiądź. Zapal. Masz jeszcze godzinę. Zrobiłam kawę. Z nim napij się wina. Nie gniewam się, nawet troszkę zazdroszczę. Nie żałuję tego, co mi się przytrafiło. Wiem, że mój mnie od czasu do czasu zdradza. Zawsze jest wtedy podwójnie czuły. Troskliwy. Pro-

ponuje tańce, których, jak ci mówiłam, nie znosi. Teraz wiem, że mówi prawdę, twierdząc, że mnie kocha. Beze mnie i bez dzieci nie wyobraża sobie życia. Ja go Kocham. Nie wyobrażam sobie życia bez niego. Zdradziłam go. Nie jestem z siebie zadowolona. Kierował mną strach, że już nic mnie w życiu nie czeka. Teraz dzieci, potem wnuki i starość. Dodałaś mi otuchy. Urozmaicę nasze życie. Tak jak mówiłaś, skończę z rutyną naszego seksu. Pozdobywam go tak, jak teraz zdobywałam innych. Wiem, że się podobam. To mi doda skrzydeł, by znów olśnić mojego chłopca. Masz rację. Ja stałam się żoną i matką. Swojego traktuję jak męża i ojca. Czas na powrót stać się kobietą. On przy mnie musi poczuć się chłopcem. Przystaję: jaszczec, bulkać, cytyrować, harotać. Mój to gryfniok i kocynder. Ja nie haszpa - usiadła obok. Przytuliła się i pocałowała mnie. - Dziękuję za wszystko, co mi nawkładałaś do głowy. I za to, że udawałaś, że nie widzisz też.

- Kasiu, żadnego słowa, poza „gryfniok”, bo nieraz tak określałaś swojego przystojnego, eleganckiego męża, nie zrozumiałam. Ważne, że powiedziałaś: przestaję.

Stuchając Kasi, patrzyłam na porozkładane spódnice, spodnie, sukienki, bluzki i żakiety. Kasia już wie, czego chce i jak to osiągnąć. Ja wiem, kogo chcę. Mój ma mnie zaakceptować taką, jaką jestem. Nie wymalowaną, wystrojoną, tryskającą humorem, zdrową babę. Jak ma być na stałe, to na dobre i złe pogody. Wtedy, gdy boli kręgosłup, a wątroba domaga się ziółek. W czasie, gdy torturą będzie patrzeć w lustro. Dusza młoda, a odbicie w lustrze obce.

Jesienny koktajl może smakować tylko z Jesiennym Panem.

„Choć nie wiem, kto to jest, i nie wiem, skąd go znam,
Czasem spotyka mnie jesienny, śmieszny pan...
Gdy park pożółknie znów, powróci znowu tam,
jesieni szukać barw, jesienny smutny pan...”

A wtedy spotkam go i pójdę z nim przez park...
Gdy świat pożółknie znów i biała wszędzie mgła,
będziemy razem szli, jesienny pan i ja"...

Włożyłam dres. Adidasy. Lekko przypudrowałam twarz. Ku zaskoczeniu Kasi, byłam gotowa do wyjścia. Wypiliśmy po lampce wina. Posiedzieliśmy godzinkę, rozmawiając na ogólne tematy.

Nie udzielał się imprezowo. Rocznicą śmierci żony i jednej z córek. Wypadek samochodowy. Zginęły na miejscu. Ma siedemdziesiąt lat. Trzypokojowe mieszkanie w Warszawie. Jest emerytem. Był marynarzem. Lubi ryby, grzyby, żeglowanie. W zimę teatr, kino, wystawy. Bez przesady. Raczej jest domatorem. Lubi spotkać się, ale tylko w towarzystwie sobie podobnych. Poprosił o numer telefonu. Podałam. Jego nie chciałam zapisać. Odprowadził mnie. Pożegnaliśmy się i odszedł...

Zmniejszenie aktywności to trzeci podstawowy składnik mojego koktajlu. Dawno już nie spotykam się z wiecznie narzekającymi na wszystko i wszystkich. Wykluczyłam prawie całkowicie tych, którzy tylko o chorobach, lekarzach, głodzie na świecie i katastroficznym ocieplaniu klimatu. Do niezbędnego minimum ograniczyłam gary, sprzętanie, obiady rodzinne. Ja już się wykazałam. Najwyższy czas dać się wykazać innym.

Wigilię też zrobiła Ula. Mój wkład to dwa szczupaki w galarecie. Zamrożone, duże, mazurkowe udało mi się uchronić przed uwielbiającą smażone ryby Miską. Dostałam nową klawiaturę do komputera. Wiedzą dzieciaki, że za ciepłe papucie Mikołaj przyniósłby im różgi. Dyscyplinę nie - bo znaty tylko jedno znaczenie tego słowa. Też negatywne.

Do grona dnia Spa dołączyła już dawno Stasia. Teraz w pięć robiłyśmy sobie dobrze. Nawet czując, że troszkę nas rozbie-

ra. Ciepła peretka ze świerkowym olejkiem czyniła cuda. Puchate szlafroki i z owczej wełny skarpety zostawiały u mnie przez okres zimowy. Wozić za ciężko. Ja miałam towarzystwo w łazien-ce pięciu szlafroków. W tym, na moje własne życzenie, żaden nie był męski.

Dzisiejszy dzień był wyjątkowy. Miałyśmy omówić szczegóły naszego sylwestra. U Stasiów. Oni mają czteropokojowe mieszkanie.

- Słuchajcie. Fajnie, że mój pomysł wam się spodobał. Teraz tylko trzeba namówić chłopów. Nie wiem, Krysiu, czy twój na to przystanie - spytałam z niepokojem.

Zachowywał się czasami bardzo dziwnie. Był nieśmiały. Trochę zamknięty w sobie. Zmieniał się pomału od czasu ich ślubu. To jednak on najczęściej nas przygaszał, pytając, czy w naszym wieku to wypada.

- Jaki wiek? - tłumaczyłam. - W czterech ścianach mamy prawo robić to, co chcemy. Kiedy, jak nie teraz? Wracajmy do najpiękniejszych wspomnień i powtórzmy to, co możemy. Cieszymy się sobą i z sobą.

- W podchody też nie chciałeś się bawić, a potem jaki byłeś zadowolony, że to ty odnalazłeś skarb - tłumaczył mu Stasio, pierwszy do psikusów. Choć trzeba przyznać, że Stasia nie pozostawała za nim w tyle.

- Pamiętasz, co mówiła Ala, dowiedziono, że nawet malutki uśmiech, z trudem wywołany, uwalnia hormon szczęścia w całym organizmie. Spójrz tylko na mnie - dodała Krystyna, wstając i kręcąc się w kółko. - Postuchałam jej i jestem szczęśliwa. Dałam sobie szansę. Wyszłam naprzeciw. Uśmiechem cię przywołałam. Teraz jesteś mój mężuś - pocałowała go i dumna usiadła z powrotem na fotelu.

Krysiu od czasu poznania swojej ptaszynki z dnia na dzień młodziła, zdrowiała. Nie miała czasu na sąsiadki. Kwitła i chcia-

ła, żeby tak było każdego dnia. Na cmentarz chodzili razem. Raz w roku. Na Wszystkich Świętych, 1 listopada. Przedtem bywała tam co tydzień. W każdą niedzielę, po mszy. Teraz i na mszę nie zawsze miała czas.

Dziewczyny, widząc, że myślami jestem daleko, przywołały mnie, bym włączyła się do dyskusji na temat sylwestra.

- A l a , my stroje odpowiednie na naszego sylwka już mamy - oznajmiła Stasia. - Mikołaj nam przyniósł.

- Stroje nie problem. Zanim przejdziemy do szczegółów balu, muszę wam coś powiedzieć - Ewa przerwała i spojrzała na mnie.

- Ty się przez chwilę nie odzywaj. O ważnej sprawie. Dwa dni temu byłam u Alicji. Dozorca przyniósł rachunek za wodę. Przeczytałam go razem z nią. Jest duża dopłata, dzielimy na czwórkę i zwracamy jej pieniądze.

- To oczywiste - wtrąciła się Stasia. - Tylko dzielimy na pięć. Inaczej rezygnuję i nie przychodzę - zagroziła, dodając - i żadne tam, że ja później dobiłam. Równy na pięć. Basta - skończyła stanowczo.

- Tak, ale ja w domu policzyłam i odkryłam, że dużo nie wzięłyśmy pod uwagę. Liczyłyśmy po pół wanny wody na każdą. A gdzie mycie potem maty i wanny po każdej? Mycie głów. Masaże nóg. Zmywanie - Ewka była emerytowaną księgową. Postawiła skarbonkę na stole. - Od dziś wrzucamy po sześć złotych. Alu, ty nie masz nic do powiedzenia - dodała, patrząc na moją minę, wyrażającą chęć dyskusowania nad kwotą. - Inaczej rezygnujemy. Prawda dziewczyny?

- Doliczyłaś prąd? I przy perelce, i przy masażu. A światło?
- dorzuciła Krystyna.

- A wodę na herbatę? Pijemy minimum po pięć szklanek - dodała Stasia.

- Właśnie. Potem sikamy jedna za drugą. Uwzględniłaś wodę w toalecie? - dorzuciła dumna z siebie Danką.

- Myślę, że po dziesięć złotych będzie sprawiedliwie - zaproponowała Stasia.

- O nie. Znajdźcie sobie inne Spa. Nie zgadzam się i już - zaproponowałam stanowczo. - Potem będę musiała prosić Ewę, by rozliczyła, ile muszę wam oddać. Nie ze mną te numery, Brunerowe - rzuciłam, wstając, by nastawić następny czajnik wody.

Stańęło na równym podziale niedopłaty i ośmiu złotych do skarbonki.

Przeszłyśmy do przyjemniejszego tematu. Atrakcji naszego balu. Burza mózgów. Spisywałyśmy na kartce pomysły, by dokuścić, co potrzeba. Ciasteczka z wróżbami. Kotyliony dwukolorowe. Potem walc dobranych par. Zabawa w kapcie, który pierwszy dojdzie do progu, pierwszy trafi na cmentarz, odpadła. Lubię wisielcze dowcipy. Ten to jednak przesada. A nuż się sprawdzi. Przebieramy się na miejscu. Panie osobno, panowie osobno. Kómką dajemy znać, żeby Staś włączył poloneza. Parami, tańcząc, wchodzimy do sali balowej. Danka robi kotyliony. Kryśka kupuje balony i serpentyny. Bez konfetti, za dużo sprzątanania. Obowiązkowo wybór miss i mistera. Kapelusz i karteczki przygotowuje Stasia.

- Jakie atrakcje? Może butelka? - zaproponowała Ewa.

- Ja na podłodze? Po turecku? Chyba żartujesz - zaśmiała się Krystyna. - Zabawę to byście mieli, podnosząc mnie - trzymała się za brzuch.

- Czekajcie, to dobry pomysł. Co prawda, kiedyś się przy tym rozbierano. Tego bym jednak nie proponowała. Nie psujmy sobie zabawy - zażartowałam. - Stasia ma przecież okrągły stół. Usiądziemy i będziemy kręcić butelkę na blacie. Co wy na to?

- Dobry pomysł. Tylko co może zastąpić rozbieranie? - westchnęła Stasia.

- J u ż wiem. Na kogo wypadnie, opowiada świński dowcip. Chociaż tyle pieprzu, co? Uprzedzimy wcześniej. Niech każdy

się przygotowuje. - Danka była bardzo zadowolona ze swojego pomysłu. Butelka przegłosowana. Lanie wosku też. Nie szkodzi, że to nie andrzejki. Fajna zabawa. Doszło parę konkursów. W tym: kto najdłużej zrobi jaskółkę. Jeżeli w ogóle ktoś zrobi. Nawet małą. Też wygra.

Już zbierając się do wyjścia, Stasia zaprosiła wszystkie ze wszystkimi na kolejną miesięcznicę. Brylantową, diamentową już była. Zaczęli liczyć od początku. Zaczynając od miodowego tygodnia.

- Nagotowałam gar bigosu. Jak nie przyjdziecie, to zamrozę. Do tego piwo. Tort ślubny zamówiłam. Jeśli wszyscy się zjawia to zjemy po kawaleczku. Nie zapomnijcie o raphacholinie i terpicholu, czy w co tam która wierzy. Ja mam własną orzechówkę z pieprzówką. Ty, Ala, przyprowadź swojego, niech się do nas przyzwyczai, łatwiej biedak przeżyje sylwestra - zakończyła. Przepychając się w drzwiach, wychodziły całkiem rozchichtane.

Dobrze, że lekka zima. Nie marznie się na przystankach. Co prawda, mój internetowy proponował, że będzie po mnie przyjeżdżał, ale nie chciałam. Wołałam utrzymać bardziej koleżeński układ. Rzeczywiście świetnie tańczył. Skończył sześćdziesiąt pięć lat. Zdecydował się przejść na emeryturę. Był architektem. Będzie dorabiał w firmie prywatnej. Równy wzrostem ze mną. Jak na faceta, niski. Ja w szpilkach jestem od niego wyższa. Nie przeszkadzało mi to zupełnie. Spora łysinka. Namawiałam go na ogolenie głowy. Miał ładny kształt czaszki. Wyraźne rysy. Lepiej by wyglądał. Nie chciał. Te starsze roczniki chłopców bardzo się broniły przed łysą pałą. Za to młodszy wprost przeciwnie. Ale wcale nie miał brzucha. Większość młodszych miała. Dokarmiłam mnie, żartując, że lubi obgryzać kostki, ale bez przesady. Nic mu

nie mogłam zarzucić. Oprócz jednego. Był w separacji. Uznali z żoną, że to najlepsze wyjście. Rozpad współżycia. Są wierzący. Brali ślub kościelny. Dla mnie było to jednoznaczne. Chwilowo od siebie odpoczywają. W każdej chwili mogą wystąpić o cofnięcie decyzji. Znów być małżeństwem. Jest żonaty. Wolny na chwilę. Postanowiłam traktować go jak chwilowego partnera. Uczciwie przedstawiłam mu swój pogląd. Nie zamieszkać z nim.

Świadomie akceptuję wszystko, co mogę przyjąć modne-go. Moda pozwala choć na chwilę stać się inną. Można pokazać swoje inne „ja”. A nawet zakomunikować coś, czego nie chcemy głośno powiedzieć. Dzięki niej nasze życie może być weselsze, młodsze, a nawet stać się przygodą. Wystarczy otworzyć się, porzucić dawne skrupuły. Dziś džinsy nosi się od roczku do maksimum wieku. Na ostatni spacer też się nadają. Moda się zmienia, satysfakcja z modnego wyglądu pozostaje. Oby jak najdłużej. Świadomie nie zamierzam zaakceptować związku partnerskiego i konkubinatu. Efekt byłby tylko jeden. Zmętnienie, zgorzknienie, zniesmaczenie mojego jesiennego koktajlu. Chwilowy związek jako odmienna przyprawa, na dosmaczenie, jak najbardziej wskazany...

Deszcz poprzez stonce. Wiatr nagania chmury, by za chwilę pomknęły dalej. Ostatnie drobniutkie płateczki śniegu. Primaaprilisowy kwiecień plecie swoje zimowo-letnie baju-baju. Pogoda nie nastrajała do wyjścia. Kartka z kalendarza schowana do szufladki. Namazałam same plusy i plusiczki. W kóteczo wzięłam jeden minusik.

Minęło parę miesięcy. Z Krzysztofem jesteśmy nadal tylko w kontakcie telefonicznym. Najpierw była córka, potem on wyjechał do niej. Po powrocie nie zaproponował spotkania. Ja też nie (oj, Misia, tobie radzę, a sama nie potrafię sobie poradzić).

Ostatnio powiedział, że znowu wyjeżdża i odezwie się za miesiąc, jak będzie mógł. W rozmowach z nim nie byłam sobą z dziś. Rozmawiała szesnastoletnia Ala. Nie zareagowałam jak typowa kobieta: „W puszczy będziesz i bez zasięgu? Co znaczy, jak będziesz mógł?” Nie powiedziałam jak dwudziestolatka: „Zdecyduj się. Może nie dzwoń wcale”.

Zachowałam się jak kiedyś, z moją pierwszą miłością. Zadzwoił i powiedział: „Alka, na razie nie będziemy się spotykać”. Odpowiedziałam: „Dobrze”, i odłożyłam słuchawkę. Beczałam całą noc w poduszkę. Rano nie dałam nic po sobie poznać. Śmiałam się ze wszystkiego i z niczego. Tamten nie zadzwonił więcej.

Teraz w nocy nie płakałam. Za to rano też postanowiłam się pośmiać. Poczytałam w necie dowcipy. Nie śmieszyły mnie. Chłop by nie pomógł. Obdzwoiłam dziewczyny.

- Krysiu. SOS. Natychmiast duża porcja śmiechu jest mi niezbędna.

- Mnie wprost przeciwnie. Połamały mnie wszystkie korzonki. Wszystkie. Rozumiesz - zaśmiała się. - O Boże, nie mogę się śmiać. Boli.

- Zalecam całodzienną dawkę powagi. Niech ci twój poczuta coś nudnego. Trzymaj się, tylko nie tego korzonka, który cię połamał - odłożyłam słuchawkę, nie czekając na jej reakcję. Ona ma teraz duże poczucie humoru. Ochrzaniła by mnie za to, że zalecam coś, a dawkuje zupełnie przeciwnie.

Dankę zastałam w kolejce do pierwszego kontaktu. Przewidywała jeszcze co najmniej ze trzy godziny. Dla mnie za długo. Powiedziałam, żeby nie przyjeżdżała, tylko z domu zadzwoniła, co powiedział lekarz.

Ewa podłapała fuchę. Rozlicza kioski. Nie mam co dzwonić. Anka leży w uściskach grypy. Ulka i Miśka w pracy. Nawet gdyby

nie, je śmieszą trochę inne żarty i sytuacje. Różnica pokoleń. One są za stare i za poważnie podchodzą do wszystkiego, w tym do życia.

Może wrócili Stasiowie, z entej wycieczki miodowej. Stasia umiała się śmiać. Z niczego i ze wszystkiego. Z dziurki wypalonej papierosem w nowej bluzce. „Przypniesz broszkę, nie będzie widać” - zaśmiewała się, mówiąc dalej: „Śmieszne będzie połączenie tej pstrokacizny z broszką, nawet gładką - to minus. Nie martw się Alusiu, twój sposób to plusy. Plusem będzie fakt, że dziura nie będzie widoczna. Cha, cha, cha”. Skręcała się ze śmiechu. Tak, Stasia to jest to. Zadzwoiłam. Wygłosiłam ten sam apel. Po półgodzinie siedzieliśmy przy herbacie i ciastkach, które przywieźli. Temat do obśmiania się był oczywisty. Znów nasz sylwester.

- Przypomnijcie sobie naszą królową i króla balu. Kryskę z mężem - podsuwała Stasia. - Te czarne, do kolan majtadały i czarny gorset prześwitujący przez cytrynową, przezroczystą koszulę nocną. Czarne, bez palców rękawiczki i paznokcie, każdy w innym kolorze. I ta królewska godność, z jaką wymachiwała trzepaczką z zawiązanymi serpentynami. Super wyglądało to jej królewskie berło, kiedy trzonek wsadziła między piersi.

Mój pomysł, by na balu obowiązywały stroje wieczorowe, wypalił. Panie rechotały w sypialni robiącej za ubieralnię. Pano wie w gabinecie, spokojniejsi. Od czasu do czasu słyszała któraś, idąc do łazienki, głosy: „Ja w tym nie wyjdę. Co tym babom odbiło na stare lata?” Na dźwięk poloneza pojedynczo wychodziliśmy z dwóch stron do przedpokoju. Tu miały się łączyć pary. Za pierwszym razem się nie udało. Patrzyliśmy na siebie i nikt nie był w stanie utrzymać powagi. Co chwila ktoś biegł do toalety. Danka trzymała się za brzuch, ścisnęła nogi i wrzeszczała: „Chłopaki, zejdźcie mi z oczu, bo się posusiam!” Krysia stała

z dumnie wypiętą piersią, falując rozszerzaną koszulą, by panowie dokładnie widzieli, co jest pod spodem. Nasi partnerzy, oprócz męża Krysi i Stasia, w muszkach na gołych szyjach. Piżamki urozmaicone. Jednokolorowe, w paski lub góra inna niż dół. Kieszonki, w zależności od inwencji towarzyszek, przybrane były stringami, czerwoną podwiązką, chusteczką z apaszki dopiętej agrafką, zwisającą prawie do kolan.

- Stasiu, ja głosowałam na ciebie - kulitałam się, bo już mnie żebrały od śmiechu. Patrząc na niego, widziałam go w tej białej, aż do ziemi koszuli, zapiętej na guziczki. Agrafką doczepione stringi i, na głowie, szlafmyca. - Drugie miejsce to też podium - pocieszałam go, bo nadal uważał, że to, co miał na sobie Krysi mąż, to nie był strój wieczorowy. Tym bardziej nocny. Tylko dzienny.

- Ja od razu głosowałam na Krysiowego. Do dziś nie wiem, jak jej udało się go na to namówić. Przepraszam na chwilkę, poczekajcie - Stasia pobiegła do ubikacji.

- Muszę jednak przyznać - zaczął mówić Staszek - że mi imponował odwagą. Ma chłop jaja. Polubiłem go - Staś przerwał, besztany przez żonę, by zaczekał na nią.

- Ma. Ma. To było dokładnie widać - Stasia z uśmiechem przyznawała mężowi rację. - Kryśka napracowała się. Sama uszyła strój z trykotu. Wzorowała się na westernie. Dużo pracy włożyła, by uszyć te jednoczęściowe śpioszki z tyloma guziczkami. A jeszcze ta odpinana klapka z tyłu. To było boskie - Stasia, po dwóch szklankach herbaty, znowu biegła się odwonić.

- Przestańcie, ja już nie mogę. Widok naszego króla balu, skulonego, wychodzącego z pokoju z rękoma na swojej męskości, do dziś doprowadza mnie do płaczu - łkałam, ocierając łzy.

- Stasiu, czas na nas. Misja skończona. Ala płacze ze śmiechu. Ja się naśmiałam za wczoraj, za dziś i chyba na jutro jeszcze zostanie.

Piszą, że jednym z objawów wieku podeszłego jest przekonanie o własnej nieomylności. Obserwuję je u siebie. Wspaniałe uczucie. Byłam pewna, że to będzie udany sylwester. Na takie wygłupy trzeba nie być młodym, tylko chcieć czuć się bardzo młodym. I co najważniejsze, wreszcie móc sobie na to pozwolić. Mieć dystans do wszystkiego, w tym też do siebie.

Będąc przed dwudziestką, marzy się, by być już po. Mając trzydzieści, czterdzieści lat - bardzo uważamy na to, co nam wypada, a co nie. Co o mnie pomyślą, gdy niespodziewanie zareaguję śmiechem, podskoczę z radości. Uznają mnie za dziecinną, niedojrzałą, infantylną. Kierujemy się pytaniami: wypada? można? zaakceptują? jak ocenią? jak wypadnę? jak mnie odbiorą? jak przyjmą? Mało liczy się: co ja chcę? na co mam ochotę? czy to mi odpowiada? czy to mnie bawi? czy razi? Wypada się zachować tak, jak narzuca otoczenie, środowisko, towarzystwo. Z różnych względów musimy się podporządkować. Dawniej tego uczono, dziś szeroko mówi się o kanonach dobrego zachowania, które obowiązują każdego kulturalnego człowieka. Przeważnie zawęża się sprawę do odpowiedniego wizerunku. Tresuje: jak stać, jak złożyć ręce, jak modelować głos, i na deser dodaje: ważne jest czyste, niewygniecione ubranie i wyczyszczone buty. Co się mówi, mniej ważne. Ortografia w mówieniu niewidoczna. Z gramatyką gorzej, ale może nie zapamiętają, jeśli w odpowiednim momencie krzyknjemy parę frazesów.

Jedno wszyscy wiedzą najlepiej: jak powinien zachowywać się wykształcony, obyty w świecie Europejczyk.

Poważne rozmowy wykształconych, kulturalnych interlokutorów w mediach, bez względu na temat spotkania, często uczą młodzież i niewykształcone szare masy, kulturalnego zachowania.

Krótką notatką. (Najistotniejsze problemy)

Temat spotkania: kryzys gospodarczy. Przebieg spotkania.

- Jest to poważny problem, przed którym... - mówi pierwszy.

- My robiliśmy wszystko, by... - w słowo wszedł drugi. W tym momencie jest już zagłuszony przez trzeciego.

- Najważniejszym jest... - trzeci poprawił się na fotelu, wyprostował sylwetkę, złożył ręce tak, jak go niedawno nauczone, złapał oddech i - nie zdążył, za długo pracował nad wizerunkiem.

- Panie - zwraca się pierwszy do drugiego - człowiek kulturalny, nie przerywa w pół słowa. Proszę dać mi dokończyć myśl - musiał nabrać powietrza.

- No właśnie, panowie. Prowadźmy dialog kulturalnie - popart pierwszego trzeci, znów próbując opanować palce, które nie chciały się odpowiednio zgiąć. - Najważniejszym jest - w tym momencie na jego sztucznie spokojny głos nałożył się krzyk drugiego.

- Kultura powinna obowiązywać wszystkich, dlatego mówię, że jedynie my - tu machnął ręką na pierwszego, żeby mu nie przerywał.

- Dziękuję panom - przebił się redaktor prowadzący program. - Nasz czas minął - powiadomił, nie zważając na kłótnie między gośćmi. - Podsumujmy. Myślę, że program przybliżył widzom naszej stacji problem związany z kryzysem gospodarczym. Tylko wspólne działanie rządu i opozycji przyniesie oczekiwane efekty. Zapraszam jutro na nie mniej interesującą dyskusję na temat: reforma szkolnictwa.

Podobną notatkę napisałam Jędrkowi do szkoły. Sam nie umiał jej przygotować. Na moje pytanie „dlaczego?” padła krótka, konkretna odpowiedź: „A świstak siedzi i zawija”. Nie umiałam logicznie skontrolować. To było ponad moje możliwości. Napisałam w stylu ble, ble. Dostałam dwa plus. Jędrak się ucie-

szyl. Była tylko jedna trójka, dwie prace zostały ocenione na dwa plus, reszta dwóje i pały...

Mój internaucik zaproponował wspólny wyjazd nad morze. We wrześniu. Do pensjonatu. Pasowało mi. Z Anią zaplanowaliśmy wyprawę na Mazury na przełomie lipca i sierpnia. Tak odpowiadało w tym roku szwagrowi.

Coraz więcej czasu spędzaliśmy ze sobą. Internaucik i ja. Już nie tylko dziennego. Starał się jak mógł. Zabiegał. Przekonywał różnymi argumentami. Przemyślałam. Na moją decyzję wpłynął znów tyk wiedzy. Przeczytałam, że jajka obfitują w żelazo, cynk, fosfor, potas i chrom. Wszystko, co niezbędne dla serca, układu odpornościowego, krwiotwórczego i nerwowego. Musiałam świadomie dbać o swój organizm. Zgodziłam się. Łaskawie. Nie żałuję. Propozycję wyjazdu przyjął z nieukrywaną radością. Dostał po dwa całusy w policzki, z dubeltówki. Byłam zadowolona. Tym bardziej, że można wykupić zabiegi. Na spotkanie z rękami masażyisty ucieszył się mój kręgosłup. Na świeże, morskie powietrze czekały z utęsknieniem moje płuca. Na myśl o smaku i zapachu smażonego dorsza lub fladry moja wątroba podskakiwała radośnie.

Na razie cieszę się czerwcową pogodą. Słoneczko mocno przygrzewa. Pojechałam do Danki. Ma ogródek działkowy. Dwie jabłonie, dwie śliwki, krzaki porzeczek i agrestu. Reszta to krzewy i kwiatki. Sporo trawki. Małą altankę. Telewizor. Jadliśmy wczesny obiad i słuchałyśmy relacji z przebiegu obrad sejmowych.

Ja świeżo po burzliwej dyskusji z Jędrkiem. Na temat sensu uczenia się gramatyki - składni, synonimów i tym podobnych bzdur. Korzystałam z okazji, że mam przed sobą polonistkę.

- Danka. Jakimi argumentami mam trafić do wnuka, że znajomość ojczystego języka jest podstawą wykształconego człowieka? - spytałam.

- Posłuchaj. Ona ma stopień doktora - Danka uciszała mnie, nie chcąc nic przegapić. Wypisywała na kartce: „mówiom”, „pa-trzom”, „słuchajom”, „przekonujom”.

- Szkoda twojego czasu, Danusiu. Moja dyskusja z Jędrkiem tak się zaczęła. On na maturze chce zdawać WOS. Będąc u mnie, oglądał między innymi właśnie obrady sejmowe i notował na kartce. „Babciu słyszałaś to: «Wezmem młotka i rozbijem». Re-chotał uszczęśliwiony. „A co powiesz na «premier nas wszystkich uspał?»” Tu już zwijał się ze śmiechu. W ciągu piętnastu minut wyłapał pięć błędów językowych. Dwa stylistyczne. W czterech przypadkach wychwycił brak sensu i logiki między zdaniami.

- Powinnaś go pochwalić. Cieszyć się. Wychwytnie błędów to jednocześnie świetny sprawdzian tego, co się nauczył - pa-trzyła na mnie, nie wiedząc, w czym problem.

- Je m u nie o to chodziło. Dałam się podpuścić. Zapytał mnie, czy wiem, że ten, który mówi, jest profesorem. Odpowiedziałam, że tak. Nawet bardzo znanym. A na to Jędrrek: „I dalej mi będziesz wmawiała, że człowiek wykształcony musi poprawnie mówić?” Gdybyś widziała tę jego zadowoloną minę. Potem znów zaczął mnie naśladować: „Misiu. Jędrusiu. Babcia wam ciągle wkłada do tych waszych pustych główek. Wykształcony człowiek musi umieć posługiwać się poprawną polszczyzną. Formułować swoje myśli zrozumiałymi słowami. Logicznymi zdaniami. Mniej słów, więcej sensu”. Trzeba przyznać, że miał dużą frajdę. Spytał się, czy oglądałam poprzedniego wieczoru swój ulubiony program. „Oczywiście, że tak”, odpowiedziałam, ucieszona, że zmienił temat. „To mogę zjeść kawałek tego torta?” - zapytał, puszczając oko. „Nie bądź taki agent”, śmiejąc się, podałam mu na talerzyku kawałek tortu.

- I nie poprawiłaś go? - zdziwiła się Danka.
- Danusiu, on zacytował redaktora prowadzącego. W tym programie często pokazują polityków źle mówiących po polsku.
- Ala, ja ze swoimi mam podobny problem. One spisują do zeszytu wypowiedzi nauczycieli. Mówią, że opublikują w necie. Media bawią się, pokazując jako dowcipy fragmenty z wypracowań dzieci. One udowodnią, kto ich uczy. Przeczytałam. Też nie mam argumentów...

Październikowa, deszczowa pogoda źle wpływała na samopoczucie większości. Na mnie nie. Ja miałam swoje plusiki. Stojąc na przystanku, trzymając z całej siły parasolkę, by wiatr mi jej nie wyrwał, przypomiinałam sobie delikatną bryzę nad morzem. Ciepłe słońeczko i zapach słonej, jodowanej wody. Ja dorastałam w luksusowych warunkach, w przeciwieństwie do dzisiejszych młodych (jak Ula) i starych młodych, jak Miśka czy Jędrrek.

Telewizja raczkowała. Pojęcie „komputer” nie było mi znane. Od czasu do czasu kino. Reszta to czytanie książek i uruchomienie wyobraźni. Zamykało się oczy i widziało przesuwające się sceny. Klatka po klatce. Czasami zmieniając wygląd bohaterów, podstawiając znajome twarze. Klóciło z koleżankami, jak wyglądać powinna Ania, a jak Diana. Podpytywało chłopaków o Winnetou. Old Shatterhanda każda wyobrażała sobie po swojemu. Najczęściej miał wygląd wymarzonego chłopaka. Dla mnie autor, Karol May, był cichym bohaterem. Jego życie dawało nadzieję, że nikt nie jest z góry przegrany. Nie widział do piątego roku życia. Popadał w konflikty z prawem. Parę razy był w więzieniu. Siedząc w celi, zaczął pisać. Największą popularność zdobyła seria powieści o Dzikim Zachodzie.

Przeczytałam całą Winnetou dwadzieścia jeden razy. Noto wałam na pierwszej stronie. Do dziś mam ten egzemplarz. Pisał,

korzystając z tego, co przeczytał o tych ziemiach, ludziach, obyczajach. Reszta to własna fantazja i wyobraźnia. Był dla mnie wzorem i nadzieją. Nikogo nie można z góry szufladkować i przekreślać. Wzorem człowieka, który może nie widzieć, żeby zobaczyć. Czytałam o czymś lub o kimś. Potem tworzyłam sobie obrazy, marząc, jak by to było cudownie - leżąc w łóżku, widzieć na ścianie przesuwane się obrazy. Był jednocześnie nadzieją. Kochałam się, będąc w czwartej klasie podstawówki (na razie bez wzajemności, ale wierzyłam, że to się zmieni), w prawie dorosłym chłopaku. Największym łobuzie z siódmej klasy. Parę razy już mu grożono poprawczakiem. Może jak pójdzie do więzienia, to stanie się sławnym pisarzem? To była moja nadzieja. Widzę go, od paru lat, czasami w telewizji. Jest członkiem jednej z liczących się partii. Był posłem. Bzdury, głupoty, idiotyzmy, które wygłaszał, świadczyły o tym, że i on kimś został. Najlepszym dowodem na to był fakt, że prosili go o wypowiedzi i komentarze na temat najważniejszych problemów w naszym kraju. Na nikogo głupiego nie marnowaliby cennego czasu antenowego.

Dzisiejsi rozwijający się i dojrzewający mają wszystko na talerzu. Z podpisami i dokładnymi informacjami. W paru restauracjach. Potrawy podane ze smakiem, aromatem, barwą i dźwiękiem. Po co trudzić się wyobrażaniem sobie czegoś, co się widzi, wącha, słyszy i smakuje. Szkoda czasu. Zostaje tylko konsumpcja.

Namawiałam do czytania lektur dwa pokolenia. Trzeba. Należy. Powinno się. Rozwija. Poszerza. Czytałam i przeżyłam. Moje argumenty, które wygłaszałam z obowiązku, owocowały marnym skutkiem. Jak wszystko, co się mówi, samemu nie wierząc w te słowa. „Mamo, nie wierzę” - tak kiedyś mówiła Ula. „Babciu, nie ściemniaj” - to już tekst Miśki i Jędrka. „Wszystkich na pewno nie czytałaś”. „Wszystkich nie. W Chłopach tylko wątki Jagny z Antkiem.

Pana Wołodyjowskiego całego. Krzyżaków też. Potopu nie strawiłam. Nocy i dni też nie. Przeczytałam dużo później. Od deski do deski. Do wszystkiego trzeba dojrzeć, żeby zrozumieć". Nie wciskałam im (za dużo) umoralniających gadek. To bez sensu. Pomagałam pisać niejedno wypracowanie. „Obejrzymy na kasecie Wesele. Pogadamy. To plus streszczenie, które masz, powinno wystarczyć" - sama proponowałam Miśce, która ze streszczenia niewiele rozumiała. Przeczytać nie zamierzała. Mówiła: „Nie trafia do mnie «miałeś chamie złoty róg»". Książki z czasów wojny, wyszukiwała sama. Z wypracowań, z tematów, które ją zainteresowały, dostawała szóstki. Średnia wyszła na cztery.

„Po co mam czytać? Kupować? Gotowych bryków w necie pełno. Na każdy temat. Lepiej nie napiszę". Jędrrek, nie zgadzał się z moimi wywodami. „Babciu, najważniejsze to używać w wypracowaniu szablonów. Ja napisałem, że Mickiewicz w sonetach, wyraził swoją tęsknotę za krajem. Było źle. Miałem napisać: nostalgię. Czaisz?" Uznał, że wszystko jasne. Miał rację. Czałam. Jednocześnie nie czając...

Zaprosiłam internaucika i Stasiów na „parzymordkę". W sobotę. Na ostrą, meksykańską zupkę. Z mięskiem, czyli jednodaniówką. Miśka już zachwyciła nią swoje grono. Ulka podaje jako oryginalne, gorące danie dla znajomych.

Moi goście lubili co ostrzejsze, pikantniejsze smaczki. Nie tylko w papu. We wszystkim. W dowcipach - im pikantniejszy, tym lepszy. W urozmaiconym seksie. Mieli prawo. Moje ulubione żarty z wisielczym humorem mało ich bawiły. Mój opowiadał jednotematyczne: Internet, komputer, czatowanie, seks przez Internet. Każdy mówił swoje. Szczerze się śmiał sam ze swojego. Ważne, że osiągnięty był zamierzony efekt - porcja gimnastyki przepony.

W brydża Stasia grała z moim. Ja ze Stasiem. Było spokojniej, bez rzucania kartami i wyzwiskami: „Jełopie, zmarnowałeś kartę”, „Ty nie masz pojęcia o brydżu” i tym podobnymi. Czasami zamiast seksu była rozmowa o seksie. We dwoje. Więcej różu na twarzy, zarówno u panów, jak i pań, pojawiała się podczas wspólnych dyskusji na ten temat.

Siedzieliśmy w szóstkę u Krysi. Zimno jak cholera.

- Ciepłe jak dupcia u dziewięćdziesięcioletniego niemowlaka - rzucił Stasio, dotykając żeberka kaloryfera.

- Stasiu, wiem, że lubisz perwersje. Ale takie to chyba lekka przesada - Krysia porozumiewawczo mrugnęła do Stasi.

- Pijcie póki gorące - gospodarz wniósł już w kubkach grzane wino. - Włączę farelkę. Zaraz zrobi się cieplej - uspokajał nas.

- Rozgrzejemy się seksem - stwierdziła Stasia.

- W takie zimno, nie żartuj. Nawet ja mu nie rozkażę - zari-postował Stasio, były milicjant. Jego ulubiony dowcip: stój, bo strzelam.

- Tobie zawsze jedno w głowie - śmiała się Stasia, doskonale wiedząc, że my wiemy, że jej też. - Poopowiadajmy sobie nasze najgorsze wspomnienia związane z seksem. Najbardziej wstydlive lub najśmieszniejsze. Dzisiaj wszystko kawa na ławę. W zwykłym filmie to często sceny graniczące z porno. Dzieciaki nie muszą sobie pokazywać, jak wygląda siusiak. Pełno tego w kioskach. W necie jedynym zabezpieczeniem jest napis: „Strona dla dorosłych”. Jak masz osiemnaście lat skończone, kliknij dalej. Głupi by nie kliknął - Stasia poprosiła o dolewkę gorącego wina.

- Największym moim koszmarem był widok ptaka u mojego ojca - Krysia od razu zaakceptowała temat. - Weszłam niespodziewanie do łazienki. Zobaczyłam. Wrzasnęłam. Schowałam się pod kołdrę i płakałam. Z żalu nad mamą. Wiedziałam już, jak się robi

dzieci. Mama opowiadała, że poród miała ciężki. Tłumaczyła, że przez małą dziurkę musi przejść główka dziecka. Właśnie do mnie dotarło, że to mały ból. Urodziła nas troje. Mała główeczka dziecka to pestka. Zrozumiałam, po tym, co zobaczyłam, jakie katusze musiała przeżywać, byśmy przyszły na świat. I jej krzyk, który słyszałam z ich sypialni: „O Boże, kończ” - Krysia spojrzała z czułością na swojego. - Dopiero teraz sama mam ptaszysko i pierwszy raz w swoim życiu krzyczałam: „Jeszcze trochę. Nie kończ”.

Rozmowa poszła w kierunku wieku i możliwości uprawiania seksu. Dziś już na filmach dojrzałe pokolenie uprawia seks. Kiedyś czterdziestka mówiąca o seksie to była sodoma i gomora. Stasia przypomniała niedawny reportaż o prostytutce w wieku osiemdziesięciu lat, mającej trzydziestolatków za klientów. Ja wideoklip z parami od nastu do osiemdziesięciu lat. O miłości, która w każdym wieku jest najlepszym lekarstwem na wszystko. Uścisk. Głaskanie. Bicie drugiego serca. Przytulenie się. Ciepło od drugiej, żywej istoty. Najlepsze źródło energii do życia od niemowlaka do niemowlaka. „Nie mam drugiej” - narzekamy i pogrążamy się w nieutulonym żalu, bez względu na wiek. Ona zawsze jest osiągalna. Czasami nawet bez zbędnych utyskiwań, kłótni, nieporozumień, żalów, płaczu, ran w sercu i na duszy. Energią zawsze, bez dużych wymagań, obdarzy nas śliczny, puchaty kociak. Wierny przyjaciel - pies. Nie ma przymusu bycia zgorzkniałą, nieszczęśliwą, wiecznie i na wszystko biadolącą istotą. Wystarczy tak mało - nie chceć nią być.

- Nawet Stasi tego nie opowiadałem - zaczął Staś, wywołując tymi słowami powiększenie się małżowin usznych żony. Aż włosy zgarnęła za prawe ucho, żeby lepiej słyszeć. Staś poprawił się na fotelu i, patrząc w kubek z winem, mówił. - Mój pierwszy raz był koszmarem. To było na drugim roku studiów. Akademik. Ciągłe balangi. Dziewczyny. Koledzy domyślili się, że jestem

prawiczkiem. Oczywiście, „jechałem na ręcznym”, jak młodzi mówią, ale dalej niż przytulanie i pocałunki z dziewczynami, nie byłem. Wypiliśmy z kumplami sporo piwa, do którego dolali mi po cichu wódki. Kręciło mi się w głowie, więc namówili mnie na pójście spać, a sami wyszli zabawić się z dupami. Rozebrałem się. Spaliśmy nago. Zgasilem światło i położyłem się. Skrzypnęły drzwi. Myślałem, że któryś wrócił. Poczulem rękę na swoim i babskie perfumy. Udawałem, że śpię. Pomiętosita. Bez żadnego efektu. Mój upojony alkoholem spał. Szepnęła: nic z tego. Drugi szepł: Daj, ja spróbuję. Umarłego wskrzeszę. Poczulem jej język i wargi. Potem zaczęła ssać. Próbowałem poruszyć swoją wyobraźnię, chcąc pomóc. Nie jej, jemu, to znaczy sobie. „Daj spokój”, już głośno powiedziała ta pierwsza. Wychodząc, w drzwiach rzuciły do stojących na korytarzu: „To impotent”. Ich śmiech długo mi towarzyszył - Staszek zamilkł i po chwili dodał. - Poproszę, Krysiu, o herbatę.

Przez pewien czas panowała cisza. Spowaźnieliśmy. Nikomu nie było do śmiechu. Krystyna przyniosła herbatę.

- Stasiu, dlaczego mi nigdy o tym nie opowiedziałeś? Dawno już byś z siebie to wyrzucił. Byłoby lżej. Siedzi jak zadra. Ja to rozumiem. Miałam podobną. Nie mówiłam ci, bo już mam dystans. Teraz wam opowiem mój koszmar, przez który do niedawna oblewał mnie pot. Wreszcie przestał, ale do dziś dziękuję Bogu, że później nie urodziłam się. Spróbujcie pobudzić swoją wyobraźnię. Studniówka. Piękne młodzieutkie dziewczyny. Spódnice czarne albo granatowe. Długość od kolan w dół. Mini było zabronione. Bluzki białe, bez dekolców. Za to ozdobione mnóstwem falbanek, zakładek, pliseczek i riuszek. Ja miałam spódniczkę za kolana. Pełny klosz. To znaczy, chłopaki, taka, że gdy wirowałam w tańcu, to ona wraz ze mną. Stylonowe pończoszki, kupione specjalnie na bal. Chciało mi się siusiu. Nie szłam.

Szkoda było czasu. Z pełnym pęcherzem leciałam do łazienki. Wszystkie zajęte. Jak już była wolna, to zanim usiadłam, już się zsikałam. Wcale się tym nie przejęłam. Zdjęłam majtki. Zawinęłam w papier i wyrzuciłam do kubła. Papierem wytarłam pończochy i prędko wróciłam na salę. Podobał mi się bardzo jeden chłopak. Najlepszy tancerz. Nie zwracał na mnie uwagi. Miał być konkurs rock and rolla. Byłam w tym dobra. Liczyłam, że chcąc wygrać, poprosi mnie. I tak było. Wszystkie figury wychodziły nam świetnie. Do momentu, gdy przejechałam między jego nogami i za parę sekund znalazłam się z głową nad podłogą. On, słysząc gromkie brawa i piski: „Trzymaj”, spojrzał, zobaczył i przytrzymał mnie dłużej. Moja pupa, i nie tylko, naga świeciła w blasku reflektora - Stasia zaczęła się śmiać. - Słuchajcie, jaka ja jestem szczęśliwa, że nie było komórek. Dziś oglądałabym swoje zdjęcia lub nagrania w Internecie.

Stasia rzeczywiście pozbyła się swojego koszmaru.

- Szkoda. Chciałbym być na miejscu twojego partnera - westchnął Staś. - Pierwszy bym obejrzał. Taki widok, w dodatku z podwiązkami, to byłby cud-miód.

- Uważaj - przestrzegłam go. - Znając twoją żonę, zafunduje ci to szybciej niż myślisz.

- Stasia, nie ryzykuj. On cię nie utrzyma w tej pozycji i złamanie karku masz pewne - Krysia śmiała się głośno.

- Pomogę ci przytrzymać - dodał ślubny Krysi. - Musimy przy tym być. Będziemy bić brawo.

- Takiś chętny. Ja z tobą zatańczę, też założę pończochy, a brawa wyklaskam na twoich policzkach - Krysia była bardzo zazdrosna o swoją ptaszynę.

- A la , co z twoim internaucikiem? Nie zabierasz go z sobą? Nie mówisz o nim. Co się dzieje? Taki równy gość. Chyba nie zamierzasz i tego sptawić? - Danka zaczęła temat, reszta się dołączyła.

- Dajcie mi spokój, powiem, kiedy będę miała coś do powiedzenia. Jest jak jest i na razie musicie się tym zadowolić - odpowiedziałam stanowczo, ucinając temat...

Ostatni dzień następnej kalendarzowej jesieni. Jak dobrze, że nie mojej. Moja jesień ma trwać, trwać i nigdy się nie skończyć. Jeżeli już, to tylko z ostatnią kroplą mojego jesiennego koktajlu. Wiek podeszły charakteryzuje się zmianą osobowości w kierunku egocentryzmu i izolacją społeczną. Bez tych składników mój koktajl nie byłby doskonały. Nadszedł ich czas. Do tej pory moje potrzeby plasowały się poniżej dziesiątego miejsca. To był udział w za trudnej dyscyplinie. Pięciobój: mąż, dziecko, samotność, praca, wnuki. Skoki wzwyż, w dal, przez płotki, strzelanie do tarczy i slalom narciarski jednocześnie. Bez przygotowania, odpowiednich warunków i zasobów finansowych. Szansa na wygranie siebie dla siebie - znikoma. Po prostu nie ma czasu na „ja”.

Jesień to pora, gdy nasze potrzeby, życzenia, przeżycia są już w takiej formie, że zasługują wyłącznie na pierwsze miejsca na podium. Jednocześnie już umiemy rozpoznać trujący bluszcz w naszym ogrodzie. Pojawia się zawsze wtedy, gdy widzi, iż jest dobra okazja. Mówiąc, jaki jest biedny, chory, nieszczęśliwy-wyciąga pomocny listek na znak, że jest dobry, czuły, wspaniały. By oplatać, musi wzbudzić litość i jednocześnie pokazać, jak dobre ma serduszko. Rozrasta się. Coraz mocniej i ściślej oplątuje swoją ofiarę. Umacnia się i zaczyna, jak pasożyt, odżywiać się energią, siłą, sercem, szczęściem swojej ofiary. Wysysa do ostatniej kropli chęć do radości, uśmiechu, nawet maleńkiego śmieszku.

Zastosowałam izolację społeczną. Nic nie stało na przeszkodzie. Żadna premia, podwyżka, strach przed utratą pracy ani pomoc w konkretnej sprawie. Uzależnienie od sytuacji bądź okoliczności. Mały miałam wpływ na to zarówno wiosną, jak i latem.

Jesień jest moja. Jestem wolna. Bezwzględnie wypielilam wszystkie chwasty...

Andrzejki w tym roku udały się wspaniale. Wymyśliłam motto naszej zabawy. Na świętego Andrzeja radują się panny, wdowy, rozwódki, mężatki. Cieszą się: kawalerowie, wdowcy, rozwodnicy i mężowie. Jakie marzenia - taka nadzieja.

Zabawa odbyła się w dużej sali wykładowej. Chętnych multum. Młodzież męska na czele z internaucikiem ustawiła stoliki i krzesła. Panie przygotowały wszystkie niezbędne atrybuty do wróżb. Każdy miał przynieść po dwa ciastka. Herbatę przygotowano na miejscu. Były oczywiście wróżby. Niektóre dopasowaliśmy do nas. Trudno pod kubek kłaść różaniec.

Nie było chętnych do klasztoru. Kamyk też odpadł. Nikt z nas nie chciał wieść pracowitego, pożytecznego życia. Na muszelkę nikt nie reflektował. Emigracja w naszym wieku nie jest wskazana. Listek to staropanieństwo lub starokawalerstwo. „Staro” - nam nie pasowało. Został cukierek. Słodkiego, miłego życia chcieliśmy. Piórko też - życie lekkie i przyjemne. Obrączkę - małżeństwo, tego chcieli wszyscy, bez względu na aktualny stan cywilny. Przeważała - znaczenie tego słowa często poznajemy na końcu. W kolejce słów, oczywiście. O akceptację monety nie pytałyśmy. Kto by nie chciał być bogatym. Ziarnko pieprzu zostało przegłosowane na tak. Przeważał mój argument. Nie oznacza to koniecznie wypadu do dżungli czy wycieczki przetrwania. Spotkanie kogoś miłego też może być niespodziewaną przygodą w życiu.

Wieczór umiły tańce, hulanki i swawole. Rozstając się, życzyliśmy sobie jednego. Tego, czego życzy sobie każde towarzystwo, które wesóło i przyjemnie spędza razem czas. Spotkać się w tym samym gronie za rok.

Pod poduszkę włożyłam dwie kartki. Z dwoma imionami.

Jedno imię się nie odzywa. Drugie zaproponowało, że weźmie rozwód i pobierzemy się. Rano wyjmę...

- Babciu, jakie masz plany na dzisiaj? - zapytała Misia tonem oznaczającym, że powinnam mieć czas wolny.

- Mów konkretnie, o co ci chodzi? Mogę się dziś dostosować do ciebie - czułam, że coś wisi w powietrzu.

- Jak byś była wieczorem w domu, to bym przyjechała na nockę - wydukała wreszcie Miśka.

- Przyjeżdżaj. Mam już ferie. Czekam - odłożyłam słuchawkę, by nie dać jej szansy na pytania: „Na pewno? Nie popsuję ci planów? Może innym razem?”

Jest źle. Na nockę przyjeżdża tylko wtedy, gdy ma doła lub depresję. Tu kakao nie pomoże. Kogel-mogel też nie. Przygotowałam jej spanie. Postawiłam na szafce świecę waniliową. Uwielbia ten zapach. Zaparzyłam herbatę w czajniczku. Przygotowałam gościnny dzbanek od serwisu i filiżanki. Herbata z tego dzbanka miała właściwości uspokajające. Wszyscy się odprężali i rozmawiali na luzie.

- Jestem - Miśka zjawiała się po niecałej godzinie. - Najedzona - dodała, widząc, że sięgam do lodówki. - Zrobimy herbatę z dzbanka?

- Bierz tacę. Już przygotowałam. Idziemy do pokoju, w fotelach będzie wygodniej - powiedziałam, szukając papierosów.

- Musimy do pokoju? Wiesz, jak ja lubię w kuchni. Uchylimy okno. Tu się lepiej gada - Miśka już rozkładała serwetki i stawiła filiżanki.

Wypiłyśmy po filiżance herbaty. Potem ona drugą, ja wypaliłam papierosa. Czas na herbatę dla mnie. Ona siusiu. Po czterdziestu minutach dzbanek był pusty. Nie padło ani jedno słowo.

Ona zaczęła płakać. Ja, już trochę podenerwowana, podałam jej chusteczki. Wstawiłam nową wodę. Szloch był na całego. Wyjmowałam herbatę z szafki, gdy usłyszałam:

- Babciu. Stało się coś strasznego.

Umilkła, wycierała oczy i nos. Odkręcałam właśnie stoik z herbatą. Stałam do Miśki tyłem, z czego byłam zadowolona. Musiałam zapanować nad mimiką twarzy, by móc spokojnie na nią popatrzeć i wtedy ona:

- On chce brać ślub.

I od nowa w bek. Stoik z herbatą na ziemi. Nie zapanowałam ani nad mimiką twarzy, ani nad wybuchem śmiechu. Tym bardziej spazmatycznego, im większą odczuwałam ulgę. Z tak strasznym nieszczęściem spróbujemy sobie wspólnie poradzić.

Problem był bardzo poważny. Rozumiałam go doskonale. Wiedziałam, co przeżywa. Kochała go. Niedawno znalazła superpracę. Jest bardzo zadowolona. On wykańcza właśnie mieszkanie. Wszystko wybierali razem. Meble już zamówione. Dawno zdecydowane, że mają zamieszkać razem. Ona tego też chce. Różnią się jednym. Ona chciałaby jeszcze pożyć na luzie ze dwa, trzy lata. On jest starszy o dziesięć lat. Chce mieć żonę i dziecko. By nie być dziadko-tatą. Jego rodzice są wierzący. Bardzo ją lubią. Matka powtarza, że wychowała syna na odpowiedzialnego mężczyznę. Żadne konkubiny, związki partnerskie czy wolne. Kobieta musi czuć się bezpiecznie. Dzieci muszą wiedzieć, że rodzice są małżeństwem, a nie kochankami. Ciężki orzech do zgryzienia. Mam takie samo zdanie. Ślub, potem dzieci. Najlepiej zaplanowane. Kobieta i mężczyzna mają czas na zbadanie się. Zadbanie o swoje zdrowie. Odstawienie używek. Wszelkich proszków, łącznie z aspiryną i apapem na wszystko.

- Czyli uważasz, że on ma rację. Mnie nie rozumiesz? - Miśka już nie chlipała.

- Mówię ci tylko, że jest odpowiedzialny. Traktuje ciebie i wasz związek bardzo poważnie. Rozumiem jednak twój punkt widzenia. Dopiero skończyłaś staż. Były marne warunki. Często pracowałaś całe dni. Krucho finansowo. Teraz odetchnęłaś. Cieszysz się z pracy. Z zajęć dodatkowych. Nie mieliście za dużo wolnego czasu, pilnując robotników i biegając za kafelkami. Chciałabyś się bawić. To wszystko można z mężem. Musicie się spotkać w pół drogi.

- Tak, tylko ja nie chciałabym być już mężatką. Nie zrozumiesz tego, bo ja sama nie wiem, dlaczego - westchnęła tak ciężko, że musiałam ją przytulić.

- Rozumiem, wnusiu. „Gdy na dziewczynę zawołają «żono», już ją żywcem pogrzebiono”. To twój problem? - przytuliłyśmy się.

Wszystko już powiedziałyśmy. Znałam Miskę. Teraz musi pomyśleć, udając, że nie myśli. Sama nie chce być. Nie czas na łóżko. Teraz najlepsze są puzzle. Można układać. Nic nie mówić i pomyśleć. Nad łożeniem. Niekoniecznie puzzli. Miśka myślała. Ja również. Ona o swoim. Ja też o swoim. Wiosna i jesień spotkały się przy puzzlach, myśląc o tym samym. Ja też nie chcę odpowiedzieć „tak”. Wiosna jest pewna, że to on. Jesień nie ma tej pewności. Wiosna wierzy, że będzie ją kochał wiecznie. Jesień myśli, że duże są szanse na to, iż on może być partnerem i przyjacielem do śmierci. Dowodem miłości dla wiosny jest: on chce wziąć ślub. Dowodem, że myśli poważnie, dla jesieni jest: on chce się rozwieść. Wiosna czeka na telefon od niego. Zasypia, myśląc o nim. Nie chce jeszcze wrywać się do lata. Jesień czeka na telefon. Zasypia, marząc. Boi się, że zimę spędzi z nim, pod powiekami mając twarz tamtego.

- Miśka. Druga godzina. Ja się kładę, a ty? - byłam już bardzo zmęczona.

- Masz rację, babciu. Jutro z nim pogadam. On niech trochę zrozumie mnie, ja jego. Ja ustąpię i on niech ustąpi. Spotkamy się w pół drogi. Idziemy spać. Jutro koło dziesiątej chciałabym jechać do domu.

- Dobrze. Zjemy razem śniadanie i pojedziesz. Dobranoc.

- Zapomniałam zupełnie - powiedziała Miśka, wyciągając z siatki dwa serki pleśniowe. - Zrobię je sama. Ty będziesz patrzeć. Po pół dla każdej. Jeden smażony, a drugi z karmelem. Bardzo mi smakowały. Próbowалаm według łopatologii, ale mi się cukier spalił. O rety, ale jestem głodna. Wezmę ciasto i herbatę. Zjem już w łóżku, przy świecy. Ty się kładź. Dobranoc i dziękuję...

Słuchałam wykładu na temat pielęgnacji ciała. Babka mówiła tak interesująco, że chłonełam jej słowa, już czując się piękniejsza. To jest sztuka wypowiedzenia na temat, ze zrozumieniem tego, co się chce przekazać. Ją mogliby dać do sejmu.

„Dawno, dawno temu... Na Węgrzech w okresie średniowiecza żyła księżniczka o imieniu Elżbieta, znana w całej Europie jako Elżbieta Królowa Węgier. Słynęła ze swojej olśniewającej urody. Wiele podróżowała, używając życia. Nie mogła pogodzić się i nie chciała, by z upływem czasu gasta jej uroda i zdrowie. Dokuczał jej silny reumatyzm. Poprosiła nadwornego alchemika o stworzenie mikstury, która pozwoli odzyskać utracone zdrowie i atrakcyjność. Alchemik przygotował ją z cudownego zioła rozmarynu, do którego dodał olejki esencjonalne o działaniu odmładzającym i o zniewalającym zapachu. Królowa znów cieszyła się zdrowiem i urodą. W wieku siedemdziesięciu dwóch lat odrzuciła prośbę króla Polski o swoją rękę. Miksturę piła, nacierała nią całe ciało i dodawała do kąpieli. Od tego momentu eliksir ten stał się niezwykle popularny i znany w całej Europie. Znalazł swe miejsce w historii jako perfumy i lek o nazwie Woda Królowej Węgier”.

W przerwie piłam kawę z moim internaucikiem. Patrząc na niego, podjęłam decyzję. Dla mnie najważniejsza była informacja, że w wieku siedemdziesięciu dwóch lat Elżbieta odmówiła ręki królowi. Przede mną dużo jesiennych tygodni, dni i godzin. Wykład o urodzie pomógł mi. Mam jeszcze dużo czasu na zostanie „pogrzebioną”.

Dalsza część wykładu nic nie straciła na atrakcyjności. Słuchaliśmy, zachwyceni naszą młodziutką (jakieś dwadzieścia pięć lat) wykładowczynią.

„Bardzo popularny jest Rytuał Sabiny Popei, który wraca do łask w niektórych salonach urody. Mam dla państwa superwiadomość. Prosty sposób do zastosowania w domu. Wykonujemy delikatny peeling całego ciała otrębami pszennymi z odrobiną mleka pełnotłustego, który należy dokładnie spłukać. Po peelingu od razu należy zanurzyć się i rozkoszować ciepłą kąpielą, do której wlewamy dwa litry tłustego mleka. Nie wcieramy żadnego kremu po zakończeniu kąpieli. W Spa taki zabieg jest za drogi na emerycką kieszeń. W domu to koszt mleka. Płatki są tanie i starczą na długo. Oszczędzamy też na kremie czy balsamie po kąpieli”. Mówiła, uśmiechając się bardzo serdecznie. „Mam dziadków emerytów i wiem, jak oszczędzają, by starczyło na wszystko” - dodała ta prawdziwie kulturalna dziewczyna.

Decyzję podjęłam. Jak mu to powiedzieć, by go nie urazić, nie wiedziałam. „Chyba porozmawiam z babcią” - śmiałam się sama do siebie. Przyznaję, że nie raz to robiłam. Babcia lepiej mnie rozumiała niż mama. „Wnusi, korzystaj z życia, aby mądrze. Pomyśl, zanim zrobisz. I rób krok do przodu. Jeśli się sparzysz, też dobrze. Drugi raz nie popełnisz tego samego błędu”.

Szybko skorzystałam ze wzmocnienia społecznego, jakie uzyskałam na wykładzie. Leżałam już w wannie wypełnionej wodą z mlekiem pełnotłustym, czując się jak żona Nerona. Czas wy-

gramolić się z wanny bez splotkiwania i zbyt mocnego wycierania. Owijałam się szczelnie w przygotowany, ciepłutki szlafrok, gdy usłyszałam melodię. Grała komórka. To esemes. Może zczekać.

Pijąc gorące kakao, czytałam po raz enty: „Wracam szóstego grudnia. Prosiłem Mikołaja, by przyniósł mi prezent. Spotkanie z tobą. Boję się. Proszę, nie odmawiaj. Wszystko wytłumaczę. Wysłuchaj mnie. Potem zdecydujesz...”

Spotykamy się na obiedzie, w jednej z najbardziej znanych, rybnych restauracji (zapamiętał, że lubię ryby). Mam powód, by nie zobaczył mnie w dresie. Tak jak przy ostatnim spotkaniu. Było tylko pierwsze, zapoznawcze, i drugie, jednocześnie ostatnie.

Założyłam jasnokakaowyScostium. Do tego moją ukochaną jedwabną bluzkę w ślicznych jesiennych odcieniach. Podkreśla mój kolor włosów i oczu. Delikatny makijaż. Fluid liftingujący i rozświetlający. Na wszelki wypadek wcześniej zrobiłam napinającą maseczkę. Emocje towarzyszące mi były jak z wieku wiosny. Wtedy powodowały drżenie rąk, teraz wywoływały błyski w moim spojrzeniu. Widziałam, w okularach, że dobrze wyglądam, na piątkę. W moim wieku ma się zaniżoną samoocенę. Wniosek nasuwa się sam. Muszę wyglądać jeszcze lepiej niż widzę. Na szóstkę. Gotową można być na dwie godziny przed spotkaniem. Trudno stać przed domem i czekać na niego.

Skracałam sobie czas, próbując odpowiednio zinterpretować przeczytany w necie artykuł. Po sześćdziesiątym roku życia występuje mnoga patologia - dowiedziałam się z uświadamiającego ludzi tekstu. Pisali, że aż w osiemdziesięciu pięciu procentach. Z paraliżującym strachem czytałam dalej, nastawiona na szuka-

nie u siebie objawów patologicznych. Co najmniej jedna choroba. Roześmiałam się szczerze. Już jako dziecko miałam straszną przypadłość. Chorobliwą nieśmiałość. Choroby sercowo-wieńcowe. Mój mąż zafundował mi, jeszcze w mojej wiośnie, chorobę sercową. Wieńca mi nie ofiarował. Dwa razy bukiet. Jeden na ślub. Drugi na pierwszą rocznicę ślubu. Trzeciego bukietu, nawet wiązanki, jednego, złamanego kwiatka - nie dostałam. Rozwód był wcześniej. Już bez strachu czytałam dalej. Obniżenie filtracji kłębkowej. Nad tym się nie zastanawiałam. Filtr do wody założyłam. W pozycji na kłębek lubię spać. Upośledzenie słuchu do trzydziestu procent. To mam. W większym stopniu. Aż w pięćdziesięciu procentach nie słyszę (kiedy nie chcę). Druga połowa słuchu wystarcza mi całkowicie. Do słyszenia tego, co chcę usłyszeć. Ze wzrokiem podobnie. Gdy chcę zobaczyć lepiej, mam okulary. Za dużo nie chcę widzieć. Dlatego superpowiększające lustro trzymam głęboko w szafce. Do zadry wystarczy lupka. Mam taką stojącą. Wkładam dodatkowo okulary. Palec pod lupkę i zadra z głowy. To znaczy z palca. Jestem w czepku urodzona. Nie grozi mi przerost prostaty.

Na zaburzenia termoregulacji cierpię od dawna. Zaczęły się mniej więcej w wieku piętnastu lat. Wtedy pomagały ciepłe skarpety i kąpiele rąk. Raz w ciepłej, raz w zimnej wodzie. Naprzemiennie. Potem stosowałam ten sposób tylko wtedy, gdy spałam sama. Gdy niesama, świetnie regulował moje zaburzenia, w bardziej urozmaicony i skuteczniejszy sposób, aktualny on.

Zaburzenia wrażliwości na ból ostatnio bardzo często u siebie obserwuję. Od paru dni i chciałabym, i boję się, bólu rozczarowania. To samo dotyczy zaburzeń snu. Myślenie: czy to on? czy nie on? - zaburza nie tylko mój sen, także zapach, smak i węch. Zapachu spalonej jajecznicy, którą szykowałam sobie dziś na śniadanie, nie poczułam. Jej smaku - tym bardziej nie. Węch od

smrodu spalenizny do tej pory mam zakłócony. Marzę, by w niedługim czasie skontrolować moją wrażliwość receptorów. Samej jest to możliwe, ale o wiele mniej przyjemne. Miał rację ten, kto powiedział: „Nie rób samemu, co można we dwoje”.

Nad skojarzonymi z wiekiem zaburzeniami pamięci muszę jeszcze raz, dokładniej niż dotychczas, zastanowić się. Innym razem. Domofonem dał mi znać, że jest. Na górę go nie zapraszałam.

Wiedziałam, że ta noc będzie bezsenna. Nawet sekundy szkoda zmarnować na sen. Miałam tyle do przemyślenia. Wystroju sali nie pamiętam. Co jadłam i jak smakowało, też nie. Zaburzenia trwały nadal. Dał mi jedną różyczkę. I trzy kartony kentów.

- Spróbuj, może ci zasmakują, a mają mniej dokuczliwy dla biernych palaczy zapach dymu. Co zjesz?

- Wybierz sam. I wino. I rybę - powiedziałam. Zjedliśmy bez słowa. Stara szkoła. Nie mów z pełną buzią. Palłam. Patrzyłam. Czekałam. Nie zamierzałam mu ułatwiać. Nie po takim czasie. Jak to Miśka mówi: „A co, niech wie”.

- Nie mogłem dzwonić. To znaczy, mogłem, ale nie mogłem - wydukał wreszcie, patrząc na mnie błagalnie, bym zrozumiała. - Powiedz coś - Krzysztof najwyraźniej nie wiedział, jak zacząć.

- Zacznij od początku. Od wyjazdu z sanatorium. Po prostu opowiedz, co się u ciebie działo - podpowiedziałam, widząc, że się zaplaczę.

- Powiem. Ty najwyżej dopytuj. Dobrze? - widząc, że kiwnęłam głową na tak, opowiadał. Po męsku. Ze szczegółami. - Moja córka przyjechała na dokładne badania. Wcześniej zrobiła je już w Stanach. Mimo to zdecydowali powtórzyć wszystkie w Polsce. Mają znajomych wśród lekarzy. Chcieli mieć pewność. Potrzebny był przeszczep wątroby. Ja od razu zdecydowałam się. Nie wiedziałem, czy

nie jestem za stary. Lekarze stwierdzili, że muszę przejść szczegółowe oględziny. Więcej niż młodszy dawca. Najważniejsze było, że mogę być dawcą. Jednak mój wiek to większe narażenie na działanie różnych czynników zewnętrznych. Dlatego trzeba było dogłębne zbadania stanu organów i tkanek. Jest to o wiele bardziej istotne niż u dawców młodych. Zwrócić trzeba większą uwagę na przebyte choroby wirusowe, nowotworowe. Trochę to trwało. Córka, poparł ją zięć, powiedziała, iż zgodzi się pod jednym warunkiem. Że pojedę z nimi do Stanów. 1 tam powtórzemy wszystkie badania. Okazało się, że poza zmianami w kręgosłupie i lekkim nadciśnieniem nic mi nie dolega. Mogę być dawcą. Córka zwlekąca, czekając, by uregulowało się ciśnienie. Ja znałem powody własnej dolegliwości. Jednym był strach o nią. Drugim, że cię już nie zobaczę.

Spojrzał na mnie. Wiedziałam, że mówi prawdę.

- Dlaczego nie powiedziałaś? Milczałaś? To było tak niezrozumiałe. I bolesne - dodałam.

- Moja córka, Dorota, też mi to mówiła. Tłumaczyła, że kobieta z każdą sytuacją sobie poradzi. Tylko z milczeniem nie - zamówił po lampce koniaku. - Nie mogłem. Nie miałem prawa cię w to wciągać. Bałem się, że może się przytrafić najgorsze. Zanim zdążylibyśmy się poznać. Nie mogłem ci tego zrobić. I sobie. Rozumiesz? - mówił to, trzymając mnie za rękę.

- Staram się - powiedziałam, nie dodając, że wołałabym nawet telefonicznie, denerwując się, być blisko niego. On by i tak nie zrozumiał. - Mów najpierw, co ze zdrowiem. Jak operacja? Jesteś, to znaczy, że dobrze? - dopytywałam się.

- Tak. Wszystko się udało. Operację przeprowadzono w Stanach. Dorota szybciej wróciła do pełnego zdrowia. Ja miałem małe problemy z sercem. Ale wrywałem się, żeby wracać. Mówiłem im, że tylko tu jest lekarstwo. Nie chcieli mnie słuchać. Dlatego tak długo nie mogłem się z tobą zobaczyć. Dziś wiem,

że jestem zdrów prawie jak ryba. Pomagały mi rozmowy z Dorotką. Na twój temat. Kazała mi przeczytać dalsze tomy Ani, te do czasu ich ślubu. Chciałem zadzwonić już z domu. To ona kazała mi od razu, gdy otrzymałem bilet, zawiadomić cię. Mówiła: „Zadzwoń”. Stchórzyłem. Dlatego wysłałem esemesa.

Wyszliśmy z restauracji. Potrzebowaliśmy ciszy, samotności. Tyle miał do opowiedzenia. Chciał nadrobić stracony czas.

- Jedźmy do mnie. Nie na kolekcję motyli - zastrzegął, patrząc, czy nie zrozumiałam opacznie jego zaproszenia. - Spokojnie porozmawiamy. Dobrze? Mam coś dla ciebie. Wziąłem z sobą. Ale nie dam ci, dopiero w domu - roześmiał się, widać było, że jest szczęśliwy.

Z żoną poznali się w liceum. Pierwsza miłość. On jej. Ona jego. Nie uważali. Dziecko. Po czterech latach drugie. Jego przez pół roku nie było w domu. Mieszkali nad morzem. Młodej babce, gdy mąż jest na morzu, trudno żyć. Marynarz też miał dużo pokus w portach. Oddalili się od siebie. Córki ich łączyły. Wiedzieli, że dopóki dziewczyny nie wyfruną z domu, będą razem. Ona była wspaniałą matką. Za to on ją szanował. Zginęły na miejscu. Dziewięć lat temu. W wypadku samochodowym. Prowadziła starsza córka. Młodsza miała poważne obrażenia. W tym wątroby. Ważne, że przeżyła. Skończyła medycynę. Wyszła za mąż. Osiedła w Stanach. Nie pamiętał, że to już mówił. Ja słuchałam, nie przerywając.

Zdjął mi buty. Wymasował nogi, widząc, że jednak te szpilki są ciut wąskie. Usadowił mnie na wygodnej kanapie. Podłożył poduszkę pod krzyż. Dobrze mi się z nim rozmawiało. W większości słuchało. Do czasu. Przyszła kolej na babskie konkrety.

- Rozmawiałeś o mnie z córką? Co jej mówicieś? - to mnie bardzo interesowało. Ja nikomu o nim nie mówiłam. Bo i co miałam powiedzieć?

- Opowiadałem, jak wyglądasz. I jaka jesteś. O wszystkim mówiłem.

- Powiedz konkretnie. O czym? Przecież ty nic o mnie nie wiesz - byłam coraz bardziej, po babsku, ciekawa.

- J a k to, nie wiem? - był szczerze oburzony. - Opisałem cię dokładnie. Zanim się dosiadłem, obserwowałem cię. Myślałaś o czymś. Nad czymś się zastanawiałaś. Tak, jakbyś w myślach sprawdzała wydatki. Brakowało ci widocznie paru złotych. Potem je znalazłaś i uśmiechnęłaś się. Wyglądałaś tak, jakby ktoś nad tobą zapalił latarnię. Świeciłaś. Zrobiłem ci zdjęcie komórką - Krzysztof, widząc moją minę, szybko dodał. - Trzymało mnie i dawało nadzieję w najgorszych momentach. Nic nie mów - pogroził mi palcem - bo się przestraszę i stracę watek. Córce cię opisałem: „Szczuła, nawet zabiedzona. O dużych oczach, które gdy się śmieją, to błyszczą. Czyta nadal Anię. Na randkę ubrała się na sportowo i była bez makijażu. Musi być fajna. Te normalne przychodzą na pierwszą randkę ubrane od stóp do głów. Prosto od fryzjera i umalowane. Jest rozwódka. Młodziutką emerytką. Ma córkę i dwoje prawie dorosłych wnuków. Zna Kubusia Puchatka, Prosiaczka i Kłapouchego” - skończył bardzo zadowolony, że udowodnił, ile o mnie wie.

- I co powiedziała córka po takim opisie? - śmiała się serdecznie, już słysząc w myślach reakcję mojej Uli na taki opis.

- „O, wy chłopy!” Krzyknęła i kazała sobie pokazać zdjęcie. Przyjrzała ci się. Powiększyła. I wiesz, co powiedziała? - prze-rwał specjalnie. Widział moją ciekawość.

- Mów. Zaraz cię czymś walnę w łepetynę, to nie będziesz zadawał głupich pytań.

- Powiedziała, że oczy masz w kolorze bursztynów na szyi. Żakiet jasnobrązowy w kropeczki, takie jak ciemnopomarańczowa bluzka. Jakby to było bardzo ważne. To, co powiedziała później, bardzo mi się spodobało - Krzysztof znów zawiesił głos,

tym razem na chwilę. - J u ż mówię. Nie zabijaj mnie wzrokiem. Określiła cię, mówiąc: „Tatko, to jest pani jesień” - patrzył na mnie, niepewny, jak to przyjmę.

- Ślicznie to powiedziała. Prawdziwie. Kiedyś ci to wyjaśnię. Opowiadaj dalej. Co jeszcze mówiła? Wspomniałaś, że często rozmawialiście na mój temat. - Chciałam wiedzieć, jakie jest jej nastawienie do kobiety w życiu ojca.

- Kazała mi dokładnie przeczytać dalsze losy Ani. I w dzień mojego wyjazdu powiedziała, bym pamiętał, że tyle czasu nie mam. Muszę przyśpieszyć, parę tomów zawrzeć w jednym. I dała mi dla ciebie... poczekaj, zaraz przyniosę - Krzysztof podszedł do szafki w przedpokoju. Tam położył paczuszkę, którą miał z sobą w restauracji. Podał mi, mówiąc - Sam jestem ciekaw, co to jest.

Odpakowałam. W środku była mała szkolna tablica. Mazak do pisania i list. W nim słowa: „Dzień dobry, Pani Alicjo. Jeżeli czyta Pani ten list, to znaczy, że się spotkaliście. Ja jestem pewna, że dla mojego taty jest Pani Anią. Jeżeli dla Pani on może być Gilbertem, to nie marnujcie czasu. Pozdrawiam, mając nadzieję, że się poznamy”.

- Mądrą mam córkę - powiedział Krzysztof, któremu dałam list do przeczytania. Przykucnął przy mnie. Podstawił głowę i powiedział: „Marchewka”.

Uderzyłam go w tę posiwiałą łepetynę i, śmiejąc się, odparłam:

- Na razie jestem na etapie nielubienia cię za te stracone miesiące. Od tego zacznijmy.

Odwiozł mnie do domu taksówką. Swoją prezent dałam mu, zanim się pożegnaliśmy.

- Proszę, panie Stumilski. To dla pana od Ani.

- Ja się nazywam Stomilski, musiałaś źle usłyszeć - poprawił mnie. I odwinął Kubusia Puchatka. Patrzył na mnie bardzo zdziwiony.

- Jako Krzyś, według twojego wnuka, opiekujesz się swoimi przyjaciółmi w Stumilowym Lesie. Ten Misio o Bardzo Małym Rozumku siedział sobie smutny na półce sklepowej. Żal mi się go zrobiło i zapytałam, dlaczego jest taki przygnębiony. Wyszeptał mi, że jemu długie słowa sprawiają wielką trudność. Ucieszył się, gdy mu powiedziałam: „Misiu, swój do swego ciągnie. Dam cię Krzysiuwi. Jest bardzo do ciebie podobny”.

Stał, nie wiedząc, co powiedzieć. Pocałowałam go w policzek i, zanim się zorientował, zamykałam już drzwi od klatki schodowej za sobą. Kiedy weszłam w domu (jednak trochę czasu potrzebował), dostałam dwa esemesy. Jeden: „Alu, ale śmieszne, dobranoc”. Drugi: „Marchewko. Śpij spokojnie. Gilbert”...

W radiu piosenka: „Miłość jest piękna, lecz po co płaczesz, zamiast radośnie uśmiechać się”. Autor tekstu nie przewidział widocznie, że łyż w połączeniu z radosnym uśmiechem zmieniają smak. Są najśłodsze. Nawet stuprocentowa zawartość cukru w cukrze nie przebiję tej słodyczy. Nie żłobią zmarszczek. Nie przygaszają spojrzenia. Żadnej porze roku. Moja jesień dostała intensywnych barw, lśniących nawet w pochmurne dni. Koktajl jesienny przybrał teraz bursztynowy odcień. Czekał na trochę czerwieni...

Ferie. Przerwa w wykładach. Krzysztof rozumie, że nie chcę rezygnować ze swojego stylu życia. Mniej, że jeszcze nie chcę go poznać z moim towarzystwem. Zupełnie nie rozumie, dlaczego nie chcę go przedstawić córce i wnukom. Przekonuję go, że za szybkie tego typu kontakty narzucają tempo. On mnie, że nie mamy na co czekać. Nie zmienię zdania. Najpierw poznamy się i nasze rodziny, życie, to, co nas cieszy, i to, co smuci - mówiąc, opowiadając, dzieląc się wspomnieniami. Ja muszę być pewna. To jego imię było na karteczce, którą wyciągnęłam spod poduszki.

Internaucikowi szczerze powiedziałam prawdę. Tak, żeby go najmniej uraziło czy zabolalo. Był naprawdę porządnym, odpowiedzialnym, czułym przyjacielem. „Zrozum”, mówiłam. „Spotkałam pierwszą miłość mojego życia. Kochałam go już w wieku trzynastu lat. Zawsze miałam go w sercu. Teraz się spotkaliśmy. To nie przypadek, los tak chciał. Będziesz chciał, zostaniemy przyjaciółmi. Zaakceptuję, jeśli nie będziesz miał ochoty na utrzymywanie ze mną kontaktu”.

To była prawda. Cała prawda. Od pierwszego przeczytania Ani z Zielonego Wzgórza kochałam się w Gilbertcie. Został moim ideałem. Kiedy mąż zniknął na zawsze sprzed moich oczu, też zasypiałam z twarzą Gilberta pod powiekami, a nie byłego ślubnego. Był co prawda konkurent, ale krótko. Winnetou. To była przelotna miłostka.

Zadzwoił domofon. Z nikim nie byłam umówiona. „Pewnie ulotki albo ziemniaki” - pomyślałam i w ogóle nie zareagowałam. Za chwilę dzwonek do drzwi. Sąsiedzi często wpuszczali intruzów na klatkę schodową, nie pytając kto tam. Usłyszałam tubalny głos mojego wnuka.

- Babciu, to ja. Jesteś?

Byłam.

- Wychodząc z domu, zapomniałem kluczy. Komory też. Mama wyszła. Powinna być za godzinę. Posiedzę u ciebie. Okropna zawierucha. Zimno. Masz coś na ruszt?

- Na ząb się znajdzie. Na ruszt chyba nie. Poszukaj w lodówce i zrób sobie kanapki. Ja włączę komputer, to mi wyjaśnisz, co zrobić z taką informacją, co mi wyskakuje i nie mogę otworzyć linka - poszłam do komputera.

- Babciu. Masz kielbasę, pomidora i jest ser - dobiegł mnie zadowolony głos wnuka z odkrycia czegoś do jedzenia.

Co prawda, zawsze coś tam mam, więc nie bardzo rozumiałam, z czego tak się cieszy. Za chwilę wszystko było jasne.

Miałam zrobić „patelniaczka” - czyli na gorąco, prosto z patelni. On z nasyconym brzuchem zajmie się moim doszkalaniem w zakresie obsługi komputera. Po dziesięciu minutach pataszował i jednocześnie objawił mi nowinę.

- Jestem gejem - wygłosił i dalej wrzucił na ruszt.

- Kiedy to odkryłeś? - pytałam spokojnie, siadając naprzeciwko z herbatą. Taka wieść wymagała rozmowy w cztery oczy.

- Nie musiałem odkrywać. Dziś uświadomił mi to nasz katecheta. Więcej na religię nie pójdę.

- Powiedz dokładnie, dlaczego jesteś gejem? - uznałam fakt homoseksualizmu Jędrka za ważniejszy problem od tego, czy będzie chodził na religię.

- Wbijał nam dziś do głowy, że rodzice żyjący bez ślubu i rozbite rodziny są wylęgarnią chuliganów. Chłopcy chowani przez same matki przy pomocy babć są najczęściej homoseksualistami - odłożył widelec, poklepał się po brzuchu. - Pyszne było. Zrobię sobie herbaty.

- Rób i mów dalej - zapaliłam, już czując się winną gejostwa mojego wnuka. Kenty rzeczywiście mniej miały smrodu w smrodzie.

- Nic. Wstałem i powiedziałem: „Ja jestem chowany przez matkę i babkę. To znaczy, według księdza, że jestem gejem”. Antek wstał też. „Ja przez samą matkę, to chyba półgej? Jak ksiądz myśli?”, zapytał. Dołączył do nas Tadek. Ten, co był na cieście. „Ja przez samą babkę. Matka z ojcem nie żyją. Ja też chyba pół? To może z Antkiem połączymy się w parę i będzie z nas cały pedał? Co ksiądz radzi?”, zapytał i wstał. W klasie panowała cisza. Zadzwoił dzwonek. Katecheta wziął dziennik i, wychodząc, powiedział: „Spotkamy się u dyrektora”. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Pewnie wezwą do szkoły.

- Do szkoły to jutro ja pójdę. Bez wezwania - powiedziałam, zapalając kolejnego papierosa.

- O, nie. Bo ja potem będę musiał zmienić szkołę. Tobie nic więcej nie powiem - Jędrrek był przerażony.

Nie dziwię mu się. Znał mnie. Wiedział, że w takich sytuacjach byłam zdecydowana i gotowa na walkę do upadłego. Nie było „zmituj się”. Najwyżej on zmieni szkołę, ale więcej jakis bęcwał nie pozwoli sobie na takie uwagi. Nawet gdybym miała uczestniczyć w lekcjach religii. W podobnych sytuacjach nie byłam jesienią. Wszystkie pory roku bulgotały naraz.

- Dam sobie radę. Spoko - Jędrrek uspokajał mnie.

- Niechodzenie na religię też nie jest dobrym wyjściem. Stopień z religii ma się liczyć do średniej - przypomniałam mu. - To podciągnęłoby twoją dwóję z geografii. Przemyśl to jeszcze.

- Przemyślę, przemyślę - popatrzył na mnie wzrokiem niewiniątka. - Chyba jeszcze raz będziesz musiała mi zrobić wykład na temat koniunkturalizmu. Jak zwykle, „niekumatym”, jak mówisz.

- Jędrrek, masz rację. Zrób, jak uważasz. Martwię się i tyle - pogłaskałam go po głowie, wiedząc, że tego nie znosi. Nikt z nas nie znosił.

Pomógł mi przy komputerze. Zapisałam, by nie zapomnieć. Ula zadzwoniła, że już jest przed domem.

- Narka - rzucił i już w drzwiach dodał - nie martw się. Będzie w porzo.

Na religię chodził. On miał mały plusik. Ja - duży minus...

Pierwsza, niezaplanowana, przypadkowa, wspólna noc z Krzysiem była całusna. W drugi dzień świąt. Tych kalendarzowych. Zgodnie z moim założeniem, ja święta miałam co dzień, od dawna. Jeżeli nie święto, to na pewno dzień wolny. Sama radość. Od czasu, gdy Krzysztof już mógł zadzwonić, towarzyszył mi tylko świąteczny nastrój. Wigilia u Anki. Pierwszy dzień

święt u Uli. On u swojej rodziny, ja ze swoją. Jeszcze nie czas na wspólną Gwiazdkę. Byłam o tym przekonana. Wspólna będzie, gdy zamienimy: ja, ty - na my. Ja już to wiem. On jeszcze na to nie wpadł. Nie zamierzam mu podpowiadać. Wtedy będziemy razem szli: jesienny pan i ja.

Przyszedt po obiedzie. Rozmawialiśmy o naszej młodości. O ślubnych. Proporcjonalnie do okresu trwania związków. O zmaganiach. Trudach i uciążliwościach samotności. Jego w rejsach. Moich w samotnym borykaniu się z codziennością. Rozumiał, bo doceniał trud żony, praktycznie samej wychowującej córki. Ona nie miała problemu finansowego. Wprost przeciwnie. Ja ledwo ciągnęłam od pierwszego do końca miesiąca. On był autorytetem dla córek. Dla Uli wzorem kobiety i mężczyzny musiałam być ja. Z różnym skutkiem.

Przy Krzysiu zaczęłam obserwować u siebie bardzo niepokojący objaw. Do tej pory miałam szeroki zasób słów. Potok, jak mówiły, moje psiapsióły. Na pytania Krzysia przeważnie odpowiadałam jednym słowem. W dodatku, co napawało mnie przerażeniem, że ze mną jest źle, powtarzając jak papuga, jego ostatnie słowo.

- Alu. Ja jestem typowym chłopem. Nie rozumiem babskiej logiki. Mów prosto z mostu: tak lub nie. Ja nie umiem się domyśleć, co u was znaczy: może. Dobrze?

- Dobrze.

- Najlepiej będzie, gdy powiesz: „Dzisiaj chcę to i to”. Ja dodam to, co ja bym chciał. Znajdziemy kompromis. Zgadzasz się?

- Zgadзам.

- Alusiu, moja droga. Wał prosto, co masz mi do zarzucenia. Co, według ciebie, zrobiłem nie tak. Szkoda czasu na boczenie się. Nie uważasz?

- Uważam.

- A n i u , nie wymachuj tabliczką. Ja mam twardą głowę. Jesteś na uniwersytecie, ale nie oglądaj się za innymi. Gilbert już swoje odchorował. Córka, składając życzenia, uświadomiła mi, że najwyższy czas przejść do czwartego tomu. Ja jestem pewny, że tak. A ty? Powiedz: nadszedł czas?

- Nadszedł.

Najbardziej romantyczne zaręczyny zepsuł nagły ból w krzyżu. W pośladkach. Nie mogłam wstać. Ruszyć się. Łzy miały smak ambrozji przyprawionej piotunem. Krzysztof nie stracił głowy. Poszedł do apteczki, nie pytając nawet, co ma przynieść. Łyknęłam. Czekałam w bezruchu, aż zadziała. Coś było nie tak. Nie z moim krzyżem. Wiedziałam, że to korzonki. Z nim. Z jego reakcją. Nie odzywał się. Nie pytał, jak się czuję. Nie wyszedł do drugiego pokoju. Nie włączył telewizora. Nie był zły z powodu bezradności, nie wiedząc, co robić. Patrzył tylko od czasu do czasu na mnie i popijał herbatę. Po półgodzinie udało mi się położyć i skulić w kłębek. Podeszedł bez słowa, przykrył mnie ostrożnie kocem. Po dwudziestu minut wstał i wyszedł, przymykając za sobą drzwi. Korzystając z chwili, gdy na mnie nie patrzy, wykrzywiłam się, szepcząc: „Cholera, jak to boli. Mamusiu, nie wytrzymam”. Poskarżenie się mamie zawsze pomaga. Bez względu na wiek.

Przysnąć nie mogłam. Leżeć źle. Ruszyć się też nie mogę. Sytuacja patowa. Potrzebuję dużego plusa. Jest. Zdążyłam odpowiedzieć.

Uśmiechnęłam się leciutko. W środku. Bo bardzo bolało. Znalazłam drugi plus. Nie będzie bolało wiecznie. Trzeci to już olbrzymie plusisko. Odmłodziłam. Jestem narzeczona.

- Dzień dobry - usłyszałam obcy męski głos. - Proszę się nie ruszać. Pani mąż powiedział mi, że odezwały się korzonki. Zaraz zrobię pani zastrzyk. Za pół godziny będzie lepiej.

Szykował strzykawkę. Nic nie mówiłam. Na głos. Rozmawiałam sama z sobą. Mój. Ślicznie brzmiące słowo. W każdym przypadku. Mojego, mojemu, o moim. Najlepiej: z moim. Mąż. Wieloznaczne słowo. Mąż stanu. Mąż zaufania. Ale i mąż swojej żony. Tą swoją - dla niego, chcę być ja. Wiem to od tak dawna. Od momentu, gdy zauważył, co czytam. A nie mam jeszcze siedemdziesięciu dwóch lat jak Elżbieta, królowa Węgier. Tyle czasu los mi darował.

- Musisz się przewrócić. Pomogę ci - Krzysio odstaniał mój pośladek.

Bolesny zastrzyk. To i dobrze. Przyćmił korzonki. Krzysztof już uzgodnił z lekarzem. Jeżeli najszybciej pomogą zastrzyki, to on mi będzie robił. Na statku trzeba wszystko umieć. Gotować, szyć, masować, nawet dożylny zrobić. Kończył kurs sanitariusza. Śmiał się do lekarza, że muszę być sprawna na sylwestrowe szaleństwo. Słuchałam wszystkiego z zainteresowaniem. O tych jego wszechstronnych umiejętnościach i o sylwestrze. Nic na ten temat nie mówił. Zdecydował, że zostaje na noc. Prześpi się na kanapie. Ja nie chciałam się ruszać i iść do łóżka. Mniej, ale bolało. Rano obudziłam się. Pierwsze, co ujrzałam, to jego zmęczoną twarz. Spał w fotelu, który przesunął tak, by cały czas mnie widzieć. Byłam pewna. Podobnie jak Miśka. Tylko z nim mój jesienny koktajl będzie smakował wprost niebiańsko...

Czułam się już w zasadzie zupełnie dobrze. Krzysztof robił mi zastrzyki, śmiejąc się, że wreszcie może obejrzeć moją pupę. Dziewczyny przyjechały, by sprawdzić, co u mnie. Jak się czuję. Głównym powodem było wyciągnięcie ze mnie, z kim idę na sylwka? Dlaczego nie z nimi? Kto to jest? Dlaczego go ukrywam?

- A l a , mów - Stasia podała już herbatę. Mnie każąc siedzieć i jedynie odpowiadać na ich pytania.

- Jak na spowiedzi. Wystarczy tych tajemnic - Danka zdecydowana była wydrzeć ze mnie słowa siłą. Bardzo to obrazowo pokazując.

- Nie męczcie mnie. Wiecie, że jestem uparta. Powiem nieco, żeby zaspokoić troszkę waszą ciekawość. Reszta w swoim czasie - dodałam, śmiejąc się, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, a to je i tak niedługo czeka. - Ma na imię Krzysztof. To ten, na którego czekałam. Poznacie go za parę dni, z nowym rokiem. Na dziś wszystko - pokazałam, że zamykam usta na klu-czyk.

- Nie ma w łazience maszynki. Męskiego szlafroka też nie, nie nocuje. Od razu sprawdziłam, gdy tylko weszliśmy - przyznała się Krysia, nasz detektyw.

- Alka czeka na noc poślubną - śmiała się Stasia. - Idiotka, nie jest pewne, czy jutro będzie żyła. Umrze cnotliwa.

Dziewczyny oczywiście w śmiech.

- Słuchajcie, kończy się rok - odezwała się Krysia, widząc, że nic więcej ze mnie nie wydobędą. - Zmieniam temat. Jest jeden, którego nie poruszałyśmy. Udajemy, że go nie ma. Pamiętajcie. Przed wykładem dowiedzieliśmy się, że Tamara odeszła. I co? Za pięć minut nie było tematu. Gdy miałam zawał, to tylko jedna przez drugą mówiła: „Wszystko będzie dobrze, Kysiu”. A ja tak chciałam, by któraś z was powiedziała wprost: „Możesz umrzeć, czy chcesz porozmawiać?”

- My ze Stasiem często o tym rozmawiamy. Jak o najnormalniejszej, jednej z wielu rzeczy. Tak jest nam łatwiej. Wiemy, że każde odejście szczęśliwe. Bo przeżyło to, co musiało, i to, co chciało.

- Moja ptaszynka powiedziała, że byłaby najszczęśliwsza, gdyby umarła na mnie - Krystyna spoglądała na nas, sprawdzając, czy zrozumialiśmy, że to wyznanie miłości.

- Cisza. Skupcie się - powiedziałam. - Wpadł mi genialny pomysł do głowy. Skoro chcecie zaprzyjaźnić się ze śmiercią, to urządzmy w karnawale stypę. Dla nas wszystkich. I wszyscy mają być obecni. Obgadamy się dokładnie. Powspominamy każdego. Powiecie: „Ta świętej pamięci Alusia to za życia była taka pogodna dziewczyna. Tylko te jej pomysły! Makabryczne”. Wtedy Danka westchnie: „Ale jednak szkoda, że już jej z nami nie ma”. Obcierając łzy chusteczką, twarz zasłoni, by nie było widać jej uśmiechu zadowolenia. Że to mnie opłakujecie, a nie ją. Potem Stasio wzniesie toast: „Chluśniem, bo uśniem”. I powie: „Stasińko zbierajmy się do domu, trzeba w sypialni uczcić fakt, iż dane nam jeszcze pożyć. Nie marnujemy żadnej chwili”. Krysia zwróci się do swojego: „Chodź, ptaszynko, popodrzucam cię parę razy. Już mi się znudziłeś. Czas na kostuszkę”. Wypijemy morze wody i powspominamy świeżo pochowaną, następną z naszego grona, wybraną losowo ofiarę. Mając stypy odbębnione, wrócimy do domów, by żyć pełną piersią. Co wy na to? - patrzyłam na nie wściekła.

Oczywiście, że nie znamy godziny śmierci. Czasami to dobrze. Niekiedy źle. Nie ma wieku. Nie ma bezpiecznego schronienia. To nie znaczy, że mam, żyjąc, cały czas nastuchiwać. Czekać i wzywać. Nie wszystkim dane jest urodzić się. Każdemu wybije dzwon. Rzadko kiedy w odpowiednim momencie...

Krzysio stosował uzgodnione zasady. Zawsze miał parę propozycji.

- Zjesz zupeł, drugie czy to i to - pytał, nie obawiając się, że odpowiem: „Nic”.

Przecież zawarliśmy umowę. To odpowiedzialnych ludzi obowiązuje. Niektórymi punktami porozumienia wrobił mnie nieźle. Z większości byłam zadowolona. Przyjemnie jest nie musieć

myśleć samej o sobie. Ktoś myślał o mnie. Dla mnie. Za mnie. I jeszcze prosił: „Bądź przy mnie”.

Byłam. Wybrałam zupeł. Karmić się nie dałam. Jeśli dożyjemy, może wtedy.

- A la , siadaj i wybieraj - Krzysztof mówił bardzo podekscytowany.
- Zarezerwowałam oba miejsca do jutra. Masz wieczór i noc na decyzję - dodał bardzo zadowolony z siebie. - Bez względu na to, co wybierzesz, potrzebujesz sukni. Może przejdźmy się jutro po sklepach.

- Chcę szczegółów. Nazwy mi nic nie mówią. Dodaję swoje propozycje. We dwójkę w domu. U Stasiów, z moimi znajomymi - rzuciłam też dwie, by łatwiej osiągnąć kompromis.

- Restauracja to zaduch. O drugiej w nocy pijane twarze, niektóre w talerzu na stoliku - Krzysio najwyraźniej chciał mnie zachęcić do restauracji. - To nasz pierwszy sylwester. Tylko dla nas - skomentował jedną z moich propozycji. - Pałacyk parędziesiąt kilometrów za miastem. Pojechalibyśmy wcześniej. Tam zjemy obiad. Spacer. Drzemka. Teraz czas dla ciebie, na wystrojenie się, dla mnie na gazetkę. W każdej chwili można wrócić do pokoju, gdybyś się źle poczuła. Dwie sale. Jedna bardzo duża. Druga kameralna. Tu i tu orkiestra. W kameralnej przeboje naszej młodości. Tam zamówiłem stolik. Można oczywiście przemieszczać się. Rano śniadanie, o której będziesz chciała. 1 powrót - popatrzył na mnie i dodał: - We dwoje w domu niejednego spędzimy sylwestra, jak dziadzius z babusią. Ty też wolisz pałacyk?

- Też - odpowiedziałam, myśląc jednocześnie: „Jak dobrze nie być w wieku Miśki czy Uli”. Tyle frajdy sprawia myśl, że druga osoba wszystko obmyśliła, przemyślała za i przeciw. Nie musiałam ani trochę zmęczyć swoich komórek mózgowych zastanawianiem się nad wyborem.

Sukienkę pożyczę od Uli. Ona była w niej w zeszłym roku. Z tym samym towarzystwem idzie na tegorocznego sylwestra.

Musi założyć coś innego. Ja zmieniłam towarzystwo, które sukienkę Uli znało z jednego z bali karnawałowych. Więc mogę ją założyć. Bardzo dobrze się w niej czuję. Miśka też się bawi. Jędrzek na balandze u kolegi do rana. W nowy rok wszystkie pory roku wejdą tanecznym krokiem.

Już jutro ta podobno najważniejsza noc w roku. Piłyśmy z dziewczynami kawę na pożegnanie starego roku. Oczywiście, wspominając wszystkie miłe chwile, które każdej się przydarzyły. To był mój warunek. Smutkom, żalom, chorobom, obawom, co przyniesie nowy rok, wstęp wzbroniony. Te dokładnie omawiałyśmy na bieżąco. Wspierając się, pomagając sobie, pocieszając, milcząc, gdy żadne słowo nie mogło przynieść ulgi.

- A l u . Znów będziesz szanowną jubilatką. Sześćdziesiąt pięć lat warte jest imprezy - mówiła Krysia, ale po minach dziewczyn nietrudno było się domyśleć, że poruszony przez nią temat dawno już przegadały.

- Czym teraz chcesz zadziwić rodzinę? - dopytywała się Danka, nie tylko w swoim imieniu.

- Mam poważny dylemat - mówiłam, udając zafrasowanie.
- Nie ukrywam, że liczę na waszą pomoc i inwencję - robiłam pauzy i, rozciągając dalsze słowa - co zrobić z systemem operacyjnym? - dokończyłam, po kolei patrząc, bardzo poważnie, w ich zaciekawione oczy.

- Systemem operacyjnym? - odezwała się wreszcie Stasia, gdy cisza przy stoliku przeciągała się już niepokojąco.

- Idziesz do szpitala czy na wojnę? - syknęła poirytowana Danka.

- Ja wiem - powiedziała wreszcie Krystyna z ulgą w głosie.
- Alka chce naszej pomocy przy jakimś jej kolejnym wyglupie. Pewnie na urodziny zaplanowała grupowe skoki na bandzi albo wycieczkę przetrwania - ta myśl rozbawiła wszystkie.

- Mówiła ostatnio o basenie - przypomniała sobie Stasia.
- To może chce wszystkich zaprosić na basen. Nawet niegłupi pomysł. Tak, Alu?

- Dziwię się wam, dziewczyny - dalej byłam bardzo poważna.
- Najmniej Krysi, ona małolata, dopiero sześćdziesiąt trzy lata - zrymowało mi się. - Ale wy, stare baby przed siedemdziesiątką i ciągle fiu bździum w głowach? Wstydziłybyście się - już nie panowałam nad sobą, więc szybko skończyłam. - Z systemem operacyjnym mojego oprogramowania - wybuchnęłam śmiechem i poprawiłam - nie mego, tylko mego komputera.

- Zwariowała kompletnie. Nie raz mówiłam, że z nią jest źle. Potrzebny psychiatra - Kryśka, śmiejąc się, rozglądała się po sali w poszukiwaniu lekarza.

- Z moją głową jest wszystko w porządku. Potrafię analizować informacje, w przeciwieństwie do ciebie, Krysiu - odcięłam się. - Zastanawiam się, czy nie mam za mało pamięci wirtualnej i to jest w tej chwili najważniejsze, a nie moje urodziny za rok. Za rok - powtórzyłam dobitnie, by zrozumiały.

- Jaki rok? Trzy miesiące. Łaskawie mogę dodać ci jeden dzień - wyliczyła Danka dokładnie.

- Danko. Jeśli umrę 30 marca, to jak będzie w nekrologu: zmarła w wieku sześćdziesięciu czterech czy sześćdziesięciu pięciu lat?

Nie miały argumentów...

Pojutrze 1 lutego. Ważny dzień dla mnie i Krzysztofa. Jesteśmy poddenerwowani. Szykujemy dość pracochłonne danie, ale ulubione w mojej rodzinie pielmienie. Będzie dziesięć osób. A każdy zje po dwadzieścia sztuk. To dużo lepienia. Będą jak zwykle z bulionem lub barszczykiem. Potem smażone. Na deser tort kawowy. Miśka już upiekła samodzielnie. Dostała komplet tortownic od

Mikołaja i łopatkę. Powiedziała, że łopata była w sam raz. Nie-trudny przepis, a tort - marzenie. Rodzinny, domowy obiad. Mają poznać Krzysia. On jest w lepszej sytuacji. Zna ich z moich opowiadań. Bardzo ciekaw jest Jędrka. „Fajny chłopak, z dużym poczuciem humoru, nie martw się, da sobie radę” - pociesza mnie, gdy mu opowiadam, co nowego usłyszałam. „On cię podpuszcza, by sprawdzić, jak zareagujesz. Dopóki podchodzisz do jego opowieści z przymrużeniem oka, dopóty jesteś partnerką do rozmów. Nie babcią, o której się pamięta z okazji Dnia Babci”. Kładąc ulepionego pielmienia na tacy, oznajmiłam:

- Sześćdziesiąty. Dużo przed nami - i podjęłam temat wnuka.
- Kilka dni temu Jędrak powiedział mi, że uzgodnili z chłopakami, z jakich głupot już wyrosli i czego już nie będą robić. Siedemdziesiąty piąty z twoim, zawsze liczę, szybciej się lepi.

- Mów. Co wymyślili? - Krzysiek wyraźnie nastawił się na dobrą zabawę.

- Nie będą się wykradać z domu, gdy rodzice zasną. Nie będą nigdy włączać się w żadne bijatyki. Nie będą opuszczali ostatnich lekcji.

- I co, dataś się podpuścić? - zapytał Krzysiek.

- Dałam - parsknęłam śmiechem. - Nawet powiedziałam, że najwyższy czas dorosnąć.

Widząc mnie Krzyśka, dodałam na swoje usprawiedliwienie.

- Jędrak mówił z takim poważnym wyrazem twarzy, wsuwając zupę...

- Powiedz, w czym haczyk?

- Wykradać się nie będą, bo po jaką cholere czekać, aż zasną starzy. Bijatyki trzeba zaczynać samemu. Bezsensem jest zrywanie się z ostatniej lekcji. Lepiej zrobić sobie cały dzień bez szkoły.

Umyłam ręce. Przerwa na papierosa.

- Wyobrażam sobie, jaki miał ubaw - Krzysiek też przerwał lepienie. Bez mycia rąk. Usiadł na krześle i uśmiechnął się, chyba

nawet bardziej do siebie niż do mnie. - Ja babcię i swoich rodziców, będąc w jego wieku, ciągle wrabiałem. Gdy mi się udało, to aż piałem z radości. Przychodziłem wcześniej do domu z powodu odwołanych lekcji, a do mamy mówiłem: „Jestem, bo muszę iść do szpitala”. Mama przerażona: „Co się stało?” Ja ze spokojem: „Kolegę odwiedzić”.

- Nie byłem lepsza. Już od drzwi wołałam: „Jak mnie brzuch boli. Strasznie boli. Nie wytrzymam”. Babcia już szła z kroplami, a ja: „Boli ze śmiechu, babciu”. Krzysiu, zrób nam herbatę. W nagrodę dowiesz się, co jeszcze Jędrrek powiedział, gdy już się posmialiśmy. Znalazł to w necie. Dał mi stronę, podobno można się nieźle ubawić, czytając zamieszczone tam teksty.

Przy herbacie, powtórzyłam mu jeszcze dwa żarty z cyklu: nie będą. Po pierwsze, nie będą kraść batonów w sklepiku za rogiem (w Biedronce mają znacznie większy wybór). Po drugie, nie będą nigdy aresztowani za wandalizm (podpalenia są dużo ciekawsze).

- Więcej nie chciał mi powiedzieć. Podobno nie dla moich uszu. Weszłam na tą stronę i sama doczytałam. O seksie, że lepiej o nim nie mówić, tylko uprawiać. Od alkoholu, lepsza trawka. No i o babinkach. Nie będę babinki przeprowadzał na drugą stronę. Lepiej zostawić ją na środku skrzyżowania.

Krzysztof wziął się znów do lepienia.

- Ja pamiętam ten o babince i wycieraczkach. Znasz?

- Znam, znam. W wersji z dziadkiem. Lepmy, bo już mi się oczy zamykają. Śmietaną do tortu ubiję jutro.

- Naprawdę nic nie mówiłaś. Nawet Uli? - Krzysztof mi nie dowierzał.

Skończyliśmy. Krzysztof miał jeszcze pozmywać. A ja kubek mleka i papieros. Zapewniłam go, że pary z ust nie puściłam. Ani im, ani nikomu.

Nie puściłam. Uli i Ance powiedziałam w skrócie, kiedy go poznałam. Jakim jest człowiekiem. I najważniejsze, iż od pierwszego spotkania wiedziałam, że to on. Od sylwestra jestem już pewna, że to mój Gilbert. Znały moją fascynację Anią. Anka miała swojego Reda. Też należała do pokolenia czytających. Nie tylko lektury. Pokazałam im jego zdjęcie. Na komórce. Drugie z balu. Bo był tam fotograf.

- Pasujecie do siebie. Wizualnie - zastrzegła się Ania. - Nie znam człowieka. Mam nadzieję, siostró, że okaże się taki, jak mówisz.

- Mamuś. Jaką ty na tym zdjęciu masz szczęśliwą twarz. Za to już go lubię - Ula uściskała mnie serdecznie.

- Dziewczyny. Najważniejsze, że na razie same plusiki. Jeżeli nawet będzie jakiś minus, jeden czy dwa, nie boję się. Dodam swoje minusy i wyjdzie duży plus. Tym bardziej, że, jak wiecie same, mam dużo minusików do dodawania.

Krzysztof poprosił, byśmy nowy rok przywitali sami, w pokoju. Otworzył szampana. Odliczaliśmy razem. Skończyliśmy. Wyjął obrączki. Położył sobie na dłoni i powiedział:

- Alicjo. Szkoda czasu na zaręczyny. Nie wiemy, ile go mamy. Zostań moją żoną. Najszybciej jak to możliwe. Moim życzeniem noworocznym jest spędzać u twego boku wszystkie sylwestry. Dopóki los nam na to pozwoli. Nie marnujmy ani jednej chwili, ani minuty, które są przed nami - patrzył mi cały czas w oczy i dodał - powiedz mi tylko, Aniu, czy mogę być twoim Gilbertem?

- Nie, nie możesz - powiedziałam i, widząc jego błędną twarz, szybko powiedziałam - jesteś nim. Od pierwszego spotkania jesteś moim Gilbertem.

To, co było dalej, nie nadaje się dla uszu pokolenia mojego wnuka. Broń Boże dla dorosłej Miśki. Nie mówiąc o równolatkach mojej córki. O młodzieży w wieku mojej siostry nawet nie wspomnę. Sama, wracając myślami do tamtej nocy, dostaję wy-

pieków. Pewnie ze wstydu. Wystarczy, że sobie przypomnę, iż na bal nie wróciliśmy...

Jutro moje sześćdziesiąte piąte urodziny. Tak jak chciałam, będzie huczna impreza. Przyjechała córka Krzyśka Dorota z mężem i synem. Chłopiec od razu zarekwirował Kubusia Puchatka. Z Dorotą, która, jak się okazało, sama podpuściła tatę, że nie ma na co czekać, dużo rozmawialiśmy na skypie. Superdziewczyna. Dwa lata starsza od mojej Uli. Przypadły sobie do serca, obie, patrząc na nas, mówiły, że czują się bardzo staro. Anka polubiła Krzysia. Powiedziała: „Siostrzo, wszystkie znaki wskazują na to, że będziesz z nim szczęśliwa”. Dorota od razu podsunęła, byśmy zamieszkali razem w mieszkaniu taty. „Ty, Alu, swoje wynajmij. Potem przepisziesz na wnuka. Powiem ci w sekrecie, że tata swoje już przepisał na ciebie, za moją podpowiedzią. Chcę, żebyś wiedziała, że ja jestem całkowicie za tobą. Musisz czuć się bezpieczna. To ważne dla kobiety w każdym okresie jej życia”.

Na imprezę przywiozła mi kostium. Szczegóły dawno ustaliłyśmy. Wymiary co do milimetra też. Sala zamówiona. Tym razem w normalnej restauracji. Wszystko miało się różnić od standardów. Zabawy i atrakcje też. O to zadbał Krzysztof. Wiem, że konsultował się z Anką i Ulą, dopytując, czy na pewno mi się spodoba. Jędrrek już się nie mógł doczekać. Najbardziej atrakcji i różności do brzuszka. Dziewczyny wymyślały prezenty. Miały być fajne. Wywołujące salwy śmiechu.

Ja na wszelki wypadek smarowałam swój niebolący haluks, by nie sprawił mi niespodzianki, jak na kinderbalu. Rano prze-zornie łyknę aspirynę. Tak na wszelki wypadek. Przecież ma być dobra na wszystko.

Jutro wszyscy będą wznosić toasty: „Niech żyje młoda para. Niech żyje pan młody. Niech żyje panna młoda”.

Jutro 1 kwietnia. Prima aprilis.

EPILOG

Parę miesięcy później.

Przyszła do nas Ula z dziećmiakami na plotki, przy herbacie i cięście. Jędrzek od razu pobiegł do dziadka Krzysia. Zaczynał się bardzo ważny mecz. Kopany. Gdy już obgadaliśmy, co w pracy, co u jednej, a co u drugiej, Misia poprosiła:

- Babciu, powiedz nam wreszcie trochę szczegółów, jak wyście się z dziadkiem poznali. Tak od pierwszego dnia.

- Mamuś, poopowiadaj. Tak cudownie słuchać o miłości od pierwszego wejrzenia. To co innego niż czytać. Tamto to fikcja, a tu życie.

Przyniosłam winko ryżowe. Lepiej się będzie opowiadać. Już mogłam. Nie bałam się zapeszyć. Często wspominałam. Najczęściej, gdy mi coś dolegało. Od razu lawina plusików zasypywała minusy.

- Dziewczyny, podzielę się z wami moim sekretnym przepisem. Dopracowałam go w jesieni mojego życia. Sprawił, że jesień okazała się najpiękniejszą porą roku. Jestem szczęśliwa. Córeńko, wnusiu. Życie każdego z nas to książka napisana przez wielu autorów. Przez naszych dziadków, rodziców, rówieśników w każdym momencie naszego dojrzenia. Trochę napisze przypadek, dobry lub zły los. Czasami znajdziemy się nie w tym miejscu, nie o właściwej porze, spotkamy nie tych ludzi i oni wypełnią parę stron, kartek, nawet rozdziałów. Nie wiadomo, dlaczego los lub nasza głupota, a może przeznaczenie, zmienią nam niespodziewanie wątek i komedia stanie się tragedią. Farsa dramatem. Zmieniająca się aura kolejnej pory roku dopisze trochę przygnębiających scen lub, wprost przeciwnie, pełnych nadziei. Najpierw jesteśmy za młodzi, potem w ciągłym czekaniu na lepsze jutro nie zwracamy uwagi na piękne chwile mijającego, dzisiejszego dnia. Marnujemy wiosnę, narzekając, że jest kapryśna. Latem raz psioczmy na skwar, by innym

razem ztorzeczyć deszczowym dniom. Jesienią rozmawiamy o wstręt-
nym listopadzie. Zapominając o ciepłym, słonecznym wrześniu i złotym
październiku pod nogami. Dopiero zimą, jeśli dożyjemy, myślimy rano
tylko o dziś. Zadając sobie często pytanie, czy dotrwamy do wieczora.
Dopiero zimą jutro schodzi na dalszy plan. Ja ocknęłam się jesienią. Zro-
zumięłam, że w życiu jest bardzo dużo trosk, przykrych niespodzianek,
czasami ciężkich przeżyć. Te pielęgnujemy w sobie, codziennie je pod-
lewamy, by żyły w nas jak najdłużej. Zamykamy w swoim sejfie i strze-
żemy jak najdroższego skarbu. Jest też w naszym życiu bardzo wiele
powodów do radości, zadowolenia, miłości i przyjemności, te traktuje-
my po macoszemu. Lekceważymy, mijamy w pośpiechu, szybko o nich
zapominając. Wszystkiego w życiu mamy wiele. Zapominamy, że tylko
życie mamy jedno. Chciałabym, byście wy obudziły się wcześniej. Od
teraz zaczęły dostrzegać każde szczęśliwe chwilki. One są. Codziennie.
Zatrzymajcie się, otwórzcie oczy i dostrzeżcie je jak najszybciej. Zapisz-
cie łopatologiczny przepis.

Mikstura szczęścia na każdą porę roku

Koszt: 0,00 zł

Czas przygotowania: 0,00 minut

Składniki:

1 wiadro dystansu (najlepiej do wszystkiego)

1 chochla optymizmu (trzymamy zawsze w zasięgu ręki,
oczywiście nie chochlę)

duża porcja nadziei (wszystko jedno na co)

5 uśmiechów codziennych (nawet do sera)

1 łyżka wazowa humoru (jeśli nie mamy, pożyczamy od kogo
się da)

1 łyżka od zupy (z dużym czubem) zadowolenia z siebie (jeśli
nie mamy dzisiejszego, bierzemy wczorajsze, nawet sprzed paru
dni, nie psuje się)

Mieszamy dokładnie. Trzymamy pod ręką. Pijemy nawet wtedy, gdy mamy zaciśnięte krtań i tchawicę tak, że trudno odetchnąć.

Dłuższą chwilę milczaliśmy. One o czymś myślały. Ja o jednym.

- Ja k a piękna jest jesień. Wróżki Wiara, Nadzieja i Miłość, w podziękowaniu za moje, codzienne ich pielęgnowanie, podarowały mi czarodziejski kamień filozoficzny. Krzysia. Mój jesienny koktajl przy pomocy ich daru zmienił się w eliksir życia dla nas.

- Babciu, ja jednego nie rozumiem - Miśka była bardzo zaferowawana. - Dziadek ci się oświadczył. Ty się zgodziłaś - zamilkła. Poprawiła się na krześle, wzięta kubek do ręki. Zawsze tak się zachowywała, nie wiedząc, jak powiedzieć wprost to, co ją niepokoiło.

- Mów, Misiu. Śmiało - zachęciłam ją.

- Dziadek ci się oświadczył. Ty się zgodziłaś - powtórzyła. - Ale... - zawiesiła głos. I po chwili, wykrzyczała: - Ja bym się nie zgodziła. On ci nawet nie powiedział: „Kocham cię”...

Załącznik

Lopatologiczne przepisy babusi Alusi

Szybko, tanio i smacznie pitrasimy małe co nieco. Z tego, co mamy w domu. Jeśli nic nie mamy, a jesteśmy głodni - pijemy herbatę. Delektujemy się, czując, jak wraz z coraz większym głodem uciekają z nas kalorie. Milimetr mniej w biodrach, talia bardziej wcięta. Brzuch z minuty na minutę bardziej płaski. Głód nie pozwala nam zasnąć. Wykorzystujemy to na trochę gimnastyki. Przewracamy się z boku na bok, zginamy lub prostujemy nogi. Ręce raz pod głowę, raz za. Po chwili, na zmianę, odrzucamy jedną w bok, drugą prostujemy. Zасыpiamy z nadzieją, że rano wejdziemy w świeżo uprane dżinsy, mniej wciągając brzuch.

Gorsza sprawa, gdy telefonicznie uprzedzono nas, że za godzinkę wpadną mili znajomi. Pierwsza myśl jest podobno najlepsza. Zamówimy mniam-mniam do domu. To wyjście wiąże się jednak z niemiłym wejściem. Musimy brać pod uwagę minus zamówienia pizzy czy skrzydełek z surówką i sosami. Zmuszeni jesteśmy do dodatkowego wysiłku i bezproduktywnej utraty energii. Trzeba upchać pudełka w worek na śmiecie. To powoduje dodatkowe obciążenie pamięci, szczególnie u mężczyzn. Nie wolno zapomnieć wyrzucić kartonów. Po rozważeniu „za” i „przeciw” lepiej wyjść do pobliskiej „szybkościówki”.

Czasami chcielibyśmy błysnąć i podać coś własnoręcznie przygotowanego. Podstawowy warunek. Coś z niczego. Bo najczęściej niewiele jest pod ręką. Coś nieskomplikowanego, a zaskakującego. Smak, wygląd i zapach są równie ważne. Dominować ma jednak podziw: chciało ci się tyle czasu pitrasić? Ważny jest dodatek szczypty smaków z dzieciństwa. To jedno z nielicznych upodobań, które łączą obie płcie.

Ona kombinuje: „On musi wiedzieć, że jestem nie tylko bizneswoman, ale i do żółtka potrafię przemówić”.

On udaje dyplomatę: „Dam jej do zrozumienia, że ugotowanie jajek na twardo i wody na herbatę to trochę za mało, by zadowolić męskie ego”.

Przepis 1.

Przysmaczki dla sałato- i mięsożerców

Na podstawowe ciasto, z którego robimy x słodkich, pikantnych, jarskich lub mięsnych przysmaczków do herbaty, kawy lub pod procenciki. Dla dwóch osób na podjedzenie.

Koszt: 2,50 zł

Czas: 5 minut plus smażenie

1 całe jajo, umyta skorupka, (mogą być dwa żółtka - jeśli się znajdują 2 jajka). Cha. Cha. Cha - miało być łopatologicznie.

1 szklanka mąki

olej (jeśli nie mamy oleju, smażymy na margarynie; też są dobre)

Mąkę mieszamy z tym, co mamy: mlekiem, jogurtem, śmietanką (tę rozcieńczamy wodą), wodą mineralną (w ostateczności zwykłą).

Jeśli chcemy uzyskać pulchniejsze ciasto, to oddzielamy białko (ważne, by nawet odrobinka żółtka nie wpadła do białka, bo się nie ubije), ubijamy mikserem, jeśli mamy (jeśli nie, to widelcem na talerzu, nie w kubku) na sztywno. (Nie przejmujemy się, że jeszcze trochę spływa, a ręka nas boli). Dodajemy takie, jak nam się ubiło, na końcu do gotowego ciasta. Mieszamy.

Konsystencja ciasta. Z tym najgorzej. Konsystencję określa się jako luźną, twardszą i sztywniejszą. Mnie to nic nie mówi.

Potocznie mówi się: konsystencja śmietany. Ale śmietana może być rzadka, gęściejsza i prawie do krojenia nożem. Podeprę się wnuczką Miśką.

Dla niej: Ciut rzadsze ciasto od konsystencji rozmieszanej farby do włosów z utrwalaczem.

Dla niego (podpytałam chłopów): Po pierwsze, gips rozproszony wodą, by zalepić dziury w ścianie plus trochę wody, by spływał po ścianie (na przysmaczki właściwa konsystencja; po drugie, pianka do golenia plus kieliszek („naparstek”), czyli 20 ml wody.

Ciasto solimy. Szczyptą soli. Kciuk i palec wskazujący wkładamy do solniczki i złączamy poduszczkami. Tyle, ile soli między nimi, to szczypta. Tylko że są duże i małe kciuki. I poduszczki. Ja wolę na język. Czyli po prostu próbuję ciasto i dosalam. Przesolone jest niedobre. Trzeba znów dodawać składniki i czasami może wyjść ciasta na racuszki dla pułku wojska.

To jest ciasto bazowe, czyli z niego wyczarowujemy przysmaczki.

Olej: właściwa temperatura i ilość. Temperaturę najlepiej sprawdzić, kładąc trochę ciasta na patelnię. Jeśli wokół tej odrobiny są bąbelki i ciasto zmienia swój wygląd, to znaczy, że temperatura jest właściwa. Do smażenia placuszków potrzeba około 1 cm oleju na patelni.

Pamiętamy, by usmażone odsączyć z oleju. Można kłaść je na chwilę na kawałku ręcznika papierowego, serwetce papierowej, nawet na zwykłym papierze śniadaniowym. W ostateczności i na kawałkach papieru toaletowego, oby białego.

Czas smażenia - uwagi ogólne

Obserwujemy wierzch placuszka. Widzimy, że ciasto przestaje być surowe, bo zmienia kolor. Przewracamy na drugą stronę i też dosmażamy. Gdy widzimy, że pierwsza strona za bardzo się przyrumienia, to przewracamy (najlepiej dwoma widelcami, użycie łypatki może spowodować, że upuszczony placek rozprysnie olej), a drugą trzymamy dłużej, zmniejszając trochę temperaturę.

Teraz już wszystko zależy od tego, co mamy w domu, i od własnej inwencji. Wybieramy wersję na słodko lub na pikantnie. Jarskie lub z mięskiem.

Na słodko. Kroimy na plasterki lub, jak leci, na kawałki (lepsze są płaskie) owoce, które mamy w domu: jabłka obrane ze skórki, śliwki, banan, pomarańcza (też zdjęta skóra), mogą być przekrojone na pół winogrona. Tylko raczej bez pestek. Usmażone posypujemy cukrem pudrem. Nie mając takowego, możemy utłuc zwykły cukier. Prościej po prostu posypać takim, jaki się ma.

Placuszki owocowe smażymy około 3 minuty po każdej stronie.

Na ostro. Ciekawszy smak ciasta będzie, gdy rozrobimy je winem lub piwem. Jeśli nie mamy, a jest wódka, to dajemy jej dwie łyżki stołowe. Można też dosypać dwie łyżki mąki ziemniaczanej (nabieramy mąkę z czubem na łyżkę, tyle, ile się zmieści). Tej na pewno nie mamy. Nie wszystko kiedyś było takie złe. Sąsiadka miała i ratowała. Ważne, by dodać przyprawę. Sól. Pieprz. Może

być mielona papryka, starta gałka muszkatołowa. Najlepiej spróbować ciasta, by wiedzieć, czy jest odpowiednio przyprawione.

Wrzucamy do ciasta: wcześniej umyte, trochę osuszone (papierem, serwetką papierową lub chusteczką higieniczną), posolone, popieprzone kawałki piersi kurczaka. Smaku dodaje skropienie sosem sojowym, tak by wymieszane nabrały brązowego koloru. Kawałki nie za duże, 1,5 x 1,5 cm, potem, jakie zostaną. Usmażone będą miały urozmaicony kształt. Najlepiej smażyć je w małym rondelku. Potrzeba więcej oleju. Około 6-7 cm. To tak zwane smażenie w głębokim tłuszczu. Od obtoczonych w cieście kawałków odpadać będą w trakcie smażenia małe kawałeczki ciasta. Te wyjmujemy widelcem, bo się spalą. Próbujemy i już wiemy, czy nie trzeba doprawić jeszcze ciasta.

Jeśli nie chce nam się bawić z kawałkami kurczaka, to kroimy pierś na grubsze i większe porcje. Wtedy dajemy więcej oleju, by były w nim zanurzone podczas smażenia. Czas smażenia wydłużamy do około 5-6 minut na każdą ze stron. Smażymy do złocistego koloru, takiego, jaki mają łupinki od cebuli. Kto lubi bardziej chrupiące, pokręca gaz i wyjmuje wtedy, gdy uzna, że takie mu odpowiadają.

Uwaga: należy wyjąć przed całkowitym zwęgleniem ciasta.

Można zrobić wersję z pokrojoną szynką, z kawałkami kielbasy, z tym, co mamy w lodówce. Te smażymy na patelni po około 3 minuty po każdej stronie.

Jarskie. Plastry lub kawałki cukinii, kabaczka, nawet różyczki kalafiora (ten lepiej najpierw wrzucić na wrzątek i obgotować około 5 minut; nie będzie miał zapachu surowizny). Z cukinią bądź z kabaczką - kroimy półcentymetrowej grubości plastry, smażymy po 4 minuty stronę. Jeśli mamy plastry o grubości 1 cm, to po 5 minut. Smaczniejsze są półcentymetrowe. Mogą być w cieście bazowym, bez przypraw i podane z borówkami, żurawiną albo powidłami śliwkowymi.

Placek pikantny - dla leniwców. Nie chce nam się bawić w smażenie racuszków. Z tego samego ciasta robimy placek na całą patelnię. Wrzucamy, co mamy i co lubimy. Pokrojoną wędlinę, plasterki oliwki, może być cebulka, ząbek czosnku przeciśnięty lub zmiążdżony nożem. Dodatki według zasobu domowej „spizarni”. Ketchup, majonez albo jedno wymieszane z drugim (na różowy kolor). Może być, według indywidualnych upodobań, trochę alkoholu, będzie dodatkowy smaczek.

Chcemy się pobawić? Pokrojone plastry pomidora układamy na obrzeżach placka, na to cebulka (rozłaczamy plasterki cebuli na kółka i układamy fantazyjnie), w środek dajemy szczypiorek (solimy, pomidora możemy też popieprzyć) albo ogórek pokrojony w kosteczkę (świeży, korniszon, z beczki).

W samym środku łyżkę majonezu, posypujemy pieprzem lub papryką i podajemy kwiat na stół, okraszony słowami „Kochanie, specjalnie dla ciebie”.

Przepis 2.

Ptyisie, ptyśki, ptyseczki dla słodkich i słonych gębusiek

W cukierni - 16 sztuk około 45,00-50,00 zł

Koszt z przepisu: około 9,00 zł

Czas: 15 minut bez pieczenia

Pieczenie: 20-40 minut. Zaglądamy, czy są dostatecznie przybrązowane. Dostatecznie to taki kolor, jaki nam się podoba, pamiętamy jednocześnie wygląd ostatnio zjedanego ptysia.

Składniki:

3 jajka - duże, umyte

3/4 szklanki mąki

3 łyżki margaryny (mniej więcej pół kostki 250 g)

3/4 szklanki wody

1/4 łyżeczki proszku do pieczenia (jeśli mamy; nie musimy; mniej wyrosną, ale też będą smaczne)

Piekarnik nagrzewamy do temperatury min. 180, maks. 200 stopni.

W garnuszku zagotowujemy wodę z tłuszczem, mieszając, by szybciej się rozpuścił. Na chwilę zdejmujemy z ognia i, wsypując porcjami mąkę, mieszamy energicznie łyżką. Stawiamy na mały gaz i mieszamy zgęstniałą masę, próbując rozgnieść o boki garnuszka. Mieszamy też na dnie, by się nie przypaliła. Masa ma być szklista i odstawać od ścianek naczynia. (Ja mieszam i rozcieram 2 minuty, gdy klucha na łyżce nie przylega do ścian bocznych garnka, uznaję, że jest idealna).

Zdejmujemy garnek z gazu (nie zapominając o zamknięciu kurka) i wbijamy 1 jajo, szybko mieszając. (W zetknięciu z gorącym ciastem czasami ścina się trochę białko). Odstawiamy do ostygnięcia, najlepiej na balkon, na parapet przy otwartym oknie, od czasu do czasu dobrze jest zamieszać ciasto, by szybciej ostygło. (Chyba że nam się nie śpieszy. Wtedy zajmujemy się innym, pożytecznym lub nie, zajęciem, czekając aż ciasto samo ostygnie.).

Smarujemy blachę tłuszczem. Do wystudzonego ciasta wbijamy pozostałe 2 jaja. Mieszamy, by je dobrze rozprowadzić. Teraz dodajemy też, jeśli mamy, proszek do pieczenia. Decydujemy się, jakie i do czego, chcemy ptysie.

Duże - do bitej śmietany. Nabieramy łyżką ciasto i przy pomocy drugiej łyżki kładziemy na blachę. W odległości około 2 cm od siebie. Wielkość piłeczki golfowej. Ja wolę mniejsze. Wychodzi z tej porcji 16 sztuk. Czasami, gdy nabiorą mi się większe, to trochę zdejmuję z każdego i jest 16. Im mniej ciasta na łyżce, tym mniejsze ptysie. Najmniejsze to kupki wielkości piłeczki od ping-ponga. (Przyznam się, że używam jednej łyżki i palca. Palcem nadaję ptysiom okrągły kształt).

Ptysie wkładamy do nagrzanego piekarnika. Duże na około 35-40 minut. Średnie na około 25-30 minut. Małe na około 20-25 minut. Zaglądamy i po kolorze decydujemy, czy wyjąć.

Na słodko. Lepsze te duże. Chyba że mają być elegancko podane w foremkach papierowych. Robimy takie, by się zmieściły na raz do otwartej buzi.

Duża śmietanka 30%, robimy na słodko. Ważne. Kupując śmietanę, potrząsamy i słuchamy, czy chlupoce jak mleko w kartonie lub piwo w puszcze. Jeżeli nie, bierzemy inną. (Zgęstniała, nie chlupoce i się nie ubije, mimo ważnego terminu do spożycia). W domu koniecznie przechowujemy w lodówce.

Ubijamy śmietankę z cukrem na sztywno. To znaczy odwrócona nie splywa, nieruchomo trzyma się naczynia. Ja najpierw ubijam trochę śmietanę, gdy już jest spieniona, to dodaję 2 łyżki cukru. Jaki mam. Cukier puder albo zwykły. Można jak lubimy i akurat jest pod ręką. Dodać do smaku cukier waniliowy. Próbujemy i, jeśli trzeba, dostadzamy.

Pączki ptysiowe. Wlewamy olej na wysokość 5-6 cm do garnka. Rozgrzewamy. Sprawdzamy temperaturę, jak w racuszkach. Łyżką zsuwamy ciasto do gorącego oleju. Smażymy po jednej stronie 3 minuty. Czasami już wcześniej same się przewracają na drugą stronę. Pozostałe odwracamy i jeszcze 3 minuty dosmażamy. Odścażamy na papierze i posypujemy cukrem pudrem.

By były mniej tłuste, można dodać do ciasta łyżeczkę wódki.

Na pikantnie, ładnie wyglądają te średnie.

Kapusta kwaszona przesmażona z pieczarkami. Z gotowym barszczem instant świetna gorąca przekąska.

Z twarożkiem ze szczypiorkiem (z rzodkiewką, oliwkami, z tym, co mamy, a pasuje do pary z twarożkiem). Przyprawiamy solą, pieprzem, papryką. Odrobinką czosnku. Możemy też nadać gotowymi serkami z przyprawami.

Małe, na raz do buzi, wyglądają bardzo elegancko. Możemy roznieść dojrzałe awokado, skropione sokiem z cytryny, z twarożkiem. Doprawiamy solą i pieprzem. Dodajemy pokrojone oliwki,

na przykład posiekaną bazylię (lub trochę suszonej). Jeśli przygotowujemy większą porcję, to szybciej będzie ją zmiksować.

Plastry wędzonego łososia, korniszon lub ogórek kwaszony, cebulę i grzybka marynowanego siekamy tak, jak na tataro. Nadziewać możemy wieloma pastami, składnikami przez nas skomponowanymi.

Jeśli chcemy podać elegancko, wystarczy mieć w domu małe papierowe foremki. 100 sztuk kosztuje około 13-15 zł. Wiele prostych przysmaczków prezentuje się w nich jak najbardziej wykwintnie danko.

Płytki w foremkach można podgrzewać w piekarniku, by podać na gorąco.

Płytki nie musimy piec na ostatnią chwilę. Robimy dwa-trzy dni wcześniej. Nic się nie stanie, jeśli bez nadzienia poleżą w szafce. Nie wolno tylko szczelnie przykrywać, bo zaparują i zrobią się „flaczki”. Nie zjadamy pustych, bo podamy samo nadzienie.

Zimne płytki kroimy ostrym nożem na pół. I napełniamy tym, co nam w duszy akurat gra.

Przepis 3.

Szarlotka szybkościówka

Przepis mojej babuni. Na już. Mam ochotę - za chwilę delektuję się ciepłym jabłecznikiem.

Koszt: około 8 zł

Czas przygotowania: 10 minut

Czas pieczenia: 40-50 minut

W tym czasie pachnie w całym domu jabłuszkami, cynamonem. Nam ślinka cieknie i już nalewamy herbatę.

Składniki:

1 szklanka mąki

1 szklanka cukru

1 szklanka kaszy manny (niestety, tę trzeba kupić specjalnie, ale warto, 1 kg wystarczy na cztery szarlotki)

poł kostki margaryny

1 łyżka proszku do pieczenia

1 kg jabłek, czyli 5 dużych albo 6-7 średnich (najlepsze są kwaśne, ja robię z takich, jakie mam)

cynamon (ten warto mieć w domu: do kawusi, do placuszków, gotowany z wodą usuwa nieprzyjemny zapach w kuchni po przypaleniu na przykład jajecznicy)

W naczyniu mieszamy mąkę, cukier, kaszę i proszek do pieczenia. Jabłka (obrane) ścieramy na tarce o dużych oczkach i mieszamy z cynamonem. (W domu warto mieć jedną tarkę, ale czterostronną. Przyda się do pokrojenia ogórków, rzodkiewek na cienkie plasterki. Jarzyn na wiórki, czy utarcia na papkę jabłuszka). Tortownicę, naczynie żaroodporne, blaszkę czy co tam mamy, a nadaje się do wysokiej temperatury i ma średnicę około 25 cm, smarujemy tłuszczem i posypujemy bułką tartą lub mąką. Jeśli mamy tylko prostokątne naczynie, to do suchego wsypujemy wymieszane składniki i patrzymy, czy razem z utartymi jabłkami zmieszczą się na wysokość około 5-6 cm, żeby wypiek nie był za płaski. Po sprawdzeniu możemy wysypać i posmarować tłuszczem. Sypiemy jedną szklankę wymieszanych składników na całą powierzchnię naczynia do pieczenia. Na to kładziemy połowę jabłek. Na jabłka kolejną szklankę wymieszanych składników. Potem druga połowa jabłek i posypujemy ostatnią szklanką mieszanki. Na wierzchu układamy pokrojoną w płaskie kawałki margarynę. Wstawiamy do piekarnika nagrzanego do około 180 stopni i pieczemy 40 minut. Zaglądamy, czy wierzch jest zrumieniony. Jeżeli blady, dopiekamy jeszcze 10 minut.

Teraz już tylko zostało nam zrobienie świeżej gorącej herbaty. Poprzednia została już wypita albo jest zimna.

Przepis 4.

Piernik dla piernika albo pierniczka

Koszt: około 10 zł (jeśli z rodzynkami)

Czas przygotowania: 10 minut plus studzenie

Czas pieczenia: około 50 minut

Składniki:

1 szklanka cukru

15 dkg margaryny

1/4 litra mleka

3 szklanki mąki

1 jajo (umyte)

1 przyprawa do piernika (jeśli lubimy bardzo korzenny, to 1,5 paczki; dwie to za dużo)

1 łyżeczka sody lub proszku do pieczenia

(Soda w domu to skarb. Rozpuszczamy trochę w wodzie i czyszcimy zabrudzoną tłuszczem kuchenkę. Wsypujemy do zlewu lub umywalki, zalewamy trochę octem. Gdy przestaje syczeć, wlewamy czajnik wrzątku. Przeczyści rury. Na przypalone: do naczynia sypiemy sodę, zalewamy wodą, gotujemy, studzimy. Przypaleniżna będzie pływać po wierzchu. Wylewamy do ubikacji, naczynie myjemy. Biała koszulka namoczona w wodzie z sodą odzyska pierwotny kolor).

Mleko, cukier i tłuszcz zagotowujemy. Mieszamy, by tłuszcz i cukier się rozpuściły. I teraz, niestety, czekamy aż ostygnie. Ja przyspieszam studzenie, wkładając garnek do miski z zimną wodą, i mieszam, zmieniając wodę na znowu zimną.

Do ostudzonej masy dodajemy jajo, mąkę, sodę, przyprawę do piernika i mieszamy. Dorzucamy garść rodzynek, jeśli mamy. Mieszamy. Tortownicę, blaszkę lub naczynie żaroodporne smarujemy tłuszczem, obsypujemy mąką i wlewamy nasze ciasto. Wkładamy do piekarnika nagrzanego do temperatury około 180 stopni

i pieczemy około 50 minut. Po tym czasie ostrożnie, ręką w rękawicy lub zabezpieczoną ściereczką (tylko suchą, mokra nas poparzy), blaszkę wysuwamy trochę z piekarnika i wkładamy patyczek, taki jak do szaszłyków, lub wykałaczkę. Jeśli jest suchy, to ciasto jest gotowe. Jeśli oblepiony jeszcze ciastem, to dopiekamy około 10 minut.

Przepis 5.

Jezykowe kęsiczki

Konieczne są wykałaczki. Te na pewno mamy, jeśli nie, to trzeba kupić i mieć.

12 kęsików na osobę (osób cztery)

Koszt: około 8 zł

Czas przygotowania: 15 minut, dla guzdralskich i niezorganizowanych 30 minut

Składniki:

1 duży serek topiony, kremowy (bezsmakowy lub smakowy, jak kto woli)

2 plastry szynki albo baleronu, zamiennie 4 plastry polędwicy, inna wędlna do pocięcia w paski lub w kostkę 0,5 x 0,5 cm

2 plastry sera żółtego

1 parówka długa lub 2 małe

4 duże, surowe ziemniaki (umyte, nie musimy obierać, szybciej się myje) zawinięte w folię aluminiową

Mamy ładne srebrne brzuszki języków (niejadalne). Jeśli nie mamy folii, możemy jako brzuszki potraktować połówki jabłek, pomidora, kajzerek. Ewentualnie wyciąć z chleba. W ostateczności, jeśli nie mamy brzuszków, a uparliśmy się na kęsiki, wkładamy w małe kieliszeczki lub szklaneczki.

Trochę keczupu, albo majonezu. Może jest chrzan? Chociaż musztarda?

Teraz to, co mamy: ogórek kwaszony, korniszon, może pól zwykłego, pomidor, rzodkiewki, grzybki marynowane, cebula, sałata, zielona pietruszka, papryka, jabłko, szczypiorek, oliwki

Jeśli nie ma nic, rezygnujemy. Z pustego i Salomon nie należy. Robimy racuszki lub zamawiamy pizzę.

Serek topiony rozcieramy w małej miseczce z łyżką masła, w ostateczności z margaryną. Lepimy między dłońmi (dłonie zwilżamy wodą) 12 kuleczek. 4 obtaczamy w posiekanej natce (w czymś zielonym), 4 w mielonej słodkiej papryce (w czymś czerwonym), 4 w innym kolorze - posiekanych orzechach, pokruszonym drobno ciemnym chlebie, można w utartym serze żółtym; będą postrzępione, w kolorze żółtym. Czyli w tym, co jest, byle kolorowo. Nadziewamy na wykałaczki.

Szynkę kroimy na paseczki, szerokość maks. 1 cm. Długość taka, by zwinął się rulonik. Smarujemy keczupem i w środek wkładamy na przykład kawałeczki ogórka, grzybka czy co tam mamy. Ruloniki nadziewamy na wykałaczki.

Ser żółty kroimy w kostkę maks. 1 cm x 1 cm, albo też w paseczki plastry sera na ruloniki. Na paseczki potrzebujemy kawałek porwanej też na paski sałaty. Rulonik jest zielono-żółty. Kostki nadziewamy na wykałaczki i dodajemy różności w zależności od naszego stanu posiadania lub smaku. Byle kolorowo.

Na wykałaczki możemy też nadziać parówkę pokrojoną na talarki. Albo jeden grubości 1 cm i dodatki. Albo 2-3 cieńsze talarki i między nie coś dla koloru i smaku.

To, co nam zostało, czyli kawałeczki ogóreczka, pomidorka, rzodkieweczki, papryki czy cebulki układamy na zmianę, będzie kęsik warzywny. Nadziewamy na wykałaczki.

W brzuski języków wbijamy wykałaczki tak, by było kolorowo i to samo w każdym brzuszku. Brzuski należy traktować jednakowo, żadnego po macoszemu. W ostateczności układamy

wykałaczką z zawartością na gładkim talerzyku. Różnobarwny zakłóciłby paletę kolorów. Możemy dla chleboszów ponadziemną parę kostek z chleba.

Przepis 6.

Śliweczka octusiowa

Koszt: w zależności od ilości śliwek

Czas: jak wyżej, bo trzeba usunąć pestki

Składniki:

śliwki węgierki

ocet 5%

goździki

cynamon

cukier

Ocet zagotowujemy z goździkami i cynamonem (powinien być w laskach, ja biorę, jaki mam). Ocet kupujemy przeważnie 10%, czyli rozcieńczamy 1:1, na przykład 1 szklanka octu i 1 szklanka wody - mamy pół litra octu 5%. Wydrylowane śliwki zalewamy zagotowanym octem z przyprawami. Czekamy 15 minut. Zlewamy ocet ze śliwek. Ponownie go zagotowujemy i znów gorącym zalewamy śliwki. Czekamy 10 minut. Zlewamy ocet, zagotowujemy i zalewamy na 5 minut. Teraz ocet zlewamy, wylewamy.

Do słoików (czystych) wkładamy śliwki na wysokość 3/4 słoika. Sypujemy cukier do pełna. Zostawiamy. Następnego dnia cukier jest rozpuszczony, a śliwek w słoikach ubywa. Przekładamy, by mieć pełne słoiki. Zakręcamy. I już.

Teraz myjemy puste słoiki. Ze śliwkami robimy, co chcemy. Zjadamy. Zostawiamy do innych smakowitych różności. Obdarowujemy przyjaciół.

Przepis 7. Winko ryżowe

Potrzebne naczynie. Pewnie, że najlepszy byłby gąsiorek. Ja takiego nie mam. Kupiłam dwa duże słoje. Jeden z ogórkami. Te podzieliłam i się podzieliłam z dziewczynami. Drugi pusty. Przyda się do kwaszenia ogórków lub czosnkowej kapusty.

Koszt: około 10 zł za 5 litrów winka (bez kosztu słoików)

Składniki:

pół łyżeczki syropu tymiankowego

(Najdziwniejszy składnik, a konieczny. Kupujemy w aptece.

Syrop na kaszel przyda się w domu).

1/2 kg ryżu

1,5 kg cukru

1,5 dkg drożdży

1 cytryna duża (umyta)

1/4 łyżeczki cynamonu mielonego

16 sztuk rodzynek (jakie mamy)

1/2 łyżeczki od herbaty mielonej gałki muszkatołowej

5 litrów wody, może być mniej, jeśli słoiki są mniejsze

Wodę zagotowujemy z cukrem. Studzimy, by była letnia. Dodajemy cynamon, syrop, gałkę. Do przepłukanego wodą ryżu (wypłucze się trochę mętów) dodajemy pokrojoną w cienkie plastry cytrynę (ze skórą), pokruszone drożdże i rodzynki. Letnią wodą zalewamy ryż. Na słoik kładziemy nakrętkę, nie zakręcamy. Ja daję gazę albo zatykam kłębkiem waty.

Stoi sobie 4 tygodnie. Zlewamy do tymczasowego naczynia i wsypujemy około 1,5 szklanki cukru. Chyba że chcemy winko bardzo słodkie, to 2. Ryż wyrzucamy. Słoje myjemy. Wlewamy do nich winko i odstawiamy jeszcze na 2 tygodnie. Na dnie jest biały osad. Zlewamy z niego płyn do butelek. Najlepiej na durszlak położyć gazę. Przesączyć nasze winko do tymczasowego naczynia, zostawiając męty. Odczekać, aż osiądzie na dnie

zawiesinka z ryżu i dopiero wtedy, przez gazę na lejku wlać do butelek. Jest gotowe do picia. Lepszy ma smak, gdy postoi. Zmienia kolor na koniakowaty i z czasem, jeśli uda mu się przetrwać, robi się coraz bardziej wytrawne.

Ja ryż dzielę na dwa słoiki i dodatki po połowie do każdego. Potem zalewam. Nie mam tak dużego słoja.

Przepis 8. Bananowa zgadywanka

Koszt: około 11 zł

Czas: 15 minut

Pieczenie: 1 godzina

Składniki:

3 średnie banany, ugniecione widelcem (nie miksowane)

3/4 szklanki cukru

3 łyżki margaryny (prawie pół kostki 250 g)

1 jajo (umyte)

2 szklanki mąki

1 łyżeczka sody (z małym czubkiem)

1 łyżeczka proszku do pieczenia (bez czubka)

(Jeśli mamy tylko sodę albo tylko proszek, to dajemy 2 łyżeczki tego, co mamy).

Cukier, masło, całe jajko ucieramy. Dodajemy ugniecione widelcem banany (jeśli zmiksujemy, to zrobi się papka, która się nie nadaje). Najlepiej na talerz do zupy lub miseczkę kroimy obrane banany w cienkie plasterki. Potem szybko ugniatamy widelcem. Niewielkie małe kawaleczki zostawiamy. To nie ma być papka dla bezzębnych. Mieszamy i dosypujemy mąkę, sodę i proszek. Mieszamy i wstawiamy do piekarnika nagrzanego do 180 stopni. Pieczemy godzinę. Sprawdzamy patyczkiem. Suchy - ciasto nadaje się do jedzenia. Dobre na gorąco. Na zimno, moim zdaniem, lepsze. Tylko często nie dąży ostygnąć.

Przepis 9.

Parzymordka meksykańska (warta grzechu sześciu biesiadników)

Koszt: 14 zł

Czas przygotowania: 20 minut

Składniki:

1 torebka gotowej przyprawy meksykańskiej (najważniejszy składnik)

70 dkg mielonego mięsa drobiowego

po strąku zielonej i czerwonej papryki (może być tylko jeden kolor)

2 duże cebule

puszka kukurydzy

koncentrat pomidorowy (średni, w słoiczku ciut zdrowszy od tych z puszek)

4 łyżki stołowe oleju

sól, pieprz, mielona papryka (lepsza ostra)

Paprykę, cebulę kroimy drobniutko. Mięso tylko troszkę solimy, na smak ma być niedosolone. 3 łyżki oleju rozgrzewamy na patelni. Mięsko wrzucamy na patelnię małymi porcjami, nabierając łyżeczką od herbaty. Przesmażamy około 3 minut, licząc od ostatniego kawałka. Mieszamy na patelni, by wszystkie kawałeczki się obsmażyły. Można te pierwsze wyjąć wcześniej do garnka. Potem do garnka przekładamy wszystkie łyżką, by olej został na patelni. Jeśli mało oleju zostało na patelni, to dodajemy 1 łyżkę i podgrzewamy. Wrzucamy paprykę i smażymy, mieszając, około 3 minut. Dosypujemy cebulkę i znów 3 minuty przesmażamy. Przekładamy wszystko do garnka z mięsem. Koncentrat (zostawmy ze 2 łyżki, poprawimy później) mieszamy ze szklanką wody i dodajemy do garnka. Dolewamy jeszcze 6 szklanek wody, mieszamy. Teraz wrzucamy odsączoną kukurydzę. Go-

tujemy całość pod przykryciem 15 minut. Doprawiamy: najpierw czubatą łyżką przyprawy meksykańskiej. Potem mieloną papryką, pieprzem, solą, koncentratem. Wszystko na smak. Ma być pikantnie. W tym momencie ja odlewam dla siebie porcję. Dla moich dosypuję jeszcze łyżkę przyprawy meksykańskiej. Bez wina nie uda się tego zjeść. Mimo to podaję na stół pozostałą część przyprawy. Mój dosypuje sobie jeszcze trochę, do swojej porcji na talerzu. Wtedy jest to już „parzymorda”.

Przepis 10.

Pleśniaczek na ząbek

Koszt: 4,00 zł

Czas łączny: 6 minut

Składniki:

serek pleśniowy (np. Turek, Serek Mnicha)

1 jajo (umyte)

bułka tarta - 1 łyżka (czubata)

1 łyżka margaryny lub masła

Jeśli na smaczek słodki, to dodatkowo:

borówki, żurawina, powidła śliwkowe - 1 łyżeczka (wedle smaku)

Jeśli na pikantnie-słodko, to dodatkowo:

3 łyżki cukru

2 łyżki wody

pieprz grubo zmielony

Cały pleśniaczek to sporo kalorii (wątroba też za dużo nie lubi). Ja kroję na dwa plastry. Supersmaczku dodaje towarzystwo drugiej osoby.

Plastry obtaczamy w rozbełtanym jajku (widelcem na talerzu mieszamy żółtko z białkiem), potem w bułce tartej. Staramy się, by serek całą powierzchnię miał w bułce. Kładziemy na

rozgrzaną margarynę lub masło i smażymy po obu stronach po 3 minuty. Jeśli mamy cały serek, to lepiej 4 minuty z jednej i 3 minuty z drugiej. Nie za wysoka temperatura, żeby środek się nagrzał.

Jemy sam lub na słodko, z tym, co mamy.

Jeśli chcemy wersję na pikantnie i podać na zimną przystawkę do piwa lub wina, to kroimy serek na cztery części i nadziewamy na wykałaczki. Na talerzyk sypujemy trochę grubo zmielonego pieprzu. Gdy nie chce nam się mielić, to parę ziarenek pieprzu wkładamy do ściereczki albo woreczka foliowego, zakręcamy i walimy tym, co mamy pod ręką. Oby w pieprz, a nie w palec.

Serek i pieprz mamy pod ręką, czyli tuż obok kuchenki. Najmniejszą patelnię, jaką mamy, stawiamy na palnik. Sypujemy cukier, polewamy go wodą i mieszamy. Cukier zaczyna zmieniać barwę na złocistą. Teraz nie spuszczaamy z niego oka, by się nie spalił. Wystarczy chwila i robi się koloru miodu. Zdejmujemy z palnika. Na wykałaczce zanurzamy w karmelu kawałek sera i szybko posypujemy pieprzem. Każdy kawałek po kolei, w miarę szybko, żeby cukier nie zestalił się. Zamiast pieprzu możemy przylepiać kawałki włoskiego orzecha. Do czasu podania trzymamy w lodówce.

Z serka pleśniowego z niebieską pleśnią możemy zrobić kwintną przekąskę.

Przepis na 20 sztuk

5 dkg serka

5 dkg twarogu

cebulka dymka lub pół średniej cebuli

pieprz

40 sztuk wyłuskanych połówek orzecha włoskiego

Serek rozcieramy widelcem z twarogiem. Dodajemy pokrojoną (jak najdrobniej), cebulkę, pieprzymy i mieszamy. Lekko

zwilżonymi wodą rękami lepimy 20 kulek. Wkładamy między dwie połówki orzecha. Odstawiamy do lodówki. Wyjmujemy wcześniej, na około 20 minut przed podaniem, by nasz serek nabrał temperatury pokojowej.

Super podanie serowych przystawek do piwka lub winka

Inne sery kroimy w kostki 1 cm x 1 cm, kóleciska wycinamy kieliszkiem, trójkąciki nożem. Każdy smak powinien mieć inny kształt. Wszystko nadziewamy na wykałaczki. Na środek deski lub dużego talerza kładziemy pół okrągłego chlebka albo gruby, wycięty z niego plaster. Wbijamy wykałaczki z różnymi kształtami serów i smaków.

Naokoło układamy te z orzechami i karmelem, włożone do papierowych foremek. Dodajemy krakersiki, słone paluszki, by się nie martwić, że zabraknie serków.

Przepis 11.

Parzący patelniaczek

Koszt: 3 zł

Czas: 5 minut

Składniki:

10-15dkg kiełbasy

5 dkg sera żółtego

1 średni pomidor

1/2 łyżki margaryny

Pomidor wrzucamy na około 30-60 sekund do wrzątku, wyjmujemy i przez chwilę trzymamy go pod zimną wodą. Kroimy w plasterki kiełbasę. Wrzucamy na rozgrzany tłuszcz na patelni, by się podsmażyła. Pomidor obieramy, kroimy i dodajemy do kiełbasy. Teraz możemy trochę posolić lub popieprzyć. Nie musimy. Układamy na wierzchu pocięty w cienkie kawałki żółty ser. Ser w plastrach kładziemy od razu. Przykrywamy patelnię

pokrywką, zmniejszamy temperaturę. Po 3 minutach zaglądamy pod pokrywkę. Gdy ser jest roztopiony, danie mamy gotowe.

Najlepiej smakuje prosto z patelni. Kto ma i chce, posypuje zmieloną papryką.

Przepis 12. Smakowitości kawowe

Koszt: 8,00 zł

Czas przygotowania: 15 minut

Składniki:

1 szklanka mąki

4 jaja

1 szklanka cukru

2 łyżki kawy rozpuszczalnej

1 opakowanie śmietany kremówki 30% (0,5 litra)

2 łyżki cukru pudru

1 łyżeczka proszku do pieczenia

Biszkopt możemy upiec dzień wcześniej. Na drugi dzień przełożyć śmietaną. Kawę rozpuszczamy w 6 łyżkach wrzątku, chłodzimy i wstawiamy do lodówki. Żółtka ubijamy z cukrem (na kogel-mogel, którego nie podjadamy). Dodajemy połowę mąki i 2 łyżki rozpuszczonej kawy, mieszamy, teraz resztę mąki, proszek do pieczenia i znów 2 łyżki kawy (pozostałą kawę wstawiamy do lodówki). Ubijamy pianę na sztywno i dodajemy do ciasta, lekko mieszając. Musi się połączyć z ciastem. Przekładamy do małej, wysmarowanej masłem i obsypanej mąką, tortownicy (20 cm średnicy, jeśli mamy mniejszą, to trudno, pokroimy tort na więcej plasterów; jeśli za dużą, możemy mieć kłopot z przekrojeniem na dwa plastry, lepiej wtedy wykorzystać foremkę prostokątną). Pieczemy w temperaturze 180 stopni około 40 minut i sprawdzamy patyczkiem, czy tort jest gotowy. Po upieczeniu zostawiamy w tortownicy na 15 minut. Wyjmujemy. Jeżeli

chcemy jeść tego samego dnia, to biszkopt odstawiamy w chłodne miejsce, a my ubijamy śmietanę, dodając cukier puder do smaku. Do gotowej śmietany dodajemy zimną pozostałą kawę i jeszcze 30 sekund ubijamy. Przekrawamy biszkopt na blaty. Kładziemy między nie bitą śmietanę. Pamiętając, by starczyło jej na wierzch tortu. Jeśli wolimy torty nasączone (a nie suche blaty), to łyżkę kawy rozpuszczamy w małej ilości wrzątku. Dolewamy 2 szklanki zimnej przegotowanej wody, słodzimy i dodajemy trochę alkoholu. Wszystko na smak. Nasączamy dolny blat. Na niego kładziemy śmietanę i suchy drugi blat. Teraz możemy nasączyć drugi lub zostawić suchy (ja nasączam, tylko trochę mniej niż dolny). Na wierzch kładziemy śmietanę, ładnie wygląda, gdy nożem przeciągniemy śmietanę na boki tortu. Teraz widelcem robimy ozdobne esy-floresy. Jeśli mamy i chcemy, to posypujemy wierzch wiórkami czekoladowymi lub utartą czekoladą.

Spis przepisów babusi Alusi

1. Przymaczki dla sałato- i mięsożerców
2. Ptiesie, ptyśki, ptysieczki dla słodkich i słonych gębusiek
3. Szarlotka szybkościówka
4. Piernik dla piernika albo pierniczka
5. Jeżykowe kęsziczki
6. Śliweczka octusiowa
7. Winko ryżowe
8. Bananowa zgadywanka
9. Parzymordka meksykańska
10. Pleśniaczek na ząbek
11. Parzący patelniaczek
12. Smakowitości kawowe

Przepisu trzynastego nie ma. Nie jestem przesądna. Wcale. Mam za to dużo przezorności. Nie jestem też naiwna. Te zapisane przez Miśkę starczą jej prawdopodobnie do jej jesieni. Nie jestem nadgorliwa.

Już nauczyłam się zostawiać pole do popisu innym.

Nie umiem się gniewać. Szczególnie na Krzysia. To on teraz podgląda mnie. Podglądanie podobno nie jest zaletą w żadnym wieku. Ja w to już dawno nie wierzę. Im częściej on mnie podgląda, w różnych sytuacjach, tym ja czuję się bardziej dopieszczona. Ułatwiam mu to podglądanie, mówiąc sama do siebie. On skrętnie zapisuje i dyktuje Miśce przez telefon...